

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



**Dorota
Gawryluk:**
Pańskie pytania
o politykę robią
się niestosowne



**WYSOKIE
OBCASY**
Paulina Gałazka
Moja droga
do filmu

FOT. MATERIAŁY PRASOWE POLSAT



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Cała Polska na podsłuchu

Pegasus w telefonach opozycji,
generalów, polityków PiS

Barbara

RYS. JACEK GAWŁOWSKI

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Anatomia
zdrady**
Górale, którzy
pokochali Führera



**Atak
na wyspę Tuzla**
Już 20 lat temu Kreml
groził Ukrainie atomem

**Opilstwo
zabiera duszę**
Dlaczego polityk
powinien mieć silny łeb?

Agnieszka
Kublik

Duda lekceważy Pegasusa

Premier Donald Tusk poinformował prezydenta Andrzeja Dudę podczas Rady Gabinetowej, że „lista ofiar Pegasusa jest bardzo długa”. A komplet dokumentów jest u ministra sprawiedliwości. Przekaze je, jeśli tylko prezydent będzie nimi zainteresowany.

Wygląda na to, że nie jest.

To wszystko bulwersujące. Na razie wiemy, że Pegasusem władza PiS szpiegowała m.in. Krzysztofa Breję, gdy stał na czele sztabu wyborczego PO, prokurator Ewę Wrzosek czy mecenasa Romana Giertycha, który reprezentował wielu polityków poprzedniej opozycji, w tym Tuska czy Radka Sikorskiego.

Media właśnie nieoficjalnie podają, iż istnieje też lista ofiar z PiS. Tak, władza PiS miała Pegasusem szpiegować swoich.

W PiS panika. Na Nowogrodzkiej ponoć główkują, co z tym zrobić. Padają nazwiska z tej listy, mają na niej figurować ministrowie i premierzy. O tym, że to Mateusz Morawiecki miał być inwigilowany przez własne służby, mówił publicznie sam Jarosław Kaczyński. – Wiem, że wszystkie podsłuchy były zatwierdzone i przez prokuraturę, i przez sąd. I wedle mojej wiedzy, ale ja żadnej dokładnej wiedzy w tej sprawie nie mam, z całą pewnością nie był podsłuchiwany pan premier – oświadczył.

Skoro Kaczyński wie, że nie wie, to i wie, że nie wie, czy służby Kamińskiego i Wąsika zasadziły się na swojego premiera. O tak, coś musi być na rzeczy.

Marcin Bosacki, który w poprzedniej kadencji w Senacie przewodniczył nadzwyczajnej komisji ds.

Władza PiS Pegasusem szpiegowała też swoich

Pegasusa, mówi bez ogródek, że w PiS „wiedzieli, że byli podsłuchiwanie przez służby nie w celu wykrycia poważnych przestępstw, ale po to, by zebrać na nich haki”.

Aż trudno uwierzyć, że prezydent Duda tak to lekceważy. W wywiadzie udzielonym już po posiedzeniu Rady Gabinetowej informację premiera o użyciu cyberbroni skwitował, że to był „pewien polityczny spektakl, nic więcej”.

Po wyłączeniu kamer do sprawy nie wrócił. Mógł, spektaklu już wszak by nie było. Dlaczego? Nie chce wiedzieć, jaka jest skala nadużyć Pegasusa? Przeciwno komu PiS to narzędzie wykorzystywał? Kto ma te dane? Kto kogo mógłby szantażować? Brak intuicji politycznej czy coś gorszego?

To kluczowe dla bezpieczeństwa państwa – czy służby zostały wykorzystane przez partię władzy do szpiegowania wrogów (nawet wśród swoich). Duda nigdy o to Kaczyńskiego nie spytał. Bo – jak się wygadał Marcin Mastalerek, szef gabinetu prezydenta – „ze trzy lata nie rozmawiał z Kaczyńskim twarzą w twarz”, bo „panowie rozmawiają, ale w szerszym gronie”.

Prezydent po posiedzeniu Rady Gabinetowej uznał, że musi zadeklarować, iż „nie będzie wykonywać poleceń ani Donalda Tuska, ani Jarosława Kaczyńskiego”, bo go „wybrali Polacy – ma zobowiązania wobec nich i nikogo innego”.

Przedziwna to deklaracja. Czyli Duda łamał konstytucję nie dla Kaczyńskiego, ale dlatego, że sam tego pożądał?

A poza tym – zobowiązania prezydent ma wobec wszystkich, nie tylko tych, którzy na niego głosowali. ●

Życie rodzinne Jak pies z dzikiem



FOT. REUTERS/VES HERMAN

Tiffany Pierre i Gregory Guio-towie, walońskie małżeństwo, wybierają się na spacer ze swoim psem Talią i Oscarem, 80-kilogramowym dzikiem. Mieszkają we czwórce, odkąd uratowali Oscara – był 700-gramowym warchlakiem – przed upolowaniem. Laneuville, Belgia, 12 lutego 2024 r.

Wiecej zdjęć z Polski i ze świata oraz nie-zwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju i ze świata
czytaj teraz na

wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

62KH74T

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 17-18.02.2024 r.

Był „Dom zły” Czas na „Dom dobry”

Powstaje film o przemocy domowej. „Będzie to poruszająca historia normalnej – jak by mogło się wydawać – polskiej rodziny” – tak o nowym filmie Wojciecha Smarzowskiego pisze odpowiedzialna za produkcję firma Lucky Bob. Zdjęcia potrwają do końca kwietnia.

Kiedy jesienią 2022 r. ogłoszono, że powstaje nowy film Smarzowskiego, dziennikarz filmowy Krzysztof Spór na blogu Spór w Kinie napisał: „Należy spodziewać się wypowiedzi mocnej i poruszającej. Bo jak mówi sam reżyser, tylko takie historie warto przenosić na ekran”.

Na razie niewiele wiadomo o produkcji, ale coś już powiedzieć można. W obsadzie znaleźli się m.in. Tomasz Schuchardt, Agata Turkot, Agata Kulesza i Arkadiusz Jakubik. Smarzowski nie tylko wyreżyseruje obraz, ale też jest autorem scenariusza. Za kamerą stanął Paweł Tybora, za scenografię odpowiada Joan-



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

na Macha, za kostiumy – Magdalena Rutkiewicz, a za montaż – Krzysztof Komander.

„Dom dobry” ma trafić do kin jesienią 2025 r.

Tytuł nowego filmu Smarzowskiego nawiązuje do innej jego produkcji – „Domu złego” z 2009 r.

„»Dom zły« nie jest klasyczną tragedią, która ma budzić »litość i trwogę«, nieść oczyszczenie. Tu nie ma litości, nie ma oczyszczenia. To kino łamiące konwencje, mieszące style i porządki, obnażające człowieka w sposób daleki od humanizmu” – pisał w recenzji Tadeusz Sobolewski.

Wybitną ścieżkę dźwiękową skomponował Mikołaj Trzaska, który będzie też autorem muzyki do „Domu dobrego”. ● **Łukasz Kamiński**

Andrzej rysuje



Pod Berlinem spadł kawałek Merkurego



Pierwsze fragmenty meteorytu już zostały wystawione na sprzedaż na internetowych aukcjach (z ceną nawet 1,5 tys. dol. za gram!).

Czytaj ► Wyborcza.pl



*Doprowadzają mnie do pasji nierówności
wywołane tym, że jednych rodziców
stać na korepetycje, innych nie.
Szkoła publiczna jest od tego,
by wyrównywać szanse*

BARBARA NOWACKA

• Cała rozmowa ► Wyborcza.pl

Marsz Gwiazdzisty na Warszawę

Czego chcą rolnicy?

Na nasze stoły trafia żywność, która nie spełnia unijnych standardów. Nie wiemy, czym te importowane kurczaki były karmione, jakich środków chemicznych użyto przy produkcji zbóż

Naszkowska

To trwa już ponad miesiąc. Od tak dawna protestują rolnicy w niemal całej Unii. Też w Polsce, choć dołączyli do kolegów z pewnym opóźnieniem. Ale jak ruszyli, to na całego. Od 9 lutego są w permanentnym proteście – każdego dnia są gotowi zablokować jakąś drogę, miasto czy urząd. A na 20 lutego zapowiadają Marsz Gwiazdzisty na Warszawę. Czegoś takiego w historii europejskich protestów jeszcze nie było. Nie było takiej skali i takiej solidarności między narodami. I takich szans na sukces.

Te blokady, rozrzucanie obornika w miastach, palenie opon są dla nie-rolników niezwykle uciążliwe. Każdy zwykle gdzieś się spieszy, a tu nagle tkwi godzinami w jednym miejscu, bo droga jest zamknięta przez sznur ciągników. Jednak we Francji, Hiszpanii, Niemczech rolnicy mogą liczyć na zrozumienie, czasem wręcz na gesty sympatii ze strony mieszkańców miast – jakaś knajpa dowozi im posiłki, ktoś dostarcza gorące napoje, przechodnie podnoszą dwa palce w geście zwycięstwa. U nas raczej nie. Pod tekstami, które naświetlają problemy rolników, wylewa się złość, zawiść, całkowity brak zrozumienia.

„Ani złotówki rząd nie powinien im dać! W głowach się poprzewracało tym chłopom! Im zawsze źle, a jakimi traktorami na te drogi wyjechali! Też bym chciał dostawać dopłaty i kręcić młynka palcami” – to i jeszcze więcej można przeczytać w internecie.

Swoją drogą kwestia ciągników burzy miastowych jak mało co. Sami dawno porzuciliśmy „maluchy” i trabynty, ale rolnikom odmawiamy prawa do unowocześniania sprzętu. Znajomy rolnik, który zamierzał 9 lutego wjechać swoim johnem deere’em do Poznania, radził się mnie, czy nie lepiej spróbować uruchomić starego

ursusa, by nie drażnić mieszkańców miasta. A przecież tego deere’a nikt mu nie dał w prezencie. Wziął go na kredyt, który będzie miesiącami spłacał. A wziął, bo dzięki temu pracuje w polu dwa czy trzy razy szybciej, wydajniej, a do tego w zamkniętej kabinie, która chroni go przed deszczem, chłodem, a także upałem i kurzem w czasie żniw. Mamy w końcu XXI wiek. Także na wsi. I chyba pora, by ludzie w mieście to zaakceptowali.

Zwłaszcza że w całej tej sprawie protestów nie chodzi tylko o rolników. Nie jest trudno dostrzec łańcuch powiązań między konsumentami żywności a jej producentami. Nie wszystkie postulaty rolników są mądre, nie wszystkie słuszne, lecz te podstawowe są w gruncie rzeczy także w interesie konsumentów. Chodzi o to, by na nasze stoły trafiała żywność zdrowa, wiadomego pochodzenia, wytwarzana w sposób chroniący środowisko. I tak się składa, że te interesy są zbieżne.

Bo czego chcą rolnicy? Najkrócej mówiąc, chcą, by im się opłacało. By ceny zbytu były wyższe od kosztów produkcji, by swoje towary mogli łatwo sprzedać, by Komisja Europejska konsultowała z nimi decyzje dotyczące polityki rolnej, by nie nakładać na nich absurdalnych obowiązków, np. robienia zdjęć pola przed wywiezieniem obornika i po nim itp. Chcą się skupić na pracy, a nie na wypełnianiu papierków dla unijnych urzędników. Chcą stabilizacji.

A tymczasem od dwóch lat mają destabilizację, rosnące lawinowo koszty produkcji i spadek cen zbytu. I do tego kłopoty ze sprzedażą swoich produktów. To teraz. A na przyszłość zaplanowany przez KE Zielony Ład, który zmusza ich do zmniejszenia produkcji (choćby wprowadzając obowiązek odlogowania 4 proc. ziemi czy zmniejszenia o połowę zużycia nawozów i środków ochrony roślin). Jest źle, a ma być jeszcze gorzej. Dlatego

się zbuntowali. Winą obarczają niekontrolowany, olbrzymi import żywności z Ukrainy, który uderzył przede wszystkim w rolnictwo krajów przygranicznych, zaburzył też rynki rolne w całej Unii, oraz Komisję Europejską, która chroniąc klimat, chce im ograniczyć produkcję żywności, co jeszcze zmniejszy dochody gospodarstw.

Aby pojąć, z czym nasi rolnicy się borykają, wystarczy porównać liczby. Na przykład: przed wybuchem wojny w Ukrainie do Polski wpływało 20 tys. ton cukru ze Wschodu, w 2023 r. 450 tys. ton. Albo: przed wojną importowaliśmy 6 tys. ton mięsa kurzego, rok temu 250 tys. ton. Taka jest skala wzrostu importu. Podobnie jest z jajami, pszenicą, kukurydzą, rzepakiem, a nawet mlekiem. Dla rolników to oznacza spadek cen ich produktów i w ogóle kłopot ze zbytem. Było to najbardziej widoczne, kiedy po żniwach w zeszłym roku nie mieli gdzie składować ziarna, bo nasze magazyny były zapchane ukraińskim zbożem.

Dla konsumentów to oznacza, że na nasze stoły trafia żywność, która nie spełnia unijnych standardów. Nie wiemy, czym te importowane kurczaki były karmione, w jakich warunkach trzymane są kury, od których jajka teraz jemy, jakie środki chemiczne zostały użyte przy produkcji zbóż. To dotyczy nie tylko Ukrainy, ale także innych krajów, z których Unia sprowadza żywność. A wprowadzając Zielony Ład, czyli ograniczając unijną pro-

dukcję żywności, KE otwiera szerzej drzwi dla tego pozaunijnego importu. Zielony Ład ma cele klimatyczne, ma prowadzić do większej ochrony środowiska i być ukłonem w kierunku konsumentów, którzy chcą żywności bardziej ekologicznie produkowanej, z większą dbałością o hodowlane zwierzęta. Cel słuszny, lecz ustalając zasady tej zielonej reformy, pominięto głosy rolników. I wymyślono absurd, np. ten o redukcji zużycia środków chemicznych w produkcji rolnej do takiego samego poziomu w każdym kraju bez brania pod uwagę, ile dany kraj ich obecnie stosuje.

Po tych paru tygodniach protestów rolnicy mają pierwsze sukcesy. Nie wszystkie ich zadowalają. Unia co prawda uznała, że jeśli import z Ukrainy będzie zbyt duży, zastosuje mechanizmy ochronne, ale chce ten zbyt duży import porównać do tego, co napłynęło w latach 2022 i 2023, czyli po wybuchu wojny. A to wtedy właśnie ruszyła lawina. Rolników więc takie ustępstwo KE nie satysfakcjonuje, chcą porównania z latami sprzed wojny. Nie zadowala ich złagodzenie wymogu ugorowania 4 proc. ziemi, bo KE lekko ustępuje i zgadza się, by w tym roku wystarczyło obsiewać te 4 proc. określonymi roślinami, w których uprawie nie będą stosowane środki chemiczne. Jednak bezapelacyjnym sukcesem rolników jest wycofanie przez KE ograniczenia stosowania środków ochrony roślin. Szefowa KE zapowiada „szerszy dialog” i „inne podejście” do tej sprawy. To wiatr w żagle dla protestujących, dowód, że ich determinacja nie idzie na marne, potrafią zmusić KE do realnych ustępstw. A pora protestom sprzyja – za niecałe cztery miesiące wybory do europarlamentu, zatem europosłowie jak nigdy są wyzulenii na głosy swoich wyborców. ●

Krystyna Naszkowska

Znajomy rolnik, który zamierzał wjechać swoim johnem deere’em na protest do Poznania, radził się, czy nie uruchomić starego ursusa, by nie drażnić mieszkańców miasta

REKLAMA

KRAJ/34301537

Albatros travel

Japonia – królestwo słońca

Klasyczna Japonia od nowoczesnego Tokio do historycznego Kioto.

Ta wycieczka to niepowtarzalne spotkanie z japońską kulturą. Pośród wielu czekających nas atrakcji są: Złoty Pawilon z listy UNESCO w Kioto, zamek szoguna Nijo, dzielnica gejsz czy ogród zen oraz dawna stolica cesarska – Nara. W Tokio zobaczymy m.in. świątynię shintu Meiji Jingu, park przy Pałacu Cesarskim, słynne skrzyżowanie Shibuya i historyczną dzielnicę Asakusa. Spróbujemy także japońskiej kuchni np. świeżego sushi i kruchej wotowiny wagyu.

10 dni | Wylot z Warszawy 12/11 2024



JAPONIA TOKIO
Kioto
Nara
Góra Fuji

Zeskanuj kod QR i sprawdź cenę!



Japonia i Korea Południowa – azjatyckie tygrysy

Wspaniała podróż do Seulu, Kioto oraz Tokio.

W czasie tej wycieczki poznamy dwie potęgi kulturowe i przemysłowe, gdzie nowoczesność i tradycja tworzą niepowtarzalną mieszankę. Doświadczymy tego w Seulu w Muzeum kimchi i na warsztatach z jego przygotowania, w cesarskim mieście Gyeongju i wiosce Hahoe z listy UNESCO czy na targu żeńszenia. Zobaczymy też strefę zdemilitaryzowaną na granicy z Koreą Północną. Z Korei do Japonii przeptyniemy promem. Udamy się do Tokio i Hiroshimy oraz do Nary – dawnej stolicy. Do Kioto pojedziemy najszybszym pociągami świata Shinkansen by zobaczyć m.in. Złoty Pawilon wpisany na listę UNESCO. Dla chętnych wycieczka dodatkowa na górę Fuji.

16 dni | Wylot z Warszawy 02/04 2024



Strefa Zdemilitaryzowana
KOREA POŁUDNIOWA
SEUL
Punggi
Gyeongju
Busan
Ulsan
Mocze Japonia
JAPONIA
Tokio
Kioto
Nara
Góra Fuji
Hiroshima
Fukuoka



albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76 (8 piętro)

Kod reklamy: GW08

1RP

eprasa.pl 1a1640e96b

Komisja ds. Pegasusu bierze się do największej afery rządów PiS

DWA KOMPUTERY I KILKU TECHNIKÓW

Io ma być najważniejsza komisja śledcza powołana przez koalicję rządzącą. Ani komisja ds. wyborów kopertowych, ani ta od afery wizowej nie mają takiego potencjału: ujawniane stopniowo nazwiska inwigilowanych Pegasusem mają być bombami, które pogrążą rząd PiS i doprowadzą Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika ponownie przed oblicze wymiaru sprawiedliwości.

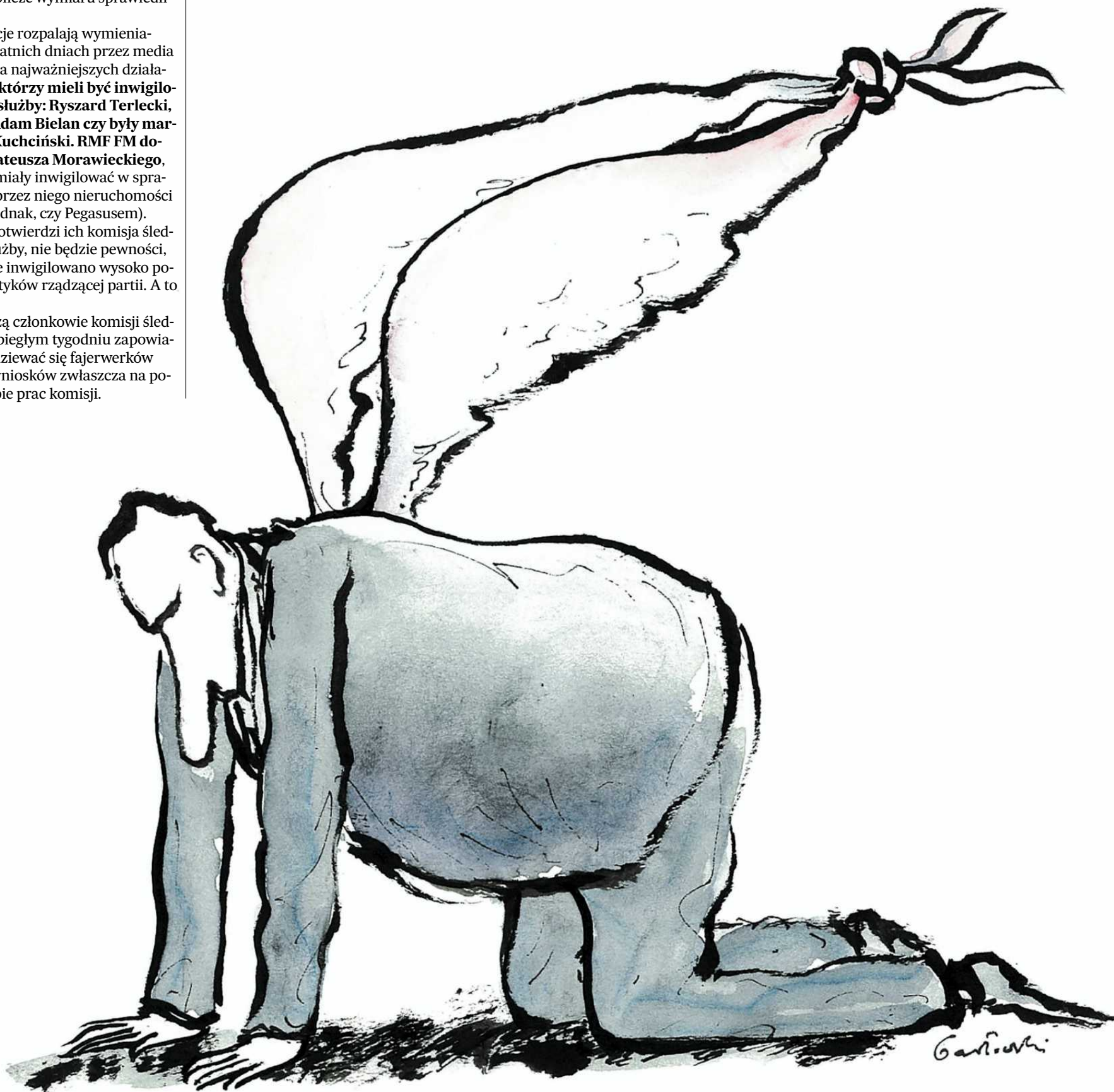
Emocje rozpalają wymieniane w ostatnich dniach przez media nazwiska najważniejszych działaczy PiS, którzy mieli być inwigilowanymi przez służby: Ryszard Terlecki, Marek Suski, Adam Bielan czy były marszałek Marek Kuchciński. RMF FM dodaje do tego Mateusza Morawieckiego, którego służby miały inwigilować w sprawie kupionych przez niego nieruchomości (nie wiadomo jednak, czy Pegasusem).

Dopóki nie potwierdzi ich komisja śledcza ani same służby, nie będzie pewności, czy rzeczywiście inwigilowano wysoko postawionych polityków rządzącej partii. A to może potrwać.

Emocje studzą członkowie komisji śledczej, którzy w ubiegłym tygodniu zapowiedzieli, by nie spodziewać się fajerwerków i efektownych wniosków zwłaszcza na początkowym etapie prac komisji.

Wystarczyło, by ludzie Kaczyńskiego mogli podsłuchiwać szefa sztabu wyborczego opozycji, generałów i najważniejszych polityków własnej rządzącej partii

Michał Kokot, ilustracja Jacek Gawowski



– To żaden wyczyn, żeby zaprosić na jedno z pierwszych posiedzeń Beatę Szydło, by wypowiadała się z zakupu tego programu, gdy była premierem. Bez mocnych dowodów będzie się zasłaniać niepamięcią lub niewiedzą – mówi jeden z członków komisji.

Dlatego komisja chce najpierw zebrać oficjalne dokumenty świadczące o tym, kto stał za zakupem Pegasusa i jak wyglądał cały proces. A to może potrwać.

Część z nich jest jednak znana. Znajdują się na nich podpisy Michała Wosia, wiceministra sprawiedliwości, który polecił wypłatę 25 mln zł z Funduszu Sprawiedliwości na zakup Pegasusa dla CBA. I to on według naszej wiedzy może się spodziewać w pierwszej kolejności zaproszenia przed komisję śledczą. Podobnie jak były wiceminister finansów Piotr Patkowski, który badał naruszenie dyscypliny finansów publicznych (prawo nie pozwala bowiem na finansowanie CBA środkami innymi niż bezpośrednio z budżetu). Patkowski umorzył postępowanie w tej sprawie, uznając wcześniej, że wprawdzie doszło do naruszenia dyscypliny, lecz stało się to w stopniu „znikomym”.

Komisja ds. Pegasusa ma przede wszystkim ustalić, **kto pociągał za sznurki: nie tylko zlecał zakup oprogramowania, ale też decydował o zastosowaniu programu równoczesnego inwigilowania wielu osób.**

Dużo na ten temat mógłby powiedzieć dyrektor pionu technicznego w CBA, który zajmował się instalacją i obsługą Pegasusa. Tyle że zmarł na początku 2022 r., niedługo po tym, gdy na jaw wyszły informacje o tym, że polskie służby używały tego izraelskiego programu do inwigilacji opozycji. Wśród osób z techniki operacyjnej rodzi to rozmaite domysły i teorie spiskowe, które nie są jednak poparte żadnymi faktami.

Naszzych ustaleń wynika, że serce systemu znajdowało się w centrali CBA przy Alejach Ujazdowskich, sąsiadujących z budynkiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Tam, w niewielkim pomieszczeniu, do sieci podpięte były dwa komputery obsługiwane łącznie przez kilku pracowników Biura Techniki Operacyjnej CBA. To oni odpowiadali za obsługę systemu i byli wtajemniczeni w jego niuanse. Czasem decydowali również o tym, jakiej treści SMS-y należy wysłać na telefon osoby inwigilowanej, by zachęcić ją do kliknięcia w pozornie niewinnie wyglądający link do potencjalnie interesującej ich informacji. Krył się za tym link do strony, z której ściągany był Pegasus i instalowany w sposób niezauważalny na telefonie.

Do systemu nie mieli dostępu agenci w terenie, którzy musieli przyjeżdżać do BTO lub – co działo się znacznie częściej – prosić o zgranie informacji na płytę z interesującego ich telefonu. Nie mieli pojęcia, że mają do czynienia z Pegasusem. **Program funkcjonował pod zmienioną nazwą, a ten, kto ją wymyślił, musiał być fanem twórczości science fiction.**

Jedna z wersji głosi, że **Pegasus był używany wewnątrz CBA pod nazwą JARVIS. To określenie sztucznej inteligencji z marvelowskiej sagi o Iron Manie** i jest skrótem od Just A Really Very Intelligent System (Po Prostu Bardzo Inteligentny System).

Według innych źródeł program **był nazywany JERVIS. To postać zaczerpnięta z serialu „Gwiezdne wrota”. Jervis, mieszkaniec bezimiennej planety w galaktyce Pegasus** (sic!), staje na czele rebelii, a następnie kończy tragicznie w zastawionej na niego pułapce.

Informacja o tym, że wśród osób inwigilowanych byli ważni działacze PiS, jest nowością, bo dotąd w przestrzeni publicznej raczej krążyły doniesienia o politykach opozycji (Krzysztof Brejza, szef sztabu wyborczego KO w 2019 r., czy lider odbierającej PiS poparcie na wsi rolniczej Agrounii, dziś minister rolnictwa Michał Kołodziej-

czak), ludziach z nimi kojarzonych (Roman Giertych, który jako adwokat zaszedł za skórę rządzącym, angażując się w sprawę powiązanej z Kaczyńskim spółki Srebrna czy szantażowanego przez władzę bankiera Leszka Czarneckiego) albo niezależnych prokuratorach (Ewa Wrzosek).

A jednak należało się tego spodziewać. **Pegasusem inwigilowani byli nie tylko ważni działacze PiS, ale nawet ludzie z kręgu służb.** Ustaliśmy to na podstawie informacji potwierdzonych listą inwigilowanych osób z Polski, do której „Wyborcza” jako członek międzynarodowego konsorcjum śledczego Pegasus Project miała dostęp.

Otwierają ją Bartłomiej Misiewicz, były rzecznik i zaufany człowiek ówczesnego ministra obrony narodowej Antoniego Macierewicza, wraz z dawnym posłem PiS Mariuszem Antonim K. Obydwaj byli inwigilowani Pegasusem od grudnia 2017 r. przez nieco ponad miesiąc. Ciężar na nich zarzuty powoływania się na wpływy w instytucjach państwowych w zamian za załatwienie korzyści (Misiewicz według prokuratury miał za to wziąć kilkadziesiąt tysięcy złotych).

Fakt inwigilacji Pegasusem pozostaje tajny do końca. Nie wiedzą o nim nawet ci, którzy stanęli przed sądem i zostali oskarżeni na podstawie dowodów zebranych tym systemem.

To przypadek Grzegorza J., byłego posła PiS z Rybnika. Został zatrzymany w 2022 r. w związku z podejrzeniem protekcji w spółkach państwowych – miał obiecywać zatrudnienie. J. nie przyznaje się do winy i już podczas procesu w ubiegłym roku twierdził, że najprawdopodobniej był inwigilowany. Wydedukował to na podstawie zeznań Bogdana Święczkowskiego, byłego zastępcy prokuratora generalnego (czyli Zbigniewa Ziobry), który odpowiadał na pytania przed sejmową komisją opiniującą jego nominację na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Święczkowski odpowiadał wówczas na zarzuty posłów, że służby inwigilowały Pegasusem jedynie polityków opozycji. Stwierdził, że to nieprawda, i powołał się na przykład jednego z posłów „obozu rządzącego”, który został zatrzymany za podejrzone kontakty z biznesmenami. J. uznał przed sądem, że

stał w tym roku ulaskawiony przez Dudę. Za kraty nie trafił tylko dlatego, że złożył wnioszek o wstrzymanie wyroku.

Za pierwszego rządu PiS P. razem z Kamińskim zakładali Centralne Biuro Antykorupcyjne. P. został wtedy dyrektorem zarządu operacyjno-śledczego, tzw. zośki, nadzorującej operacje specjalne. Miał pełną wiedzę o tym, co się dzieje w CBA.

Odszedł z CBA w 2009 r. wraz z Kamińskim, a wkrótce potem został oskarżony i dostał wyrok w zawieszeniu. Ale nie chodziło wtedy jeszcze o aferę gruntową. Sprawa dotyczyła tajnej operacji CBA, w której podejrzanym był ojciec jednej z polskich celebrytek (chodziło o ustawianie przetargów w zamian za łapówki). Mężczyzna został w porę ostrzeżony, a źródłem przecieku okazał się Grzegorz P.

W 2015 r. został skazany wraz z Kamińskim, Wąsikiem i jeszcze jednym dyrektorem w CBA za prowokację podczas afery gruntowej. W 2015 r. całą czwórkę ulaskawił Andrzej Duda, mimo że nie doczekała jeszcze prawomocnego wyroku skazującego.

Po wygranych przez PiS wyborach w 2015 r. P. znalazł się w PKP Cargo. W 2021 r. „Superwizjer” TVN ujawnił, że brał udział w planowaniu przemytu papierosów na wielką skalę z Wietnamu do Europy. Sugerował, by zrobić to drogą kolejową i w jaki sposób je ukryć. Partie trefnych papierosów zostały schowane w wagonach dokładnie właśnie tak, jak mówił.

Mimo dowodów i nagrań włos z głowy mu nie spadł. Występujący w materiale informator „Superwizjera” tłumaczył to tak: – Grzesiek ma taką wiedzę na temat tego, co się działo w CBA za Kamińskiego, że on jest praktycznie nietykalny. Wszystkie operacje: Kwaśniewscy, Pazurowa, Sawicka... To wszystko było w jego wydziale i pod jego nadzorem. Jakby on zaczął gadać, toby Kamiński miał ciepło.

Według naszych informacji Grzegorz P. był inwigilowany Pegasusem od marca do października 2018 r., czyli w czasie, gdy trwała akcja CBA przeciwko przemytnikom papierosów.

Być może w całej sprawie chodziło nie o zdobycie dowodów na winę Grzegorza P., lecz o przekonanie się, co wie w związku z pracą w CBA.

publicznego. Nikt jak dotąd nie dostał żadnych zarzutów.

– Podobno gdzieś w jakieś instytucji państwowej w tej sprawie miał zginać poufny dokument. Ale działania ABW przypominały bardziej łowienie na ślepo – mówi osoba mająca wciąż dobre kontakty w środowisku wojskowym.

Zagadką jest, dlaczego Pegasusem **inwigilowany był gen. Waldemar Skrzypczak, były dowódca wojsk lądowych. CBA instalowała na jego telefonie Pegasusa ponad 20 razy** w podobnym okresie, co u dwóch „generalów”. Nigdy potem nie został przesłuchany przez którąkolwiek ze służb, choćby w charakterze świadka.

Skrzypczak uważał, że w jego przypadku użycie Pegasusa mogło mieć podłoże polityczne. Trwała kampania wyborcza do parlamentu, a on spotykał się z liderami opozycji, którzy sondowali go w sprawie startu z ich list.

Opozycja rzeczywiście była przedmiotem zainteresowania służb. Wprawdzie pierwszym celem Pegasusa był Misiewicz, jednak CBA kilkanaście dni później, pod koniec 2017 r., zabrała się do inwigilacji Sławomira Nowaka, byłego szefa gabinetu Tuska i ministra transportu. Jego inwigilacja była rozłożona w czasie i trwała według naszej wiedzy nieco ponad rok. W tym czasie służby wchodziły na jego telefon co najmniej kilkanaście razy.

Nowak jest dzisiaj oskarżony w procesie o przyjmowanie łapówek, m.in. gdy był szefem ukraińskiej służby drogowej Ukrawtodoru. Według prokuratury miał żądać 10 proc. wartości kontraktów w zamian za ich zatwierdzenie. On sam zatrzymanie i zarzuty komentował w mediach jako „polityczną ustawkę”.

Po zainstalowaniu Pegasusa u Nowaka CBA zainteresowała się telefonem Pawła Tamborskiego. To były wiceminister skarbu w rządzie Donalda Tuska, który odpowiadał za prywatyzację CIECH – jednej z największych firm chemicznych w Europie. Flagowa spółka została wtedy sprzedana jednemu z najbogatszych Polaków Janowi Kulczykowi, a w opinii polityków PiS (dla których Kulczyk, budujący autostrady i biorący udział m.in. w sprzedaży Telekomunikacji Polskiej, był symbolem „złodziejskiej prywatyzacji” oraz „oligarchą”) stało się to o wie-

Agenci w terenie nie mieli dostępu do systemu. Musieli przyjeżdżać do Biura Techniki Operacyjnej CBA lub prosić o zgranie informacji na płytę z interesującego ich telefonu. Nie mieli pojęcia, że mają do czynienia z Pegasusem

to chodzi o niego. Bo kto miał wiedzieć lepiej o tym, jak nie Święczkowski, który do czasu nominacji sędziowskiej podpisywał wnioski o inwigilację?

Nie mylił się. Według naszych informacji CBA inwigilowała go na długo przed zatrzymaniem – od września 2018 do kwietnia 2019 r. Program na jego telefonie agenci instalowali kilkadziesiąt razy.

Innym nieznanym przypadkiem była inwigilacja Grzegorza P., byłego bliskiego współpracownika Mariusza Kamińskiego. Jest on jednym ze skazanych razem z Kamińskim i Wąsikiem za przekroczenie uprawnień podczas afery gruntowej – operacji, której celem był Andrzej Lepper, przywódca rolniczej Samoobrony, wicepremier i minister rolnictwa w pierwszym rządzie PiS (2005-07). W odróżnieniu od dawnych kolegów nie zo-

Nie byłby to pierwszy raz, gdy **służby instalowały Pegasusa po to, by uzyskać informacje, a niekoniecznie znaleźć dowody winy. Taki los najprawdopodobniej spotkał „generalów”, byłych wysokich oficerów Wojska Polskiego,** o których pisaliśmy we wrześniu. Jeden z nich **był w przeszłości członkiem Biura Bezpieczeństwa Narodowego, drugi ważnym członkiem sztabu generalnego.** Obydwaj byli inwigilowani Pegasusem przez cztery miesiące 2019 r. ABW zajęła ich komputery, nośniki pamięci i przesłuchiwała. Od tamtej pory nie zostali o nic oskarżeni i nie występowali już jako świadkowie. Sprawę, w której byli inwigilowani, prowadzi wojskowy oddział Prokuratury Okręgowej w Warszawie. Dotyczy ujawnienia informacji osobie nieuprawnionej przez funkcjonariusza

le za tanio. Przed wyborami w 2015 r. przeczucali się szacunkami kilkusetmilionowych, a nawet miliardowych strat skarbu państwa. Ostatecznie wstępne szacunki prokuratury mówiły o kilkudziesięciu milionach złotych. Sprawa do dzisiaj nie została wyjaśniona i nawet przekazana do sądu.

Tamborski złożył doniesienie do prokuratury w sprawie inwigilacji Pegasusem. Gdy odmówiła wszczęcia postępowania, wiceminister złożył zażalenie do sądu, które teraz jest rozpatrywane.

Niewykluczone, że wymiar sprawiedliwości czekają problemy z Pegasusem. **Istnieje spore prawdopodobieństwo, że wyroki, które zapadły na podstawie zebranych za jego pośrednictwem materiałów, będzie można**

podważyć. Zwiastunem tego jest wyrok, który zapadł kilka miesięcy temu przed wrocławskim sądem apelacyjnym, dotyczący byłego oficera ABW, który zdaniem prokuratury miał podlegać do ujawnienia poufnej informacji przez czynną oficer tej samej służby. Mężczyzna został skazany w pierwszej instancji, ale gdy złożył apelację, został uniewinniony. Sąd ocenił, że był inwigilowany Pegasusem (wskazywały na to rozmaite poszlaki, choć bezpośredniego dowodu nie było). **Sąd uznał, że w świetle polskiego prawa Pegasus jest nielegalny jako zbyt inwazyjny.**

Chodzi o to, że program ten raz zainstalowany w telefonie zasysa całą jego zawartość, łącznie ze wszystkimi, nawet najstarszymi SMS-ami i wiadomościami z szyfrowanych komunikatorów. Tymczasem sądy, godząc się na kontrolę operacyjną przez służby, czynią to tylko na ściśle określony okres. W zgromadzonym materiale dowodowym znalazły się rozmowy z komunikatora skazanego oficera ABW sprzed okresu, kiedy służby wystąpiły o inwigilację. A więc skoro narzędzie do zbierania dowodów było zastosowane w sposób nielegalny, za taki należy też uznać materiał od niego pochodzący.

To może się okazać dużym problem w przypadku spraw o czysto kryminalnym podłożu. CBA inwigilowała Pegasusem bowiem również osoby podejrzewane o udział w mafiach VAT-owskich i lekowych, które mogą próbować wzruszyć wydane na nie wyroki.

Przeczesywanie dziesiątek tysięcy wiadomości i setek gigabajtów danych w celu znalezienia dowodu przestępstwa nazywane jest tralowaniem. Taki przypadek przydarzył się Brejzie, któremu agenci zainstalowali Pegasusa w 2019 r. 40 razy. Aż 29 „infekcji” przypadło na okres kampanii wyborczej, gdy Brejza kierował sztabem Koalicji Obywatelskiej.

W 2019 r. CBA ściągnęła Pegasusem całą zawartość jego telefonu, w tym 80 tys. wiadomości pochodzących z okresu kilkunastu lat. Prowadzący sprawę agent pieczolowicie przeczesywał je, by znaleźć dowód na jakiegokolwiek przestępstwo Brejzy, gdy nie udało się udowodnić żadnej z wcześniej postawionych przez służby tez. Selekcjonował wiadomości z telefonu Brejzy od osób, które wysłały mu SMS-y z prośbą o pomoc, np. w załatwieniu pracy. I choć polityk nie odpowiadał na nie, agent wzywał na przesłuchania nadawców wiadomości, dociskając ich, czy na pewno nic Brejzie nie zawdzięczają.

Była to desperacka próba znalezienia czegokolwiek, co uzasadni wielki wysiłek CBA, jaki został włożony w próbę oskarżenia Brejzy. Starania zakończyły się fiaskiem, a wkrótce prowadzący jego sprawę agent postanowił odejść ze służby i przejść na emeryturę. Niedługo potem, **gdy na jaw wyszło, że Brejza był inwigilowany Pegasusem, z CBA ewakuowało się również szefostwo bydgoskiej delegatury, które prowadziło sprawę. Jej były szef Jarosław S. znalazł lukratywne stanowisko w Orleniu, a niedługo potem dołączyła do niego jego zastępczyni Zuzanna M.**

Pretekstem do inwigilacji Brejzy była tzw. afera inowrocławska. Zaczęła się od zgłoszenia obywatelskiego w bydgoskiej delegaturze CBA o lewych fakturach wystawianych na rzecz wydziału promocji w urzędzie miejskim w Inowrocławiu. Jego prezydentem był wówczas Ryszard Brejza, ojciec Krzysztofa. Agenci szybko potwierdzili kryminalny proceder i uznali, że stoi za nim Agnieszka Ch., szefowa wydziału i dawna działaczka PiS. To ona miała wystawiać fikcyjne faktury, a także namawiać do tego zaprzyjaźnionych przedsiębiorców, z którymi później dzieliła wyludzone z magistratu pieniądze. Zdaniem prokuratury łącznie ukradła ponad 250 tys. zł, za co w części sfinansowała budowę domu.

Śledztwo zmierzało ku końcowi, gdy niespodziewanie Ch. zaczęła pod koniec

2018 r. obciążać Brejzów i twierdzić, że kradła z urzędowej kasy pieniądze na ich polecenie po to, by mogli finansować kampanię wyborczą oraz opłacać urzędników, którzy w czasie pracy szkalowali ich oponentów politycznych w internecie.

Po latach żaden z tych zarzutów się nie potwierdził. Sprawa skończyła się skandalem w służbach. Departament Operacyjno-Śledczy w CBA jeszcze pod koniec rządów PiS zlecił analizę tego, jak prowadzone było to postępowanie. Raport, który zdobyła „Wyborcza”, jest druzgocący dla służb. Wynika z niego, że **sprawa została uszyta na polityczne zamówienie samej góry w CBA.**

Skoro narzędzie do zbierania dowodów było zastosowane w sposób nielegalny, za taki należy też uznać materiał od niego pochodzący

Komisja ds. inwigilacji i służby będą musiały się przyjrzeć temu, jak telewizja publiczna za rządów PiS współpracowała z CBA

Świadczy o tym faks nadany z gabinetu Ernesta Bejdy, ówczesnego szefa CBA, do delegatury w Gdańsku (która nadzorowała wtedy Bydgoszcz). Zawiera „projekty zarzutów dla Ryszarda i Krzysztofa Brejzów”. Faks przyszedł z gabinetu Bejdy 11 kwietnia, dwa tygodnie przed tym, gdy zaczęła się inwigilacja Pegasusem Brejzy.

Szefostwo CBA chciało, by Krzysztof Brejza został oskarżony o przyjmowanie na kampanię pieniędzy z urzędu pochodzących z lewych faktur. Jego ojcu CBA chciała wpleść zarzut wyludzenia pieniędzy z urzędu na zakup sprzętu do szkalowania przeciwników w internecie.

Ostatecznie Krzysztof Brejza nie dostał żadnych zarzutów. Postawiono je jego ojcu w styczniu 2022 r. Jak czytamy w wewnętrznym raporcie, ich podstawę „stanowiły wybrane oświadczenia podejrzanej [Agnieszki Ch.]”, która „sama sobie zaprzeczala w toku wyjaśnień”. Autor raportu stwierdza również, że jej słów nikt nie konfrontował z rzeczywistością i przyjmowane były za dobrą monetę, ostatecznie zaś Ch. wycofała się z wcześniejszych oświadczeń, dlatego postawione Ryszardowi Brejzie poszczególne punkty z zarzutów „weryfikują się negatywnie”.

Z dokumentów wynika również, że **CBA bardzo naciskała prowadzącą sprawę prokurator, by wreszcie postawiła zarzuty starszemu Brejzie. Sytuacja była absolutnie nietypowa, bo w świetle prawa to prokuratura powinna kontrolować pracę służb, nigdy odwrotnie.** Prokuratora opierała się presji służb, odsyłając materiał do uzupełnień. Ostatecznie zarzuty Ryszardowi Brejzie postawił jej przełożony – prokurator okręgowy w Gdańsku. Sprawa ciągnie się do dzisiaj, a po zmianie gdańskiej prokurator regionalnej, zaufanej

Ziobry, podobno nikt za bardzo nie wie, co ze śledztwem dalej zrobić.

W wewnętrznym raporcie CBA znajdują się dwie krótkie konkluzje niekorzystne dla Krzysztofa Brejzy. Jedna wskazuje, że mógł mieć wpływ na zatrudnienie poszczególnych pracowników w urzędzie promocji, druga – że mógł mieć wpływ na pracę wydziału promocji w inowrocławskim magistracie. Jednak na żadną nie znalazły się dowody dające podstawy do oskarżenia.

Jeszcze w 2019 r., a także w kolejnych latach rządowa telewizja eksploatowała ten wątek. Głównym autorem przecieków ze śledztwa CBA był Samuel Pereira z TVP Info. Publikował pomówienia Agnieszki Ch., a także zmanipulowane wiadomości z te-

jeszcze służyć temu, by obrzucić rozpracowywaną osobę błotem.

Roli telewizji państwowej w tym procesie i tego, jak współpracowała ze służbami, będą musiały się przyjrzeć zarówno sejmowa komisja ds. inwigilacji, jak i same służby.

Otym, że podczas audytu służb sporą rolę może odegrać sprawa Brejzy, świadczą decyzje personalne, które nowy rząd i koalicja rządząca podjęły w związku z obsadą CBA oraz sejmowej komisji.

Na czele Centralnego Biura Antykorupcyjnego stanęła kilka tygodni temu Agnieszka Kwiatkowska-Gurdak. W lutym 2022 r. została ostatnią prowadzącą sprawę inowrocławską. I to ona zwróciła uwagę na nieprawidłowości, które popełnili agenci. Przede wszystkim doprowadziła do konfrontacji Agnieszki Ch., głównej oskarżonej, z Ryszardem Brejzą, podczas której wyszło na jaw, że była działaczka PiS kłamała w sprawie i jego, i jego syna. Zgłosiła również zniszczenie płyty z dowodami na inwigilację Brejzy Pegasusem.

Była murowaną kandydatką do objęcia delegatury w Bydgoszczy, a jednak kierownictwo Biura za rządów PiS do końca jej nie ufalo: szefową delegatury nigdy nie została, lecz jedynie pełniącą jej obowiązki. Dopiero po zmianie władzy dostała propozycję objęcia kierownictwa całej agencji.

Wiedzę o sprawie Krzysztofa Brejzy ma zapewne również **Magdalena Sroka, szefowa komisji ds. inwigilacji Pegasusem.**

Sroka **jest krytycznie oceniana za to, że w przeszłości była posłanką Zjednoczonej Prawicy. Do tego broniła policji podczas antyrządowych protestów za czasów PiS.** Należała do Porozumienia, krótko była nawet szefową tej partii, gdy z polityki postanowił się wycofać Jarosław Gowin. Jej próby sklejania wtedy koalicji z Agrounią Michała Kołodziejczaka skończyły się fiaskiem. Wkrótce sama Sroka ewakuowała się z Porozumienia i znalazła na listach PSL, z którego dostała się do Sejmu.

Niektórzy politycy rządzącej koalicji wątpliwają, czy nie mając zbyt dużego doświadczenia politycznego, poradzi sobie na stanowisku szefowej komisji. – Jeśli znacznie być gorąco, kto wie, czy da radę odeprzeć ataki polityków PiS, którzy rzucą jej się do gardeł – mówi jeden z posłów.

Jej wielkim atutem jest jednak doświadczenie w prowadzeniu śledztw. Przez kilkanaście lat była policjantką w gdańskiej komendzie wojewódzkiej. Zna lokalnych policjantów i prokuratorów. To z Gdańska wywodzą się byli szef bydgoskiej delegatury CBA Jarosław S. oraz agent Maciej W., który prowadził od początku sprawę inowrocławską. I to z gdańska prokuratura regionalna ręcznie sterowała śledztwem w ich sprawie.

Pierwsze posiedzenie komisji sejmowej ds. inwigilacji Pegasusem zaplanowane jest na poniedziałek. ●

„Polska na podsłuchu. Jak Pegasus, najpotężniejszy szpieg w historii, zmienił się w narzędzie brudnej polityki”. Reporterska książka śledcza Michała Kokota już w dobrych księgarniach, na KulturalnymKlepie.pl i w formie e-booka na Publio.pl



Piła

Jeśli Morawiecki chciał się posłużyć metaforą prasy hydraulicznej, powinien był powiedzieć, że czuje się dociskany do podłogi, a nie do ściany.

Michał Rusinek



o przegranych wyborach parlamentarnych Prawo i Sprawiedliwość rozpaczliwie poszukuje mitu, na którym mogłoby zbudować narrację o sobie. Mieliśmy już do czynienia z torturowanymi męczennikami, reductą Orдона, obroną Kamieńca, powstaniem warszawskim, oknem papieskim, stanem wojennym, a także Hitlerem. Wygląda jednak na to, że żaden z tych mitów nie spełnił pokładanych w nim nadziei, poszukiwania zatem trwają.

Politykiem szczególnie aktywnym na polu owych poszukiwań wydaje się Mateusz Morawiecki. Opisu­jąc prześladowania, jakie spotyka­ją ostatnio prawicę, powiedział: „Je­steśmy coraz bardziej przygniata­ni, tam, do tej ściany, prasą pneuma­tyczną”. Wizja to makabryczna i sur­realistyczna zarazem. Makabrycz­na, bo prasa pneumatyczna jest ma­szyną roboczą służącą do zgniata­nia przedmiotów umieszczonych pomiędzy jej elementami, zwielo­krotniającą siłę nacisku dzięki wy­korzystaniu zjawiska stałości ciśnie­nia w zamkniętym układzie hydrau­licznym (czyli wykorzystującą pra­wo Pascala). Jeśli zamiast do zgniata­nia przedmiotów, stosuje się ją do zgniatania ludzi, mamy do czynie­nia z narzędziem tortur zbliżonym do tradycyjnych zgniataczy czy hisz­pańskich butów lub tak wysublimo­wanych metod zadawania śmierci jak miażdżenie przez słonia czy pe­ine forte et dure, której to karze pod­dano w Wielki Piątek 1586 roku Mał­gorzatę Clitherow, dodajmy dla po­rządku, że świętą katolicką. Zdaje się, że nawet najgorszy zwyrodnialec nie wpadł jednak na pomysł, by zgniatać na przykład swoich politycz­nych oponentów prasą hydrauliczną. Można sobie wyobrazić, że mógł­by wpaść na niego jakiś autor szcze­gólnie krwawych skandynawskich kryminałów, pozbawiony jednakże wiedzy na temat działania takiej pra­sy: nie da się nią bowiem dociskać niczego (więc i zapewne nikogo) do ściany. Prasa hydrauliczna porusza się bowiem z góry na dół; układ hy­drauliczny wzmacnia siłę grawita­cji. Jeśli więc Morawiecki chciał się posłużyć metaforą prasy hydraulicz­nej, powinien był powiedzieć, że czu­je się dociskany do podłogi, a nie do ściany. Tę ścianę zaczerpnął zapew­ne z idiomatycznego frazeologizmu, a może i dwóch: można bowiem „zo­stać postawionym pod ścianą”, czyli w trudnej sytuacji, w której jeste­śmy zmuszeni robić coś, czego nie chce­my. A jeśli nas do tej ściany się jesz­cze czymś dociska, to w ogóle nic nie możemy zrobić. Pod ścianą stawia się także skazańców, by ich rozstrze-

lać, a w słowniku szkolonym „trafić pod ścianę” oznacza zostać wziętym do tablicy. Mamy więc do czynie­nia z połączeniem, by nie rzec – po­mieszaniami, metaforyki z frazeolo­gią. A jeśli jeszcze dodamy inne zna­czenie słowa „prasa”, która rzeczywi­ście „dociska” polityków prawicy, bo ujawnia ich niegospodarność i prze­kręty oraz stawia ich pod ścianą, za­dając trudne pytania, będziemy mie­li obraz surrealistyczny przypomi­nający średniowieczne tortury. Na­wet jeśli nie nam, to zapewne polity­kom PiS-u.

W swoich rozpaczliwych poszuki­waniach mitu Mateusz Morawiecki sięgnął jeszcze głębiej. Powiedział mianowicie na spotka­niu w Legnicy: „Szanowni państwo, nie mogą nas rznąć piłą, a my bę­dziemy się uśmiechać”. Różnicę piłą to nie tylko krwawa i makabryczna tortura, ale i obraz za­czerpnięty z historii Polski, a utrwalo­ny w literackich przedstawieniach rabacji galicyjskiej. Przypomnijmy, że w lutym 1846 roku na terenie za­chodniej Galicji doszło do powsta­nia chłopskiego o charakterze anty­pańszczyźnianym i antyszlacheckim, któremu przewodził między innymi Jakub Szela. W okrutny i drastyczny sposób zamordowano wówczas po­nad tysiąc ziemian, urzędników rzą­dowych i dworskich. Bruno Jasień­ski w „Słowie o Jakóbie Szeli” pisał: „Tam, gdzie most się z rzeką mijał,/ co pokryła kra ją./ ponoś chłopcy pa­nów biją./ pilami ich krają”. A Pan Młody w „Weselu” Wyspiańskiego mówi, że owe „krwawe zapusty” zna­tylko z opowiadań: „ale strzegę się tych badań,/ bo mi trują myśl o pol­skiej wsi:/ to byli jacyś psi./ co wody oddechem zatruli,/ a krew im przy­rosła do koszuli”. I tu następuje prze­stroga z ust Gospodarza: „To, co by­ło, może przyjs”, oraz sławetne słowa Pana Młodego: „Myśmy wszystko za­pomnieli/ mego dziadka piłą rzną­li.../ Myśmy wszystko zapomnieli”. Nie zapomniał Mateusz Mora­wiecki.

Nie tylko odwołuje się on bowiem dziś do mitu „krwawych zapustów”, ale też ogłasza, że oto przepowied­nia Gospodarza właśnie się spełnia. Mamy bowiem w Polsce nowego Jakuba Szele, czyli Donalda Tuska. Jego nazwisko po kaszubsku zna­czy przecież „piesek”, a więc jest on jednym z tych psów, co „wody od­dechem zatruli”. Ale to nie wszyst­ko. Istnieje teoria historyków, że ra­bacja galicyjska była sprowokowa­na przez władze austriackie, żeby doprowadzić do rozdźwięku w pol­skim społeczeństwie i zapobiec po­wstaniu. W rzezi galicyjskiej zginę­ła spora część szlachty o skłonno­ściach powstańczych. Morawiec­ki sytuuje się więc jako przedsta­wiciel kontynuatorów idei polskiej szlachty, która wprawdzie ciemię­żyła lud, ale przecież miała poglądy patriotyczne. Owszem, były jakieś afery, jakieś przekręty i rozdaw­nictwo swoim, lecz zawsze z Pol­ską na ustach! A kiedy teraz ten lud – zapewne z pomocą obcych mo­carstw – przejął władzę, to się na owej „szlachcie” krwawo mści. Ale „szlachta” uśmiechać się nie zamie­rza. Będzie wyła wniebogłosy jakąś pieśń o sobie. Oczywiście jak tylko znajdzie stosowny mit, na którym ową pieśń można będzie skompo­nować.

Nie ma czekania, nie ma radości

Przednówek – słowo odchodzące w nie­pamięć w czasach, w których nie braku­je nam niczego, może tylko braku.

Marcin Matczak



Przednówek – dziwne słowo. Czas przed nowymi zbiorami, kiedy koń­czą się te zeszloroczne. Czas braku, w którym chłopci jedli lebiodę czy chleb z perzu, żeby przeżyć. Słowo odcho­dzące w niepamięć w czasach, w których nie brakuje nam niczego, może tylko braku.

Dla większości z nas, mieszcuchów, ja­kiekolwiek zbiory – czy to nowe, czy to ze­szloroczne – to całkowita abstrakcja. Jeże­li coś zbieramy, to burzę, bo siejemy wiatr. Dzięki wynalazkowi importu konsumujemy ciągle, nie potrafimy więc już sobie nawet wyobrazić deficytu, depriwacji, pozbawie­nia, bo wszystko ciągle jest.

Piszę o przednówku na dzień przed walen­tynkami, dniem wymyślonym z miłości do konsumpcji, w którym w tym roku katolicy zaczynają Wielki Post. I zastanawiam się, jaka jest rola postu dzisiaj, kiedy wszystko jest. Piszę, bo jestem prawnikiem, a praw­nicy to specjaliści od norm powszechnych, obowiązujących każdego. Niekoniecznie tylko prawnych. Kiedyś normy religijne, moralne i prawne były pomieszane w wiel­kim tygłu zwyczajów. I czy nam się to po­doba, czy nie, to właśnie te religijne odgry­wały kluczową rolę jako masowe narzędzia kontroli zachowań.

Post jest obecny we wszystkich wielkich religiach. W czasie muzułmańskiego rama­danu czy żydowskiego Jom Kippur jest cza­sem powstrzymywania się od czegoś, co da­je przyjemność: jedzenia, seksu, rozryw­ki. Co się dzieje z postem w czasach upad­ku religii?

Czy – analizując nasze zwyczaje w świe­tle teorii ewolucji zastosowanej do kultu­ry – możemy powiedzieć, że post jak wie­le przestawów religijnych wyginął? Zanikł, bo przestał być nam potrzebny? Jak norma­tywny ogon, który porzuciliśmy w ciągu na­szej ewolucji i pozostało po nim tylko wspo­mnienie, niczym kość ogonowa? A może jest post jak normatywny kciuk, który seku­laryzacja nam odcięła i boleśnie odczuwa­my jego brak?

Jak z wieloma religijnymi konwencjami tak i z postem nasza cywilizacja się przepra­sza. Większość z nas nie obchodzi już Po­stu Wielkiego, ale wielu wdraża posty ma­lutkie: dietetycy polecają post przerywany (intermittent fasting), który poprawia zdro­wie fizyczne. Terapeuci uzależnień zaleca­ją post facebookowy czy ogólnie interneto­wy w trosce o nasze zdrowie mentalne. Za­ważamy, jak mówią krytycy mediów spo­łecznościowych, że jabłko na naszym iPho­nie jest nadgryzione, co przywołuje na myśl raczej grzech niż świętość. A stara mądrość, że to głód jest najlepszą przyprawą, trium­fuje zza grobu.

Można by powiedzieć: okej, skończyliśmy z religijnymi normami, które były nam opresyjnie narzucane, teraz każdy decy­duje sam. Ale czy ta wolność decydowa­nia jest na pewno dobrą drogą? Zwalczyli­śmy paternalizm religijny, ale czy nie staje-

my wobec problemu paternalizmu zdro­wotnego?

Przykład: wierzymy, że jako społeczeń­stwo mamy prawo narzucać wszystkim obowiązek szczepień. Lecz nie wszyscy dzi­siaj się z nim godzą – z roku na rok ludzie składają do sądów na całym świecie coraz więcej skarg kwestionujących obowiązkowe szczepienia. Wiemy, że skuteczność szcze­pień jest naukowo dowiedziona. Ale tak sa­mo naukowo dowiedliśmy szkodliwości pa­lenia tytoniu, tłustej i słodkiej diety czy uza­leżniającego, ciągłego obcowania ze smart­fonem. Może tu także potrzebny jest nowy paternalizm, drastyczne ograniczenie in­nym ich wolności? Czy nie powracamy więc do dawnego przekonania, że powszechne konwencje postne są nam znowu potrzebn­e? Wracamy zatem do nich, tyle że w no­wej formie.

Można jeszcze bardziej kontrowersyjnie: a co, jeśli ten cykl naszego stosunku do tra­dycyjnych konwencji (ślepe posłuszeństwo – kwestionowanie – odrzucenie – powrót) będzie dotyczył nie tylko postu? Może także inne konwencje religijne będą go przecho­dzić. Na przykład te dotyczące naszej seksu­alności? Skąd wiadomo, że z nowoczesnym zachłysnięciem się seksualną wolnością, po­kłosiem lewicowej rewolucji lat 60., nie bę­dzie tak samo jak z naszym obecnym wiel­kim żarciem? Może dawna mądrość kon­wencji i tu nam się na nowo objawi i będzie­my musieli się z nimi przeprosić? Taka myśl to chyba jednak dla postępowego czytelnika tej gazety już za wiele.

Mimo że konwencje powszechne, takie jak te postne, stają się prywatne, problem pa­ternalizmu do nas powraca – bo jest wielka różnica między normą przestrzeganą po­wszechnie, odruchowo i normą przyjmowa­ną dobrowolnie, indywidualnie. Ta dru­ga działa słabiej, jest bardziej zawodna.

Nadrabiamy więc edukacją – w zakre­sie odżywiania na przykład. Nie nakłada­my jeszcze grzywny za zjedzenie pączka, na razie zachęcamy do zdrowego trybu ży­cia. Wprowadzamy podatek cukrowy, że­by zwiększyć cenę szkodliwych produktów i do kupna zniechęcić. Cass Sunstein, ame­rykański prawnik, zastanawia się, czy moż­na tak uregulować wystawianie niezdrowej żywności w sklepach, żeby ludzie jej mniej kupowali. Staramy się więc prywatne na­wyki na nowo uczynić publicznymi. Nieste­ty, w sprawie szczepień edukacja nie dzia­ła tak, jak byśmy chcieli, i musimy do nich przymuszać. Z czym jeszcze tak będzie?

Czy przyjdzie czas, gdy odżywianie, tak jak szczepienie, uregulujemy znowu suro­wymi normami powszechnymi? Gdy rząd potraktuje obywateli znów jak małe dzieci i wprowadzi post ustawowy? Kiedy patrzy się na te prawdziwe, nie sposób tego wy­kluczyć. Mają wszystko, żyją w ciągłej nad­produkcji doświadczeń i smakują tak wie­le, że nie smakuje im już nic. Święta ani dla nich, ani dla ich rodziców nie są wyjątkowe, bo codziennie jest jak w święta („codziennie mam sylwester”, komunikuje pewien mło­dy artysta). Idea prezentu, który jest wyjąt­kowy, także wyginęła – nie sposób znaleźć rzeczy specjalnej, gdy specjalne przez cały rok musi być wszystko. Jak w takiej sytuacji szczególniemu czasowi nadać szczególność?

Nie ma braku, nie sposób więc odczuć peł­ni – jakbyśmy ciągle jedli na pełny żołą­dek. Nie ma czekania, bo wszystko jest tu i teraz, dlatego nie ma radości z doczeka­nia. Może więc czas się przeprosić z lek­ceważonym religijnym rytuałem i wrócić do idei postu – w konsumowaniu i fizycz­nym, i wirtualnym. Przeżyć przednówek ja­ko symbol oczekiwania na obfitość – do­świadczyc jej jako wyjątku, a nie męczącej zasady.

Dorota Gawryluk na prezydenta – nadinterpretacja reklamy nowego programu Polsatu
czy zabieg Zygmunta Solorza o przychylność nowego rządu dla elektrowni atomowej?

Piotr Głuchowski

ZAWSZE BYŁAM TROCHE DOJRZALSZA



FOT. MATERIAŁY PRASOWE POLSAT

Wia­do­mość pt. „Gawry­luk może wy­star­to­wać na pre­zy­den­tkę Pol­ski” og­ło­sił ja­ko pier­wszy – 5 lu­te­go – ek­spe­rcki ser­wis Polityka Insight. In­for­ma­cję pow­to­rzyły m.in.: Onet, Wirtualna Polska, Business Insider, „Wy­bor­cza”.

Dziennik „Fakt” wy­na­jał na­wet spe­cja­listkę od taro­ta, która wy­wró­żyła, że pa­ni Do­ro­ta roz­kre­ci się w ka­rie­rze poli­tycznej, choć pre­zy­den­tem wed­ług kart nie zo­sta­nie. Po­za tym ta­bloid za­cy­to­wał an­o­ni­mo­we­go in­for­ma­to­ra, który twierdzi, że wy­borczy start dzien­ni­karki, za­ra­zem dy­rek­to­rki z Polsatu, „to wielkie marzenie Zygmunta Solorza”, głów­nego wła­ści­ciela sta­cji.

Dlaczego? Bo Solorz na­dał po­tre­bu­je do­stęp­u do sa­lo­nów władzy, który miał w cza­sa­ch PiS. Przy­kład – 31 paź­dziernika 2018 r. mi­liard­er spot­kał się w sto­lecznej Świątyni Opa­tr­no­ści Bożej z pre­mie­rem Mateuszem Morawieckim. Ofi­cj­al­nie roz­ma­wia­li o ob­cho­dach 100-lecia od­zyska­nia przez Pol­skę pań­stw­o­wo­ści i do­ku­men­cie „Nie­po­d­le­głość”, który umie­ścił w ofe­r­cie (za darmo) ser­wis Polsat Go. Dziennikar­ze wy­kry­li jed­nak, że cho­dzi­ło rów­nie­ż o czę­sto­tli­wo­ści dla Cyfrowego Polsatu i ulgę z wy­nika­ją­cej stąd, a wy­no­szą­cej po­nad mi­liard opła­cie na rzecz skar­bu pań­stwa. Po spotka­niu zo­sta­ła ona roz­łożo­na na do­godne ra­ty.

Nim bi­z­ne­smen przys­ta­pił do ne­go­cja­cji w kwes­tii czę­sto­tli­wo­ści, „doko­nał re­wo­lu­cji ka­dro­wej w pro­gramie Polsat News, który w efek­cie skre­cił w prawo” – pi­sa­ła na la­mach „Wy­bor­czej” Do­minika Wielowieyska. „Stery swego kanału in­for­ma­cyj­nego uwa­żanego za poli­tycz­nie naj­bar­dziej neu­tral­ny od­dał w ręce Do­ro­ty Gawryluk, dzien­ni­karki, która sym­pa­ty­zuje z PiS” – za­u­wa­żyła. Wskutek tego „z jednej strony te­le­wizja rzą­dowa wa­liła opo­zy­cję pałką po głowie, za­spo­ka­ja­jąc emo­cje twar­dego elekto­ratu PiS, z drugiej strony ofe­r­te dla umiarkowanych, nie­prze­ko­nanych i obo­jęt­nych ser­wo­wał przy­jazny władzy, ale sto­nowany Polsat”.

W roku 2015 do te­le­wizji Solorza spły­nęło (wed­le rapo­rtu NIK z ub.r.) 16 proc. kwoty, jak­ą spółki skar­bowe wy­da­ły na re­kla­mę w me­diach; dwa lata póź­niej już 34 proc. W tym samym cza­sie wy­datki na TVN spa­dły z 22 do 1,5 proc. A cho­dzi o ol­brzymie pi­e­niądze. Choć naj­więk­sze z zarzą­dza­nych przez nominatów PiS spółek (m.in. Orlen) nie wpu­ściły kontrolerów od Mariana Banasia za próg, to na­wet prze­gląd tych mniejszych po­ka­zał, że tylko w la­tach 2017-21 wy­da­ły na pro­mo­cję – głów­nie w Pol­sa­cie i TVP – po­nad mi­liard zło­tych.

Co to ma wspól­nego z Gawryluk? Trze­ba spojrzeć na chro­no­lo­gię.

- Pod­czas kam­pa­nii pa­rla­men­tarnej w 2015 r. Polsat od­de­go­lo­wał ją do de­baty Beata Szydło – Ewa Kopacz, choć po­cząt­ko­wo starcie miał mo­de­ro­wać Jarosław Gu­ga­ła. Nowogrodzka za­ży­czyła so­bie jed­nak zmianę (o czym pi­sa­li w „Wy­bor­czej” Le­szek Kostrzewski i Piotr Miączyński). Pre­mier Kopacz była o­stro py­ta­na o afe­ry rządu PO-PSL, ale an­a­lo­gic­znych py­tań kan­dy­datce PiS pro­wad­ząca już nie sta­wia­ła.
- Po zwycięstwie „dobrej zmian­y” Gawryluk zo­sta­ła szefową flagowego pro­gramu in­for­ma­cyj­nego Polsatu, czyli „Wy­darzeń”.
- W 2018 r. objęła kie­row­nic­two całej pu­blicystyki oraz in­for­ma­cji i w tej roli ścią­gnęła do pracy Bogdana Rymanowskiego z TVN. Był tam uwa­żany za osobę naj­le­piej to­le­ro­waną przez obóz PiS – za­lat­wiał m.in. wy­wia­dy z pre­zy­den­tem Andrzejem Dudą, co dla in­nych dzien­ni­karzy sta­cji było nieo­sią­galne.
- W gru­dniu zesz­le­go roku, gdy uformo­wał się rząd obecnej koa­li­cji, Gawryluk zo­sta­ła odwo­łana. Teraz jest dy­rek­to­rką pio­nu kanałów tematycznych: Pol­sat Rodzina, Pol­sat Music, Pol­sat Games itd.

● ● ●

Gdy zadzwoniłem do dzien­ni­karki, by umó­wić się na roz­mowę, była zdziwiona i nie­co roz­ba­wiona: – Miło, że ktoś wresz­cie chce roz­ma­wiać, bo na ra­zie pi­szą o mnie bez kon­tak­tu ze mną. Czy­ta­m róż­no­ści...

– Ma pa­ni być tajną bro­nią Zygmun­ta Solorza-Żaka. Polsat już przy­go­to­wał 60 mln na pa­ni kam­pa­nię. Tak na­praw­dę bę­dzie pa­ni nie­for­malną kan­dy­datką PiS, bo wspiera tę par­tię od dłuż­szego cza­su...

– W jakiś sposób?

– Po­dob­no po­śred­ni­czyła pa­ni w ne­go­cja­cjach między pró­bu­ją­cym zdobyć po­par­cie dla swojego trze­ciego rządu Mateuszem Morawieckim a Władysławem Kosi­niakiem-Kamyszem.

– To ciekawe! Jest tylko jeden problem. Musiałabym znać pa­nów bliżej, mieć ich zaufanie. Służbowe re­la­cje to za mało. Nie znam żad­nego z nich pry­wat­nie.

– Ale po­dob­no chadza pa­ni na Nowo­grodzką.

Dziennikarka się śmieje.

– Przez lata sama pro­wad­zi­łam re­search do swoich pro­gramów, więc by­wa­łam w partyjnych sie­d­zi­bach SLD, a potem Le­wicy, na Rozbrat, dalej Pla­to­f­my w bu­dyn­ku Czy­tel­nika, by­wa­łam i na Nowogrodzkiej, choć rzadziej niż w biurach PO.

– Co to znaczy rzadziej?

– Raz na kilka lat. Mogłabym te wszyst­kie od­wie­dzi­ny w cen­tralach poli­tycz­nych po­liczyć na palcach. Za­zwyczaj były to wy­wia­dy z szefem danej par­tii. Za­tem od­po­wie­dź

Wielowieyska: *Gdybyśmy mieli pretendenta z PiS i osobno Dorotę Gawryluk, a jeszcze Konfederacja by kogoś wystawiła, to sytuacja wyglądałaby dla Kaczyńskiego nie najlepiej. Głosy prawicy mogłyby się rozłożyć i może dojść do drugiej tury między Hołownią a politykiem KO*

brzmi: nie, nie chadzam na Nowogrodzką.

– Jed­nak z Jarosławem Kaczyńskim się zna­cie...

– Jak z dziesiątkami in­nych pro­mi­nen­tów. Nie je­ste­śmy na „ty”, je­że­li o to cho­dzi.

– A z kim się pa­ni „tyka” spośród poli­tyków?

– Z Mariuszem Łapińskim, mi­ni­strem zdro­wia w rządzie SLD-PSL. Pomogliśmy choremu chłopcu, którego trzeba było wy­śłać na za­gra­nicz­ne le­cze­nie. Rodzina na­pi­sała list do redakcji Polsatu...

– ...gdzie pa­ni była wów­czas opie­kun­ką me­ry­to­ryczną pro­gramu „Interwencja”.

– No i w tej sprawie, która mi le­żała na sercu, za­in­te­re­wo­wa­łam oso­bi­ście u mi­ni­stra doktora. Mariusz pomógł, choć miał wiele na głowie, i to mnie ujęło... Jak­bym głą­boko po­grze­ba­ła w pa­mie­ci, mo­że znaj­dę jesz­cze ze dwóch poli­tyków, ale niższej ran­gi, z którymi prze­sz­łam na „ty”. Lecz mu­szę pana z­mar­twić: to nie są lu­dzie z PiS.

– Skąd więc te sugestie, że pa­ni z nimi trzyma?

– Bo równo trak­tu­ję wszystkie par­tie i uwa­żam, że PiS jest tak samo legalny jak PSL czy Pla­to­ma.

– Czyli symetrystka.

– Nie! Raczej dzien­ni­karka, która prze­czy­tała ze zro­zu­mie­niem prawo prasowe i się do niego sto­suje. Uwa­żam, że w ostat­nich la­tach poli­tykę naj­rzetel­niej spośród głów­nych redakcji te­le­wizyj­nych po­ka­zuje Polsat. Da­jemy wszyst­kim stronom poli­tycz­nego sporu równy do­stęp do szkła.

– Czwartego lu­te­go go­ściem „Wy­darzeń” był Tobiasz Bocheński, kan­dy­dat PiS na pre­zy­den­ta War­szawy. Piątego lu­te­go Jacek Sasin, były mi­ni­ster z PiS, bro­nił na wa­szej an­te­nie sprzedaży Lotosu. Szó­stego lu­te­go skazany Mariusz Kamiński tłumaczył się z użycia Pegasusa. Jeden z waszych dzien­ni­karzy wysłał do mo­jego znajomego SMS: „Działamy jak sztab PiS. Na telefon. To agenda Gawryluk”.

– Absolutnie nie­praw­da. Je­śli pa­ni sprawdzi go­ści „Wy­darzeń” z całego mie­siąca, zobaczy pa­ni prędzej prze­chył w stro­nę koa­li­cji. Za­wsze zresztą tak jest, że poli­tycy rzą­dzący występują u nas czę­ściej niż opo­zy­cyj­ni, bo mają władzę i sprawczość, więc ich prze­py­tu­jemy.

11 lu­te­go sprawdzam, kim byli go­ście głów­nego pro­gramu in­for­ma­cyj­nego Pol­sat­u od po­cząt­ku roku. Uwaga: liczby i dni się nie sumują, bo czę­sto za­pro­szonych jest dwoje lub troje – w takich wypadkach naj­czę­ściej re­pre­zen­tu­ją prze­ciw­sta­wne op­cje.

Politycy koa­li­cji, w tym Donald Tusk, po­ja­wi­li się 30 razy. Konfederaci, w tym Sławomir Mentzen – trzy­kro­tnie. Wy­stę­pów przed­sta­wi­cieli PiS, Su­we­rennej Pol­ski i Kan­ce­la­rii Pre­zy­den­ta RP było w sumie 21. Kaczyński nie wystąpił.

W pro­gramie zmie­ści­li się jesz­cze m.in. były pre­zy­dent Aleksander Kwaś­nie­wski, poli­tyk pra­wicy Marek Jurek, pra­w­niczka z Ordo Iuris Katarzyna Gęsiak, szef NIK Marian Banaś i sędzia z Iustitii Bartłomiej Przymusiński.

Teraz rzut oka na pro­por­cje w ostat­nich dniach władzy PiS. Witryna Polsatnews.pl po­zwa­la się cofnąć w prze­glą­da­niu audycji do 4 paź­dziernika. Między tą datą a dniem wy­bo­rów (czyli w szczy­cie kam­pa­nii) go­ści­mi „Wy­darzeń” byli kolejno: Mariusz Kamiński, Joanna Mucha, Jan Kanthak, Grzegorz Schetyna, Jadwiga Emilewicz, Jacek Sasin, Krzysztof Maj z Bezpartyj­nych Samorządowców, dalej Władysław

Kosiniak-Kamysz, Sławomir Mentzen, Donald Tusk, Włodzimierz Czarzasty i Mateusz Morawiecki. A za­tem obecna koa­li­cja – pięć wystę­pów, obóz PiS – tyle samo. Poza poli­tykami w przedwy­bor­czym ty­god­niu wystąpiła jesz­cze para pu­blicystów: Paweł Lisicki z „Do Rzeczy” i Sebastian Duda z „Więzi”.

– Sam pa­ni widzi, że nie mamy żad­nego pi­so­wskiego prze­chyłu – mówi Gawryluk i do­da­je: – Lecz stronie koa­li­cyj­nej to nie wystar­cza. Ona by chciała za­pra­sa­zać pi­so­wców wy­łącz­nie pod prę­gi­erz. Druga strona myśli à rebours: my działamy dla do­bra Pol­ski, tamci chcą kraj sprzedąć. Po­la­ryza­cja przy­jęła nie­spo­ty­ka­ne roz­miary. Stąd apel pre­ze­sa Polsatu o zgodę i umiar­kowanie.

● ● ●

Solorz-Żak og­ło­sił swoją de­kla­ra­cję w ostat­nim ty­god­niu stycz­nia: „W in­te­re­sie wszyst­kich jest obni­że­nie po­ziomu emo­cji de­baty pu­blicznej. Dlatego apelu­ję za­równo do na­daw­ców, jak i do kie­row­nic­stwa sta­cji in­for­ma­cyj­nych te­le­wizji Pol­sat, aby dla do­bra naszych odbiorców i całego spo­le­czeń­stwa w audycjach i kanałach in­for­ma­cyj­nych do­mi­nowały rzetelność i obiektywizm”.

– Wiele osób pyta, dlaczego pa­ni szef nie wyszedł z pro­kla­ma­cją wcze­ś­niej: kiedy spa­lił się „szary człowiek”, gdy zginął pre­zy­dent Gdańska, gdy pu­bliczna te­le­wizja szc­zuła na opo­zy­cję, da­jąc co drugi dzień Tuska mówiącego „für Deutschland”?

– Czara goryczy długo się wy­peł­niała, te­raz się prze­lewa.

– A może cho­dzi o coś zupełnie in­nego? De­kla­ra­cja Solorza-Żaka wy­pły­nęła po tym, gdy część og­ło­szeni­o­daw­ców zaczęła się wycofywać z TV Republika, która zbiera re­kla­my za po­śred­nic­twem spółki Pol­sat Media. Pro­mu­ją­ce się firmy nie chciały swoich re­kla­m obok ra­si­stow­skich tre­ści ser­wo­wanych przez Re­pub­likę, więc Polsat tra­cił pi­e­niądze. Czy przy­pad­kiem nie dla­tego szef wyszedł z pro­kla­ma­cją?

– Nie, nie dla­tego. Po­wód już wy­łó­ży­łam: nie­trudno do­strzec, że dzisiaj sama do­bra ro­bota to za mało. Przez ostat­nie la­ta by­li­śmy przy­kładem od­po­wie­dzial­ności na rynku me­diał­nym, do­star­cza­li­śmy in­for­ma­cji, nie hejto­wa­li­śmy, po­ka­zy­wa­li­śmy, że de­bata jest jed­nak możliwa. Ale ostat­nio po­ziom emo­cji stał się za wy­so­ki. Apel o ich obni­że­nie jest więc jak naj­bar­dziej na mie­jscu.

– Chyba nic tu nie wskóram, więc spy­tam: jaka siła poli­tyczna jest pa­ni naj­bli­ższa?

– Żadna z pol­skich par­tii.

– Czyli nie cho­dzi pa­ni na wy­bo­ry?

– Cho­dzą. Całe szcze­ście są tajne, bo jesz­cze by pa­ni spy­tał, na kogo gło­suje.

– Na kogo pa­ni gło­suje?

– Powiem tak: trzeba przy­jąć do wia­do­mości, że w pew­nych spra­wach rację ma koa­li­cja, a w in­nych spra­wach PiS. To wręcz kre­pu­ją­ce, że mu­si­my mówić so­bie takie oczy­wi­sto­ści.

– Zgódzę się, że PiS może mieć rację w sprawie Baranowa i trzeba to lot­nis­ko bu­do­wać, ale...

– Też tego nie wy­kluczam. I wła­śnie... Dokładnie nie wiemy. Bo me­dia nie ana­li­zu­ją pa­ra­me­trów in­we­sty­cji, tylko jed­ne mówią o skoku cy­wilizacyjnym i ol­brzymich do­cho­dach, jakie nas czeka­ją; dru­gie o tym, że wy­da­no kupę pi­e­niędzy, a tam ciągle ląka. To jest okła­da­nie się wciąż ty­mi sa­my­mi kil­ko­ma ar­gu­men­ta­mi, a nie wy­ko­ny­wanie pra­cy, zbiera­nie danych, liczb, słuchanie opi­nii nie­za­le­ż­nych ek­spe­rtów. Marzy mi się taki pro­gram pu­blicystyczny, w którym bę­dziemy zgłę­biać me­ritum, a nie po­prze­sta­wać na hasłach.

– Jak wiemy, bę­dzie go pa­ni ro­biła od mar­ca w Pol­sa­cie. Tytuł już jest: „Lepsza Pol­ska”.

– Baner tego pro­gramu wy­gląda jak plakat wy­borczy, bo jest slogan plus moja twarz, i mam po­dej­rze­nie, że wła­śnie to ze­sta­wienie le­gło u pod­sta­w plotki: oto Gawryluk ma hasło „Lepsza Pol­ska”! Czyli bę­dę startować.

– A nie bę­dzie pa­ni?

– Już chy­ba od­po­wie­działam. Nie bę­dę. Chcę bu­do­wać lepszą Pol­skę, lecz w Pol­sa­cie, porządnie wy­ko­nu­ją­cą swoją dzien­ni­karską pracę. Te pańskie py­ta­nia o poli­tykę ro­bią się nie­sto­so­wne.

– To wróć do swego „ale”. Mo­że fak­tycz­nie trzeba in­we­sto­wać w Baranów i w port kontenerowy w Szczecinie, jed­nak mnie się nie po­do­ba głów­na me­lo­dia PiS. Że Europa to sie­dlisko zepsucia i zły poli­tyki, w do­datku cy­ha na naszą nie­po­d­le­głość, więc zwo­len­nicy in­te­gra­cji eu­ro­pejskiej to tar­go­wic­za­nie. Tym­cza­sem my, pa­trioci, ślemy mo­dły z naszej cha­ty, „by nam buty mogły śmier­dzieć, jak śmier­działy przed stu la­ty”.

– Ja patrzę na to inaczej. Widzę, że Pol­ska pięk­nie­je, je­żd­żę po Eu­ro­pie bez pasz­por­tu i kontroli granicznych, ale do­strze­gam też za­gro­że­nia, dla­tego uwa­żam, że mu­si­my być sil­niejsi jako kraj. Bo mamy wojnę ciągnącą ze Wschodu, a Unia też się zmienia i jestem w sta­nie wy­obra­zić so­bie, jak w per­spek­tywie de­ka­dy w Pa­rla­men­cie Eu­ro­pejskim górę bierze pra­wica, i to ra­dykalna, taka wręcz na­zistowska. Co wte­dy? Też się bę­dziemy chcieli z nimi in­te­gro­wać? So­ju­szy nie po­win­ni­śmy za­wie­rać na sta­łe, uwa­żam, że jed­ynie w miarę po­tre­b.

– Powie­dzia­ła pa­ni kie­dyś o so­bie, że jest „pra­wicową fe­mi­nistką” i prze­ciw­niczką swobodnej abor­cji. Z czego wy­nika ten sprze­ciw?

– Z tego, że jestem za ży­ciem. Oczy­wi­ście sprze­ciwiam się też karze śmierci. A co do fe­mi­nizmu – le­wicowy mi po prostu nie od­po­wia­da, bo jest za­cie­trze­wiony.

– Ma tu jakieś zna­cze­nie wy­cho­wanie w wierze?

– Chciałabym być oso­bą wierzącą jesz­cze głą­biej, bo uwa­żam, że re­ligia jest waż­na, wprowa­dza dys­cy­plinę. Mo­że do tego po­głę­bie­nia do­jdę, choć jestem słabym człowiekiem. Moi rodzice nie byli – jeśli pa­ni o to pyta – szcze­gól­nie re­li­gi­jni. Mama jesz­cze w miarę, lecz ta­ta – prze­ciw­nie. Był

absolutnie antyklerykalny. Zapiękły przeciwnik księży i lekarzy. A potem miał zięcia lekarza, czyli męża siostry.

Dorota z domu Zelek urodziła się w 1972 r. w Limanowej, a wychowała w liczącej 700 mieszkańców wsi Kamionka Mała pod Nowym Sączem. Tutejsze domy stoją wzdłuż strumienia, dopływu Kamienicy, która 6 km dalej wpada do Dunajca.

– Coś jeszcze o rodzicach – proszę.
– Poza mężem i dziećmi są dla mnie najważniejsi. Dali mi siłę i poczucie pewności siebie. Z tym że tata już nie żyje.
– Kim byli z zawodu?
– Mama głównie zajmowała się domem, społecznie gotowała obiady w szkole, sprzątała tam. Ojciec był różdżkarzem.

Dla młodszych: radiesteta to osoba szukająca wody za pomocą rozdwojonego patyka albo wahadelka. Przez wieki wierzono, że można w ten sposób odkrywać podziemne zbiorniki wodne. Dziś radiestezja uznawana jest za pseudonaukę, ale zawód istnieje. W sieci pełno ogłoszeń typu: „Radiestezyjne wytyczanie wody”, „Różdżkarz – tyczenie studni”.

– Mieszkaliśmy w Kamionce na górze – mówi dziennikarka. – Naszą ziemią był kawałek lasu i pagór. Nie było to gospodarstwo rolne, z którego można żyć. Jako dziewczynka pracowałam w polu, bo mieliśmy zagony z ziemniakami, lecz wychodziło z nich tyle, co na własne potrzeby.

– Pieniędzy brakowało?
– Na pewno rodzice musieli się natrudzić, by związać koniec z końcem, ale my – dzieci – biedy nie czuliśmy. Jedzenie zawsze było. Ubranie też. A w domach moich szkolnych koleżanek nie zawsze.

– Pani rodzeństwo również się wyprwadziło?
– Tak. Siostra jest ekonomistką, a brat przedsiębiorcą. Oboje są ludźmi sukcesu. Tylko nie chciałabym, aby to brzmiało w ten sposób, że myśmy się wyrwali z jakiejś zapadłej dziury. Beskidy już za czasów mego dzieciństwa to była okolica kosmopolityczna – ludzie z różnych stron Polski, także obcokrajowcy. Wielu wyjeżdżało, latali choćby do USA, wracali, budovali domy, społeczeństwo mobilne. A największy awans to nie wyjazd do Warszawy, ale ładny kawałek ziemi i taras z widokiem na góry. Wypić na nim kawę, słuchając wiatru – nie ma nic piękniejszego.

– Zatem dlaczego w wieku lat 15 znalazła się pani w Warszawie?
– Och, byłam cudownym dzieckiem, z którego nie wyrósł niestety cudowny dorosły. Pisałam wiersze, scenariusze sztuk, chciałam być pisarką, dramaturżką...

– Zacytuje mi pani jakieś swoje strofy?
– Nie zacytuję, bo choć niektóre pamiętam, to jednak nie chcę. Są zbyt infantylne. Ale wygrywałam nimi przeróżne konkursy – nie tylko dla dzieci, lecz i dla studentów. Ukrywałam się pod pseudonimem, by nie wyszło na jaw, że chodzę dopiero do podstawówki. Raz wygrałam konkurs na sztukę, która nawet została zrealizowana. Rzecz poszła na antenie w ramach „Te-leranka”.

– O czym był ten spektakl?
– O dojrzewaniu i kłamstwach, konsekwencjach oszukiwania dzieci.
– I co? Warszawa padła pani do stóp po emisji sztuki?
– A gdzie tam!

Przeprowadzka do stolicy stała się możliwa, gdyż rodzice Doroty przyjaźnili się ze Stanisławem Żytyńskim, aktorem i literatem, przedwojennym jeszcze PPS-owcem, który otworzył w Warszawie Dom Ziemi Limanowskiej. Żytyński bywał u Żelków w Kamionce, uważał, że Dorota ma talent literacki i powinna wyjechać do jakiejś dobrej szkoły, najlepiej w dużym mieście. Padło na XXVI LO, dziś imienia Juliana Tuwima, w Aninie.

– Uczylałam się pilnie, mieszkając kątem u krewnych. Jednocześnie próbowałam zarabiać, pisząc do młodzieżowego tygodnika „Na Przelaj”. Poznałam pracującego tam Mariusza Szczygła i się w nim zakochałam.

*Jestem
w stanie sobie wyobrazić,
jak w perspektywie dekady
w Parlamencie Europejskim
górze bierze prawica,
i to radykalna,
taka wręcz nazistowska.
Co wtedy?
Też się będziemy chcieli
z nimi integrować?*

– Z natury rzeczy bez wzajemności.
Dziennikarka wzdycha: – Raz poszliśmy na kawę i na tym się skończyło. Lecz do dzisiaj Mariusza i lubię, i czytam.
– A co z innymi chłopcami z tamtych lat?

– Dosyć szybko się nimi nudziłam, bo zawsze byłam trochę dojrzalsza. Piątkowo-szóstkowa uczennica, która nie pali, nie pije, nie sięga po narkotyki, myśli głównie o nauce i pracy...

– Pamięta pani jakiś swój tekst z „Na Przelaj”?

– Pierwszy, który mi wydrukowali, nosił tytuł „Szkłanki”. To był reportaż poświęcony mojej niepełnosprawnej znajomej Ewie, która mieszkała w internacie i była zależna od wsparcia koleżanek. Pisałam, jak trudno jest przyjmować pomoc – z przyczyn godnościowych. A tytuł taki, ponieważ ona nie mogła samodzielnie nawet szklanki podnieść.

– W 1990 r. dostała się pani na dziennikarstwo UW.

– Chciałam iść na historię, tymczasem dla dziennikarzy zrobiono egzamin wcześniej. Spróbowałam i wypadłam niegorzej, do tego pomogła legitymacja z „Na Przelaj”. Skoro mnie przyjęli, zrezygnowałam z historii. Ale nie od razu. Na pierwszym roku zaliczałam jeszcze zajęcia na obu kierunkach.

– Potem, jak przeczytałem w wywiadzie z panią w magazynie „Viva!”, pojawił się mąż – i ciąży.

– Jurka poznałam na jakiejś imprezie studenckiej, bo chociaż nie byłam zabawowa, gdzieś tam jednak czasami chodziłam. Zakochaliśmy się oboje – to było na drugim roku. On był studentem Politechniki. Prawosławnym z Hajnówki. Rozważaliśmy, czy w ogóle brać ślub.

– A to czemu?
– Mam buntowniczy charakter po ojcu. Odstraszał mnie formalizm: nauki przedmażeńskie i tak dalej. Poza tym: iść do kościoła czy do cerkwi? W końcu, jako że obie rodziny naciskały, żebyśmy się wreszcie pobrali, wybraliśmy cerkiew w Krakowie. Moja katolicka familia z gór trochę kręciła nosem. W dodatku naszym świadkiem był muzułmanin, do tego ciemnoskóry. Dla mojej mamy to było mocne doświadczenie.

– W 1993 r. miała pani przygodę z redakcją „Wyborczej”.
– Na Czerską chodziłam już z brzuszkiem. Zrobiłam jakiś tekst, redaktor Lidia Ostalsowska poprosiła o kilka poprawek. Już do niej z tymi poprawkami nie wróciłam. Pojawiła się oferta z telewizji Top Canal. Należąca do zapomnianego dziś biznesmena Jacka Żelezika stacja nadawała w centrum Warszawy z dachu akademika Riviera. Antenę wypełniały spiratowane przeboje kinowe. Samo nadawanie też było nielegalne, bo nie istniały jeszcze przepisy dla prywatnych nadawców RTV. W 1994 r. Żelezik (i nie tylko on) przegrał z Polsatem wyścig o ogólnopolską koncesję. Nie zaprzestał nadawania, więc interes wyłączył mu prokurator przy wsparciu policjantów.

– Pracowałam tam, nadal w ciąży, bo-
daj parę miesięcy – opowiada Gawryłuk. Po drodze zaliczyłam jeszcze padający „Kurier” i „Dziennik Ludowy”, który miał też zaletę, że redakcja była blisko uniwerku.

*Jeśli pan sprawdzi gości
„Wydarzeń” z całego
miesiąca, zobaczy pan prędzej
przechyl w stronę koalicji.
Zawsze zresztą tak jest,
że politycy rządzący
występują u nas częściej
niż opozycyjni,
bo mają władzę i sprawczość,
więc ich przepytujemy*

– Gdzie pani wówczas mieszkała?
– Wynajmowaliśmy z mężem przeróżne mieszkania. W Starej Miłosnej, na Woli... Jurek, studiując, pracował nocami w kasynie – zdał egzamin krupierski. Gdy się urodził Nikon, zaczęły przyjeżdżać do pomocy babcie.

– Nikon znaczy „zwycięzca”.
– Nie wybraliśmy imienia na cześć aparatu fotograficznego, tylko na cześć dziadka męża, który wyprowadził rodzinę ze Związku Sowieckiego. Bo ci Gawryłukowie byli wywożeni, zsyłani, przesiedlani, przymusowo wcielani i tak dalej. Skomplikowana i trudna historia, która ich ostatecznie przywiodła do Hajnówki.

Dalsze losy Doroty Gawryłuk są znane, więc już krótko: w połowie lat 90. została najpierw reporterką, następnie prezenterką głównego pilsatowskiego programu „Informacje”. Równolegle prowadziła poranne audycje w Inforadiu – dzisiejszym TOK FM. Na lata 2004-07 (kolejne rządy SLD, PiS i Platformy) przeniosła się do „Wiadomości” TVP.

– Jak tam było?
– Mieścili się osobowości o różnych poglądach. Mikołaj Kunica, Jacek Karnowski, Marzena Paczuska, Dorota Wysocka, dziś Wysocka-Schnepf, dalej Jacek Gasiński... Mogłabym tak wymieniać. Prezesami na początku byli dziennikarze: najpierw Jan Dworak, po nim Bronisław Wildstein. Wszystko się zmieniło, gdy szefem został polityk, czyli Andrzej Urbański z kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Dla części dziennikarzy to było nieakceptowalne. Sporo osób odeszło: Dominika Długosz, Dariusz Ociepa, ja sama... Po latach jednak wspominam TVP bardzo dobrze. Współtworzyłam publicystykę, dźwigałam ogólną podupadłego programu „Forum”, relacjonowałam pomarańczową rewolucję w Ukrainie – to był czas autentycznych sukcesów zawodowych.

– Czym praca w Polsce różni się od tej w TVP?

– W telewizji publicznej pomagało mi mnóstwo ludzi. Do każdego ozdobnika jest człowiek. Osobny pracownik od pilnowania kabli. W Polsce to ja dzwoniłam do rozmówcy, nagrywałam go z operatorem, sama pisałam swoje teksty. To prywatna firma, która liczy koszty. Natomiast w TVP pracuje się naprawdę bardzo wygodnie.

Mając 39 lat, dziennikarka urodziła drugie dziecko – córkę Marię. Gdy poszła do podstawówki, jej mama powiedziała tygodnikowi „Viva!”: „Patrzę na Marysię i myślę: »Nie możesz tak szybko rosnąć! Cieszymy się każdym dniem«. A kiedy Nikon był mały, myślałam: »Rany boskie, kiedy on wreszcie urośnie, bym miała trochę czasu dla siebie?«”.

– Nikon dawał mi siłę do pracy, życiową energię – to fakt. Szłam z nim na spacer po Hajnówce przy minus 20 stopniach. Imponowało mi, że jestem mamą, potrafię pracować i wychowywać, trochę to było takie napuszenie, że sobie świetnie radzę. Marysia to co innego. Dała mi spokój, możliwość delektowania się macierzyństwem, ale już bez tej energii.

Dziś dziennikarka mieszka z córką, mężem i kotem w Sulejówku. Syn się usamodzielniał.

8 lutego Gawryłuk i jej cykl publicystyczny, który już za miesiąc ma ruszyć w czwartki zaraz po „Wydarzeniach” Polsatu, stały się pierwszym tematem, nad jakim, inaugurując własny kanał youtubowy, pochyliła się Dominika Wielowieyska. Według dziennikarki politycznej „Wyborczej” dyrektorka z Polsatu jest nadal „osobą miłą PiS”, a szum medialny wokół jej kandydatury prezydenckiej to przede wszystkim promocja „Lepszej Polski”. Jest jednak i coś więcej...

„Mamy do czynienia ze skomplikowaną grą Zygmunta Solorza, któremu Polsat służy przede wszystkim do tego, by chronić inne swe interesy...” – uważa Wielowieyska.

Biznesy wycenianego na 10 mld zł przedsiębiorcy, których prowadzenie wymaga dobrych kontaktów z władzą, to m.in. zespół elektrowni Pątnów-Adamów-Konin, fundusz emerytalny Polsatu, zakład ubezpieczeń Polisa Życie, operator telekomunikacyjny Plus oraz bank o tej samej nazwie. A teraz dochodzi elektrownia atomowa – druga (pierwszą, finansowaną bezpośrednio przez państwo, jest Lubiawo mające powstać we współpracy z amerykańskim Westinghouse) – która miałaby powstać we współpracy z państwową Polską Grupą Energetyczną i koreańskim koncernem jądrowym KHNP. Spółkę powołano wiosną zeszłego roku z błogosławieństwem rządu PiS, a konkretnie ministra aktywów państwowych Jacka Sasina.

Wielowieyska: „W tej sytuacji odwołanie Doroty Gawryłuk z funkcji dyrektorki od informacji jest ewidentnym gestem Solorza wobec nowej władzy – oto odsuwam osobę, która jest jednoznacznie kojarzona z PiS, i chcę zmienić profil publicystyki. Stąd dymisja Gawryłuk, bo przecież nie ma żadnego innego powodu, dla którego ona miałaby opuścić dotychczasową posadę, jest natomiast powód, dla którego mogłaby jednak wystartować w wyścigu do Pałacu. Solorz w końcówce rządów PiS wyszedł z pomysłem budowy elektrowni atomowych wraz z Koreańczykami. Ma to być przedsięwzięcie prywatne, lecz trudno by było je zrealizować bez współpracy z rządem. Jak to się ma do kandydowania Gawryłuk na prezydenta? Myślę, że to byłaby zła wiadomość dla PiS. Ona by zwyczajnie odebrała głosy kandydatowi PiS. Gdybyśmy mieli pretendenta z tej partii i osobno Dorotę Gawryłuk, a jeszcze Konfederacja by kogoś wystawiła, to sytuacja wyglądałaby dla Kaczyńskiego nie najlepiej. Głosy prawicy mogłyby się rozłożyć i może dojść do drugiej tury między Hołownią a politykiem KO”.

A zatem: przemysłny biznesmen neutralizuje „propisowską dziennikarkę”, aby podrzucić ją w nowej roli – kandydatki – do gniazda prawicowych pretendentów. Oto niedźwiedzia przysługa – pytanie tylko dla kogo?

Już po rozmowie z dziennikarką dyrektorką proszę ją, by skomentowała słowa Wielowieyskiej. Odpowiedź przychodzi SMS-em: „Nie umiem na to w żaden sposób odpowiedzieć. Publicystyka ma to do siebie, że może być trochę szalona, podkolorowana (...). Jak już pojawi się temat, można na nim, niczym na koniku, pogalopować!”.

Gdy kończyć pisać ten tekst – tydzień po newsie Polityki Insight – tygodnik szanse mojej rozmówczyni oceniają na serio nie tylko dziennikarze, ale też eksperci oraz politycy.

Profesor Antoni Dudek, politolog: – Nawet gdyby ona ostatecznie przegrała wyścig do Pałacu, może skapitalizować wynik w postaci jakiegoś własnego ruchu politycznego.

Rockman i poseł po przejściach – od własnej partii do PiS – Paweł Kukiz, który jest ponoć z Kaczyńskim tak blisko, że razem śpiewają przy winie: – Gawryłuk ma wielkie szanse: błyskotliwa, inteligentna, ładna, no i kobieta, co też jest bardzo istotne. Mogłaby być kandydatką całej polskiej prawicy.

A jednak. ●

A JAK MI SIĘ NIE SPODOBA, WRÓCĘ

Zastanawiam się, jak wytłumaczyć znajomemu, który przeprowadza się do Berlina, że nie zejdzie na dół do kiosku po „Wyborczą”, że w szkole jego dzieci nie będą uczyły się o Mieszkach, Krzywoustym i rozbiorach, że tu nie obchodzi się imienin i 11 listopada nie zanoszą się świeczek na groby. I że to nie są drobne sprawy

Magdalena Parys

FOT. TOMASZ WIERZEJSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



*Czy „dobra” (e)migracja istnieje? Czy można się zadomowić na obczyźnie już w pierwszym pokoleniu?
Czy znajdę w tym felietonie odpowiedź? Pewnie nie, ale spróbuję.*

JOANNA. Jest fryzjerką, Norbert, jej mąż, od dwóch lat pracuje w Holandii jako programista w dużej korporacji. Świetnie mówi po angielsku, holenderskiego się uczy. Joanna odwiedza go z dziećmi regularnie, jeździ samochodem, zawsze można coś przewieźć, na przykład lampy, pościel, jakiś obrazek. Jeśli już żyją na dwa domy, to niech ten w Holandii też będzie przytulny, swojski.

Norbert planował wyjazd na kilka miesięcy (wysłała go firma), a potem na miejscu zaoferowano mu lepsze warunki pracy. Ucieszyli się z Joanną, bo zaczął świetnie zarabiać, nie wiedzieli tylko, że po okresie próbnym nie będzie chciał już wracać do Warszawy.

Podczas jednego z dłuższych pobytów w Holandii Joanna dowiedziała się, że u znajomej Polki na przedmieściach zwolnił się fryzjerski fotel. Czy Joanna nie mogłaby wesprzeć koleżanki choćby przez kilka dni? Spróbuj, powiedział mąż. Spróbowała. Klientki okazały się głównie Polkami i zanim Joanna się spostrzegła, przepracowała w salonie cały urlop. To ostatecznie przesądziło o wyjeździe na stałe.

Joanna opowiada mi o tym wszystkim w ostatnim dniu pracy w warszawskim salonie. Jak nie będzie się jej podobać, to wróci. Poza tym wierzy w przeznaczenie; skoro los oferuje szansę, to trzeba skorzystać, prawda? Pytam, jak zareagowały dzieci; odpowiada, że przecież mają dopiero dziewięć lat i najszybciej się asymilują.

Kilka kolejnych dni myślę o historii Joanny. I o dzieciach. Pierwszy raz słyszę, że z emigracją wszystko może się ułożyć samo, że sprzyja los i że można wyjechać z dobrego na lepsze. Że można wrócić. Komuś takiemu jak ja, kto wyjeżdżał z Polski w 1984 roku jako dziecko i bez perspektywy powrotu, trudno to pojąć.

STYPENDYŚCI. Moi serdeczni znajomi przyjechali do Berlina kilka lat temu. Nie zakładali, że zostaną tak długo. Mówili: zobaczmy, jak się rozwinię sytuacja w Polsce. Jeśli PiS przegra, wrócimy, albo, kto wie, pojedziemy dalej na południe. W przeciwnieństwie do Norberta, któremu bez problemu udało się wynająć mieszkanie, oni w Berlinie szukali długo. Kusi mnie, aby opowiedzieć, jak się szuka mieszkania w Berlinie, ale to epopeja na osobny reportaż.

Stypendia się skończyły i skoro chce się zostać w Berlinie dłużej, trzeba wziąć byka za rogi: załatwić mieszkanie, ubezpieczenia, konto w miejscowym banku, zakupić lodówkę, pralkę. Można pomyśleć, że wszelakie sprawy urzędowe załatwia się w zachodniej metropolii digitalnie, sprawnie i w locie. Język angielski na początku wystarczy (sprzedawcy, kelnerzy, wykładowcy często komunikują się wyłącznie po angielsku), ot, europejskie miasto. I tak pełni dobrych myśli nasi byli stypendyści udali się do banku. Tam sztywna pani Frau od spraw bankowych oznajmiła im: „Nein”, i wskazała na Ausgang (wyjście). Okazało się, że infolinia największego niemieckiego banku nie obsługuje klientów w języku angielskim, ma tylko jakąś ukrytą opcję dla studentów na Erasmusie i dopiero tam miły pan poinformował ich, żeby poszuli kogoś o jakimś bardzo nieniemieckim nazwisku. Dzięki tej radzie przyszli berlińczycy znaleźli oddział banku w dzielnicy Mitte. Tam z pomocą pani z perfekcyjnym angielskim (sądząc po nazwisku, pochodzenia azjatyckiego) weszli w posiadanie kont bankowych.

Jednak konto to nie wszystko, prawdziwe wyzwanie to ubezpieczenie wolnych strzelców w kasie chorych. Sprawa ciągnęła się miesiącami. Wymagano miliona zaświadczeń: że się zarabia, że ma się jako twórca dorobek, że jest się niezależnym, samowystarczalnym i co tam jeszcze, a jak kasa chorych dostała już milion zaświadczeń, żądała nowych.

Przy zamówieniu pralki okazało się, że owszem, ten model można zamówić on-

line, ale są jakieś komplikacje i należy do sprzedawcy zadzwonić. Potem wypełnić niezliczone formularze i że firma dowozi, ale nie wnosi na piętro. Komunikacja oczywiście tylko po niemiecku. Przy zakładaniu internetu jeszcze gorzej. Wciąż nie działał nalezycie, a pan z firmy telekomunikacyjnej, który ciągnął kable, znał świetnie język turecki, za to gorzej niemiecki.

PRZYSTANKI. Myślę o tej historii, przejeżdżając przez Hansaviertel, gdzie przez rok mieszkał Gombrowicz, myślę o niej na Schönebergu, mijając tablicę z informacją, że mieszkał tu Billy Wilder, a trochę dalej i pięćdziesiąt lat później – David Bowie. W ich życiu Berlin był inspiracją, przygodą i tylko krótkim przystankiem.

W radioeins, najpopularniejszej berlińskiej rozgłośni, hiszpańska songwriterka opowiada (po angielsku), że po dwóch latach w Berlinie popadła w depresję z powodu braku światła. Tłumaczy, że w Berlinie trwa najdłuższa zima Europy, szybko się zapada zmrok i że czuła się obrabowa-

port. Ja nie. Gdyby zabrali Marcina, wyglądałoby tak, że zabrali się i pojechali, a ja zostałam. Siostra pólbrata została. Na to ma ma nie może pozwolić. Nikt nie będzie mówić, że zabrała dziecko z drugiego małżeństwa, a to z pierwszego zostawiła. Sprawiedliwość musi być. Zostajemy więc z Marcinem u dziadków w Szczecinie. Chodzę co kilka dni do wielkiego urzędu z czerwonej cegły. Idę na to samo piętro, odczekuję swoje w długiej kolejce, która szybko mijają, bo ludzie wchodzi do pokoju i po kilkunastu sekundach wychodzą. Wreszcie i ja wchodzę do dużego pokoju z okratowanymi oknami. Siadam na krześle. Przy biurku siedzi jak zwykle ten sam człowiek w wojskowym mundurze. Pyta, po co przyszedłam. Odpowiadam, że po paszport. On, że paszportu nie ma. Prowadzimy tę rozmowę od dwóch miesięcy. Nie rozumiem więc, dlaczego za każdym razem boję się tu przychodzić. Dziś znów tu jestem, wszystko jak zawsze, poza tym, że pan w mundurze jest rozdrażniony i właśnie kopnął nogę od stołu, przy którym siedzę. Nie ma paszportu!

Czy ludzi z innych kontynentów, którzy uciekają przed wojną, suszą, głodem, można podpiąć pod to samo słowo, co europejskiego podróżnika, który przyjechał do Berlina, by tworzyć nowy start-up?

na ze szczęścia. Dlatego wróciła do Madrytu. Oczywiście rabunek światła i szczęścia mógł jej się przydarzyć też w Warszawie, Pradze i w innych centralnych miastach Europy, ale jej przytrafił się w Berlinie. Ciągnie dalej: do Berlina zjeżdżają po inspirację muzycy, projektanci mody, pisarze. Na kilka miesięcy czy na pobyt na Erasmusie to miasto jest wspaniałe, ale kiedy chce się tu naprawdę zamieszkać, pokazuje swoją inną stronę.

MNIE POKAZAŁO WIELE STRON. Początkowo szary Berlin, otoczony murem, wydawało mi się, że nigdy go nie polubię. Przyjechałam zimą. Przekraczałam polsko-enerdowską granicę z trzyletnim bratem. Przewoził nas samochodem bratanek słynnego opozycjonisty. Tylko on się odważył. Rodzice nie mogli przyjechać po nas do Polski. Nie myślałam, że nadejdą czasy, kiedy będę musiała tłumaczyć, dlaczego nie mogli. Od jakichś dwudziestu lat muszą: zostali w Berlinie nielegalnie i gdyby przekroczyli granicę, musieliby zostać na stałe w Polsce.

Miałam paszport, który udało się uzyskać dopiero po przekupieniu urzędnika kolorowym telewizorem marki Rubin. Nie znam szczegółów, mama, mimo że minęło kilka dekad, padł mur i komunizm, zamknęła to w szufladzie, którą zatrzasknęła, i nie zamierza otworzyć. Ale ja zapamiętałam okoliczności przed i opisałam je najpierw nieporadnie w pamiętniku, a potem w książce „Biała Rika. Żeliwne ptaki”:

„Mam już dwanaście lat. Dwanaście i pół. Tak jakby żał wyjeżdżać. Pakuję się powoli. Wiem, że nie wrócę, że wyjeżdżam na zawsze. Palę pamiętniki. Babcia Rika pyta, czy mi nie szkoda. Szkoda. Mama już od kilku miesięcy jest w Berlinie. Nietata od dwóch lat. Nie zabrali nas ze sobą, bo tylko Marcin otrzymał pasz-

port. Ja nie. Gdyby zabrali Marcina, wyglądałoby tak, że zabrali się i pojechali, a ja zostałam. Siostra pólbrata została. Na to ma ma nie może pozwolić. Nikt nie będzie mówić, że zabrała dziecko z drugiego małżeństwa, a to z pierwszego zostawiła. Sprawiedliwość musi być. Zostajemy więc z Marcinem u dziadków w Szczecinie. Chodzę co kilka dni do wielkiego urzędu z czerwonej cegły. Idę na to samo piętro, odczekuję swoje w długiej kolejce, która szybko mijają, bo ludzie wchodzi do pokoju i po kilkunastu sekundach wychodzą. Wreszcie i ja wchodzę do dużego pokoju z okratowanymi oknami. Siadam na krześle. Przy biurku siedzi jak zwykle ten sam człowiek w wojskowym mundurze. Pyta, po co przyszedłam. Odpowiadam, że po paszport. On, że paszportu nie ma. Prowadzimy tę rozmowę od dwóch miesięcy. Nie rozumiem więc, dlaczego za każdym razem boję się tu przychodzić. Dziś znów tu jestem, wszystko jak zawsze, poza tym, że pan w mundurze jest rozdrażniony i właśnie kopnął nogę od stołu, przy którym siedzę. Nie ma paszportu!

– mówi, zanim zdążę o cokolwiek zapytać. Właściwie nie chcę, żeby był ten paszport, więc się nawet trochę cieszę. Wychodzę. Nie spieszę się. Mam bardzo dużo czasu przed wyjazdem na zawsze. Chodzę, gdzie chcę, i robię, co chcę”.

Dalej opisuję przejazd przez granicę i to, co wydarzyło się już w Berlinie. Po latach zauważam, że w każdej mojej książce jest o przekraczaniu granic: albo mur berliński, albo granica turecko-bułgarska, albo tunel pod murem berlińskim... Dlatego być może zastanawia mnie, kiedy słyszę od Joanny, że dzieci najszybciej się asymilują. Pamiętam, że patrząc na ojczyma i mamę, myślałam, że im jest łatwiej, bo mają siebie. Im jest łatwiej, bo to oni zdecydowali, że wyjadą.

Mimo wysiłku rodziców nie zrobiły na mnie wrażenia przystrojony świątecznie Kudamm ani zamek w Charlottenburgu. Nic mi się nie podobało. Przepych okien wystawowych mnie przerażał. Nie mogłam zrozumieć, jak można zamienić mieszkanie (male, to prawda) na przedzielony szafami pokój w domu dla uchodźców w Berlinie. Zaszywałam się w kącie, chcąc złapać w radiu polską stację.

Przez długi czas wydawało mi się, że moja integracja z Berlinem trwała latami. Jednak coś się w tych wyliczeniach nie zgadzało. Mam takie wspomnienie: wracam ze szkoły, jest wiosna, śniegi stopniały, a ja nadal jestem nastolatką. I widzę, że drzewa kwitną, że pośrodku jezdni zielony pas poprzetykany jest tulipanami. Wszystko pachnie. Potem zapisuję w pamiętniku, że Julia i Andrea są bardzo podobne do moich koleżanek w Polsce, z tą jedną różnicą, że nie chodzą do kościoła. Chodzi tylko Jesica, ale do ewangelickiego. W szkole chłopcy podstawiają nogi i ciągną za włosy. Ścigamy się na rowerach i jest nawet tak trochę jak na gdańskim podwórku.

NIE ŻAŁUJĘ. Rozmawiam z przyjaciółką, która przez wiele lat prowadziła w Berlinie galerię. Przyjechała do Niemiec w 1983 roku jako świetnie zapowiadająca się młoda artystka sceniczna. Myślała, że to tylko przystanek i pojedzie dalej do Paryża. Kiedy pytam, czy nie żałuje, czy nie myśli, że w Polsce zrobiłaby karierę, jest zaskoczona. Miała zakaz występowania, przesła przesłuchania, a w Niemczech otrzymała azyl polityczny. Nie uważa, że wyjazd czegoś ją pozbawił. Tłumaczy, że gdyby nie wyjechała, nie żyłaby już od wielu lat, w Berlinie zdiagnozowano u niej rzadką chorobę. W Polsce w tamtych latach nie miałyby szans na przeżycie. Poza tym nigdy nie myślała o sobie w kategorii „emigrantka”. Zaskoczyła mnie, bo kiedy myślę o emigrantach, myślę często o niej. Zaskoczyła mnie, bo myślałam, że da mi zupełnie inną odpowiedź. Że żałuje.

KSIEGARZ. Myślę o przyjacielu, który zasługuje na osobny felieton, osobną książkę – biografię. Absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Łódzkiego, z rodziny o tradycjach niepodległościowych. Uczestniczył w wydarzeniach Marca '68 na Uniwersytecie Łódzkim, członek organizacji Ruch, aresztowany, kilka miesięcy w areszcie śledczym. Zawieszony w prawach studenta, skazany w 1970 roku na grzywnę i wyrok z zawieszeniem. Mówiąc krótko: Polsce Ludowej się nie podobał. Do Berlina Zachodniego wyjeżdżał w 1978 roku z bezpowrotnym biletem i miłością do książek. W Berlinie wszystko to połączył. Jedenaście lat prowadził pierwszą w RFN Księgarnię Polską. Bez Facebooka, TikToka, internetu i komórki stworzył kultowe miejsce spotkań, konspiracji, wystaw, wieczorów autorskich z udziałem opozycyjnych twórców krajowych i emigracyjnych. Spotykało się tam wybitnych malarzy, poetów, pisarzy, tłumaczy, reżyserów, piosenkarzy: Wajdę, Zagajewskiego, Krynickiego, Woroszyńskiego, Kaczmareckiego, Jastruna, Jaskulę, Lisiecką, Dominiak... Znana berlińska dziennikarka zwierzyła mi się, że jej największym marzeniem była praktyka w jego księgarni. „Pragnęłam być blisko historii”.

Później organizował pomoc dla rodzin internowanych i rodzin po prostu, dla podziemia wydawniczego w Polsce. Potępił stan wojenny na wiecach protestacyjnych, z żoną 4 czerwca 1989 roku w Polskiej Misji Wojskowej, ersatu ambasady, pełnił funkcję męża zaufania z ramienia „Solidarności” podczas pierwszych (częściowo) wolnych wyborów. On i jego żona zostali odznaczeni przez prezydenta Komorowskiego Krzyżem Oficerskim Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

Emigracji sam nie wybrał. I dopiero kiedy piszę te słowa, rozumiem, że jego nie ma co pytać, czy czuje się spełniony. Ale co myślał, kiedy wyjeżdżał, zabierał ze sobą spłóviałą kurtkę, a zostawiał żonę, córkę, rodziców i przyjaciół. Że padnie mur? Że się kiedyś spotkają?

FOTOGRAF. Znany niemiecki fotograf. Przyjechał do Berlina Zachodniego w 1981 roku na jeden dzień, po lampę błyskową. Pracował w Polsce jako fotoreporter. W sobotę, 12 grudnia, kupił lampę METZ 45 CT i już miał iść na pociąg, ale przyjaciele mówią: „Co będziesz tak zaraz wracał, chodźmy do znajomych!”. Jak poszedł, tak już nie wrócił. Co się stało? Następного dnia była niedziela, 13 grudnia, stan wojenny, jeszcze kilka lat temu nie musiałabym tłumaczyć tej daty. A może musiałabym? To znaczy wrócił, ale po kilkunastu latach – w odwiedzinach.

Gdybym go zapytała, czy żałuje, chyba nie zrozumiał. Początki były ciężkie, biedne, ale potem współpracował z instytutem sztuki filmowej Arsenal FDK, współpracuje do dziś z Deutsche Kinemathek – Muzeum Filmu i Telewizji na Potsdamer Platz. Wiele zdjęć, które znamy z Berlinale, największych gwiazd, wykonał on, nabrał tchu: Alain Delon, Billy Wilder, Cath-

rine Deneuve (przypadkiem wiem, że jest jej ulubionym fotografem), Danny DeVito, Daniel Olbrychski, Tom Hanks, Gregory Peck, Isabella Rossellini, Jodie Foster, Krzysztof Kieślowski, Liv Ullmann, Sophia Loren, George Clooney... Kończy mi się oddech, a wymieniałam tylko garstkę.

Zupełnie inaczej przebiega ta opowieść, niż zakładałam. Zaczynałam od tezy, pod którą chciałam podciągnąć tekst, że emigracja zawsze w pewnym sensie jest stratą, a tymczasem każda z przedstawionych tu historii to podważa. Może wybieram niewłaściwe osoby?

JEDNO PYTANIE. Dla odmiany napiszę o bułgarskich sprzątaczkach, które mieszkają ściśnięte w niewielkim pokoiku. Znajomy chciał zrobić o nich reportaż, ale się przestraszyły i wycofały. Przyjeżdżają do Berlina na kilka tygodni, wracają na kilka tygodni do domu i znów przyjeżdżają. Nie zakładają kont bankowych, ubezpieczeń, Berlin to kilka ulic, które znają na pamięć, kilka linii autobusowych, którymi dojeżdżają do pracy. Kiedy wracają, są zbyt zmęczone, żeby myśleć o czymkolwiek. Mogę zadać im jedno pytanie: czy uważają się za okresowe emigrantki? Są zdziwione: Berlin traktują jak inne duże miasta, Sofia czy Berlin – co za różnica, jadą tam, gdzie jest dobrze płatna praca, ich dom jest w Bułgarii.

Są jeszcze namioty pod wiadukтами, koce i kartony przed zadaszonym wejściem do banku i przy domu towarowym. Berlińscy bezdomni, głównie Polacy. Ci, którzy przyjechali i im nie wyszło, a nie mają do czego wracać. Dopiero teraz tak naprawdę czuję, że zaczynam opisywać historie, które warto opowiadać, milion ludzkich losów. Życia na to nie starczy.

ZDARZENIA WYPRZEDZAJĄ OKREŚLENIA. Emigracja w Niemczech doczekała się wielu słów zastępczych, jak gdyby po upadku muru, kiedy przemieszczanie się Europejczyków nie było już migracją polityczną, przymusową czy zarobkową, stała się okresowa, przygodowa i przede wszystkim tymczasowa. Ta emigracja zakłada powrót. To jest decydująca różnica. Joanna, fryzjerka, mówi: jak mi się nie będzie podobało, wrócę! Stypendyści pojadą dalej, a jak im się nie będzie podobało, wrócą. Nie przypominam sobie, aby w latach osiemdziesiątych ktoś wrócił do Polski. Mogło się na obczyźnie nie podobać, lecz i tak nikt nie wracał.

Dziś Europejczycy przemieszczają się, żeby się kształcić, uczyć nowych języków,

przeżyć przygodę, odpocząć, ewentualnie przetrwać rządy Orbána lub PiS. I nadal jeżdżą, to nie zmieni się nigdy, za lepszą pracą. Tylko słowo zyskało nowe formy: z emigracji zrobiła się migracja, emigranci stali się migrantami, wreszcie (tak nazywa

otworzyła granice, nie stwarzając struktur, gdyż założyła, że „Wir schaffen es”, damy radę, gdzieś na marginesie niedostatecznej komunikacji i lęków, powstał ruch Pegida, co natychmiast dostrzegła, wykorzystała to i urosła w siłę nieco starsza Alternative

Pytam bułgarskie sprzątaczk, ściśnięte w jednym berlińskim pokoiku, czy uważają się za emigrantki. Są zdziwione:

Sofia czy Berlin – co za różnica

się ich w Niemczech) „ludźmi z tłem migracyjnym”. Zmieniała się emigracja, musiało zmienić się słowo. Tymczasem historia zatacza koło. Oto kiedy wydawało się, że będzie już tylko lepiej, świat zwolnił, i to jeszcze zanim Rosja zaatakowała Ukrainę. Coś się zaczęło psuć jeszcze przed pandemią. Na ten stan też znalazło się nowe-stare słowo: demokracje zaczęły zastępować autokracje. I tym samym emigranci wrócili.

Zauważyłam, że Ukraińców w Europie nie nazywa się emigrantami, raczej ludźmi uciekającymi przed wojną, ludźmi, którzy wierzą, że wrócą kiedyś do swego kraju (i wracają). Czy zauważyli państwo, że piszę o Ukraińcach, lecz omijam innych uchodźców, z innych krajów, kontynentów, którzy uciekają przed wojną, suszą, głodem? Nie piszę też o ludziach wabionych złudnymi obietnicami i wywożonych na europejskie granice, aby służyć Rosji i Białorusi za ludzkie tarcze. Bo czy można ich wsadzić do jednej szuflady i podpiąć pod pojęcie europejskiego podróżnika/migranta, który przyjechał do Berlina, by tworzyć nowy start-up? A to przecież nie on, ale oni są emigrantami. Tymi z przedrostkiem „e”.

Nie piszę o nich, bo w ostatnich dwóch latach skończyły się słowa, by opisać ich rozpacz, cierpienie i biedę. Nie piszę o nich, bo po pandemii, przejrzaniu na oczy w Niemczech, że Rosja to jednak wróg, fiasku Willkommenspolitik Merkel, która

fur Deutschland. Partia, która podcpepi się pod wszystko i pod każdego, co wyniesie ją w górę. Czyli faszyzm.

ŚCIEŻKI. Jeden ze znajomych przed przeprowadzką do Berlina przekonywał mnie, że (e)migrację do Berlina nie sposób nazwać (e)migracją. „Osiemdziesiąt kilometrów dalej jest Polska!”. Wszystko wydaje mu się proste, bo mówi po angielsku i stać go na mieszkanie.

Zastanawiam się, jak wytłumaczyć mu, że migracja to drobne sprawy: nie zejdzie na dół i nie kupi w Empiku lub w kiosku książki po polsku, „Polityki” czy „Wyborczej”. Tłumaczę, że Polska jest osiemdziesiąt kilometrów dalej, ale cmentarz, na którym leżą jego dziadkowie, jest dalej pięćset kilometrów, a przecież chodził nań w Gdańsku często. Że w kamienicy, w której zamieszkał, na dole mieszka pani Muller, a nie pani Nowakowa, i pani Muller nie pamięta go, jak był małym chłopcem. Że co najwyżej zwróci mu uwagę, że po dwudziestej obowiązuje cisza nocna i dzieci za bardzo hałasują. Że w szkołach jego dzieci nie będą się uczyły o rozbiorach Polski, Krzywoustym i Mieszku, ale o Bismarcku i Prusach. Że żeby dogadały się z babcią i dziadkiem, muszą rozmawiać z dziećmi w domu po polsku, bo inaczej zapomną. Że w Niemczech nie obchodzi się imienin, 1 listopada nie zanoszą się chryzantem i święczek na groby, że wierzący Niemcy w Ber-

linie to ewangelicy (jeśli w ogóle). Że wielu spraw nie załatwi jak dotąd w swoim mieście, bo jest przyjezdny i nie ma swoich ścieżek.

Jakich ścieżek?, chce wiedzieć znajomy. Utartych! Nie zostawi dzieci pod opieką dziadka czy babci, kiedy pójdzie z żoną do kina. Nie ma zaufanych znajomych, którzy odpowiedzą, do jakiego iść lekarza, gdzie zamówić domowe ciasto. Nie ma krewnych, którzy w razie czego pomogą czy doradzą. Nagle znika to coś, co zawsze jest, jeśli się mieszka w jakimś miejscu, jeśli nawet nie od pokoleń, to przez lata. Poczucia, że jest się u siebie, zna się każdy kamień. Tu jeździłeś na rowerze, tam chodziłeś do przedszkola, tam do szkoły. Stare śmieci. A nawet jeśli przenosisz się do innego miasta, to pozostajesz w swoim kraju, w znajomym systemie. No i w języku, rodzimym języku.

To żaden problem, odpowiada znajomy. Znam angielski!

SZUKAM DOMU. Artystka sceniczna, późniejsza galerystka dzwoni i mówi, że będzie miała teraz bezsenność. Wiesz... otworzyłaś jakieś zapomniane drzwi i teraz, kiedy o tym myślę, to odkąd wyjechałam z Polski, mieszkalam w czterech niemieckich miastach, Berlin jest piąty. I to jest moje miasto! A jednak zdałam sobie sprawę, że wciąż szukam miejsca dla siebie. Nawet nazwy, które nadawałam wystawom i miejscom, zawsze były poszukiwaniem miejsca dla siebie, domu.

Rozumiem ją. Powstało tyle książek na ten temat, reportaży i powstanie jeszcze więcej. Pisałam te wszystkie słowa przez cały dzień, zarwałam noc, a mimo to ledwo uchyliłam drzwi. ●

„Tunel”, „Magik” i „Książę” – kryminały historyczno-polityczne Magdaleny Parys – na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booków na Publio.pl



OŚWIADCZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRAJ/34295976

JAK BUDOWAĆ LEPSZE RELACJE Z INNYMI I Z SAMYM SOBĄ

Pod wpływem lęku wchodzimy w toksyczne relacje i z powodu nadmiernego lęku nie umiemy z nich wyjść. Dr Nerwica, wspaniały lekarz, psychoterapeuta i człowiek, napisał genialną książkę, w której w nowatorski sposób opisuje lękowe schematy i pokazuje, jak możemy się od nich uwolnić. Jako osoba od lat zmagająca się z nerwicą – jestem za to bardzo wdzięczna!

MAŁGORZATA OHME

JUŻ W SPRZEDAŻY!

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYZ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**



Wydawnictwo
Agora

Gdybym był na miejscu rządzącej koalicji, natychmiast rozpisalbym przedterminowe wybory. Dostałaby przynajmniej 270 mandatów, które mogłyby przełamywać weta prezydenta.

Z PROF. **RADOSŁAWEM MARKOWSKIM***, SOCJOLOGIEM, POLITOLOGIEM, ROZMAWIA **PIOTR NAJSZTUB**

Czy PiS jest partią polityczną? To pytanie ważne w obliczu spodziewanego finału tej rozmowy.

– Oczywiście, że jest. Gdyby pan rozmawiał z prawnikiem, odpowiedzialby, że skoro widnieje w sądowym rejestrze partii, to jest. Ja dodam: ma program, ma zarejestrowany statut i ten statut jest zgodny z polskim prawem i konstytucją.

Chciałbym porozmawiać o przyszłości tej partii. Krótkoterminowej i w długiej perspektywie. Krótkoterminowo Jarosław Kaczyński ogłosił, że Sejmu nie ma, muszą być przedterminowe wybory i rząd przejściowy. A z drugiej strony trwa groteskowa obrona przestępców Kamińskiego i Wąsika. Czy to tej partii służy?

– Nie wygląda na to, żeby przyspieszone wybory pomogły tej partii uzyskać lepszy wynik wyborczy. Wszystkie dane – nawet te najprostsze, czyli odpowiedź na pytanie: „Na którą partię zagłosowałbyś w najbliższą niedzielę” – nie pokazują tego, co się dzieje na zapleczu polityki, np. w badaniach zaufania do polityków. Nie ma w nim na topie żadnego polityka PiS. Natomiast nieufność do nich wzrosła niepomniernie. Najbardziej dramatyczny jest spadek zaufania do prezydenta Andrzeja Dudy. Każdy dotychczasowy prezydent wyrastał z jakiejś grupy politycznej, ale każdy starał się mocniej lub słabiej odcinać od takiej politycznej pepowiny. Niewątpliwie udało się to Aleksandrowi Kwaśniewskiemu, nawet Komorowski nie był partyjniacki. Oczekuje się, że prezydent będzie prezydentem wszystkich Polaków, a dziś 48 proc. badanych nie ma zaufania do prezydenta Dudy. To, że polityk partyjny ma taki poziom nieufności, może się zdarzyć, bo są dwie główne opcje polityczne i mocny, afektywny podział. Jednak tutaj mamy polityka, który z definicji powinien być ponad podziałami, a już na pewno powinien potrafić przekonać szersze grono, żeby mu ufalo.

Ale czy kiedykolwiek było to dla Dudy ważne? Nigdy.

– Myślę, że on by tego chciał.

Nic w tej sprawie nie zrobił.

– Są tego dwa poziomy. Każdy człowiek piastujący tę funkcję chciałby, żeby wpis o nim w encyklopedii był długi i raczej dobry. A o nim będzie krótka wzmianka, że był prezydentem proceduralnym, bo wybranym zgodnie z procedurą, ale funkcjonalnym nie był.

Może pocieszy go to, że dużo, choć złego, będą się o nim uczyli studenci prawa w dziale łamania konstytucji.

– Chodzi o coś jeszcze innego. Oglądałem ostatnio „Frost versus Nixon” i ten cyniczny Nixon na koniec jednak przyznaje, że łamał prawo, ale robił to dla „swojego” ludu. Może wyjdę na naiwnego, lecz takiej refleksji oczekiwałbym od naszego prezydenta.

A może on jest po prostu niezbyt mądrym mężczyzną w średnim wieku? Więc bez szans na refleksję.

– To na pewno. Natomiast jego czyny są głupie. Kiedy pierwszy raz startował, na

CZAS CEROWANIA SKARPET

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



łamach „Wyborczej” ostrzegałem, że ten człowiek jest kłamczuszką i nie powinien nawet kandydować. Musiałby mieć kręgosłup moralny, a on go nie miał i nie ma. Już pomijam to, że on nie ma porządnej wiedzy prawniczej. Bo to nie zawsze jest cynizm i kalkulacja polityczna. Czasem on po prostu nie rozumie, co jest napisane w przepisach prawa.

Zsiądźmy z prezydenta i wróćmy do PiS. Rozumiem, że Kaczyński anarchizuje sytuację, żeby mu się jego obóz nie rozpadł. Musi swoich ludzi zająć gwałtowną emocją, walką. Czy to mu się uda i ocali jedność i poparcie wyborców?

– Kaczyński zafundował nam ustrój, który od populizmu przeszedł do czegoś, co ja nazywam nieliberalizmem, klientelizmem. Ale ustawa „lex Tusk” otwierała nowy etap, etap autorytaryzmu. Jawnego. To się nie udało. Amerykanie tupnęli nogą i przestraszyli PiS. Demokracja to jest system zinstytucjonalizowanej niepewności.

Czyli niepewność wyniku wyborczego.

– A z drugiej strony pewność reguł gry. Autokraci próbują dla swoich wygumkować tę niepewność. A populiści mają jeszcze inną ważną cechę: amerytokrację.

Czyli?

– Kreuje się państwo, ład społeczno-gospodarczy na podstawie doboru osobników, którzy merytorycznie nie są sprawni, intelektualnie też, przynajmniej nie na poziomach, na które zostali wyniesieni, czyli brak merytokratycznych reguł wybierania ludzi na stanowiska w państwie.

PiS był tego modelowym przykładem?

– Tak, ale to samo dzieje się w innych autokratyczno-populistycznych państwach. Odwołują się do mitycznej woli i mądrości ludu, mądrości polegającej na rozumieniu spraw skomplikowanych. Jednak najważ-

niejsze w tym autorytarnym populizmie jest to, że zawsze jest jakiś wódz. I on jedyny – tak przekonuje – ma tę zdolność, że potrafi słuchać swojego ludu, identyfikować jego potrzeby i je zaspokajać.

Uważam, że jedną z największych destrukcji tego ośmiolecia jest to, że mamy teraz w Polsce kilkaset tysięcy ludzi, którzy uważają, że ich awanse były zasłużone, że to im się należało.

Że są elita.

– A teraz są przekonani, że się ich niesłusznie, z powodów politycznych, ruguje ze stanowisk, na których nigdy w normalnym rynkowym, prawnym czy naukowym trybie by się nie znaleźli. Nawet profesury przyznawano taśmowo, tak że już nawet trochę wstyd być profesorem, niech pan mówi do mnie „magistrze”. Niech w końcu będzie jakiś wywiad z magistrem.

I anarchia, którą zarządził Kaczyński, ma tym tysiącom ludzi pokazać, że nie wszystko stracone?

– Nie, on chce, żeby tych 7 mln ludzi, którzy na nich zagłosowali, wiedziało, że anarchię to robi obecna władza. A on selektywnie zapewnia swoich ludzi, że wrócą stare porządki. Część naszej narodowej populacji nie chce ryzyka w swoim życiu, ona chce mieć pewność. Tęsknota za peerełowskim Funduszem Wczasów Pracowniczych w wielu miejscach polskiej prowincji jest ogromna. I czegoś podobnego ci ludzie chcieliby teraz. Tak właśnie PiS trafił pod ich strzechy – rozdając i przekupując klientelistycznie.

Jak ich przekonać, że to Tusk jest anarchią, a nie PiS, który mówi, że Sejmu nie ma etc.?

– Nie ma jednego plemienia, jednego elektoratu PiS. Są trzy grupy. Pierwsza to ludzie mniej wykształceni, starsi, którzy w Kościele upatrują swoich radości życia.

Ci przy PiS zostaną, bo nie ma dla nich żadnej innej politycznej narracji. Druga grupa – emocjonalna, afektywna – weszła w mit zamachu smoleńskiego.

I wierzy, że Kaczyński jest potomkiem Chrobrego...

– A reszta to cwaniacy, którzy wdrapali się na stanowiska i robią swoje interesiki. To elektorat 5-7 proc., dołącza do tych, którzy wygrać, wygrali. Są jak kibice piłkarzy. Jak ktoś wygrywa, to „my wygrywamy”, a jak ktoś przegrywa, to „oni przegrywają”. To jest taki mechanizm psychologiczny – oni widzą, kto przegrywa. Ich nie przekona to, co się dzieje na poziomie Trybunału Konstytucyjnego, górnolotne hasła o państwie prawa i trójpodziale władzy. Ich przekona to, że zobaczą, jakie pieniądze były rozgrabiane, prywatnie i partyjnie.

Na to stawia ewidentnie Tusk. Jednak mam wrażenie, że spora grupa wyborców PiS ma taki do nich stosunek jak wąż do fakira. I jak fakir gra, to nie ma faktów, tylko hipnotyzująca ich muzyka fujarki. Celowo nie użyłem słowa „flet”.

A w ostatnich tygodniach fakir się bardzo uaktywnił. Jakże ma szanse u węża?

– Fakir gra, ale ważny jest kontekst. Niestety, mamy kilkumilionową grupę osób, dla których to, co się wydobydzie z ust Kaczyńskiego, ma status prawdy objawionej. Nie gusowski rocznik statystyczny czy nauka. Jeśli on jutro powie coś o jakiejś chorobie, to kilka milionów uwierzy jemu, a nie Naczelnej Radzie Lekarskiej. Pan próbuje tą metaforą fakira i węża wszystko wytłumaczyć, tak jakby fakir i wąż byli sami w zamkniętym pomieszczeniu. A tak nie jest. Ważne jest, jak mądrze trafić do różnych grup elektoratu PiS. Musi to zrobić obecnie rządząca, podkreślam, koalicja, a nie Tusk, bo to są cztery partie polityczne, które – gdyby nie ten konstytucyjny moment – już rywalizowałyby ze sobą.

Ba, gdyby nie osiem lat rządów PiS, to raczej by tej koalicji nie było.
– I jeszcze jedna ważna rzecz. To nieprawda, że większość wyborców jest konserwatywna i zachowawcza. Nie, większość jest liberalna, kosmopolityczna, tolerancyjna. Tylko ta większość była zdemobilizowana i apatyczna. I dopiero w 2023 r. coś w nich zgrzytnęło, już nie mogli patrzeć na upadek prestiżu państwa wewnątrz i na zewnątrz. Na to, że w Unii się nas wstydzą, a prezydent, jak tylko pojedzie w świat, jest przedmiotem drwin zagranicznych komentatorów, tak jak ostatnio w Davos. I prawdziwy lud tej ziemi ruszył do urn. On zawsze tu był, ale nie uważał dotąd, żeby to było konieczne. Pamiętajmy, że autokraci nie uderzają w przeciwników bezpośrednio, z powodów politycznych; to uderzanie w ludzi, którzy robią biznesy, kompromitacja obyczajowa za pomocą taśm. Tak jest i w Rosji, i na Węgrzech. A tu lud nad Wisłą miał przekonanie, że ci, którzy krzyczą o autokracji, totalitaryzmie, przesadzają, bo często przesadzali. A mądrością populistów, którzy dochodzą do władzy, jest myśl: „I co, znowu musimy walczyć w wyborach? A po co?”. Chcą sobie różnymi metodami zapewnić ciągłość władzy. I to całe zło, które mamy teraz w różnych częściach Europy, tego właśnie dotyczy. Jest jeszcze inne zjawisko związane z populizmem, autokracją – simplicyzm.

Co to jest?
– Grzebałem w badaniach różnych populizmów i zobaczyłem, że język partii populistycznych jest niesłychanie uproszczony w stosunku do języków partii mainstreamowych. I ten simplicyzm jest ważniejszy niż populizm, autorytaryzm czy nacjonalizm. PiS dokładnie realizuje ten schemat hasłami: „Wybierzcie nas, a my pyk, pyk, pyk – wszystko zrobimy od ręki”, „Nasz wrak leży na ruskiej ziemi, a jak dojdziemy do władzy, to pyk, pyk, pyk i samolot wróci do Polski”. Opowieść, że wystarczy chęć i trudne rzeczy rozwiąże się w prosty, szybki sposób. Mówił o tym stary filozof Ralf Dahrendorf: „Pamiętajcie, świat jest skomplikowany, strasznie złożony, przyczynowości są niesłychanie zapętlone, rzeczywistość jest bardzo trudna do rozeznania. I kiedy przyjdzie ktoś i powie, że to wszystko jest proste, wiedźcie, że zaczyna się droga do autorytaryzmu”. Destrukcja ostatnich ośmiu lat to właśnie ten prymitywny simplicyzm. Taki Suski na przykład i jego odpowiedź, dlaczego lotnisko w Radomiu.

Pamiętam. Bo będzie bliżej do Egiptu, Włoch, ulubionych kierunków wakacyjnych Polaków.
– Dokładnie. Ale trzy, cztery miliony ich wyborców to „kupuje”. A to jest uderzenie w naszą świadomość, jej gwałtowne splaszczenie.

Przypomina mi się tu minister infrastruktury w rządzie Beaty Szydło Andrzej Adamczyk. Zaraz po zaprzysiężeniu złapał go w Sejmie reporter i zapytał: „Jakie będą pana pierwsze decyzje?”. Adamczyk zmarszczył czoło i powiedział: „Wpierw trzeba zrobić remament”. Więc simplicyzm i ameryto-kracja ujawniają się też w posługiwaniu się językiem polskim. Kaczyński już kilka lat temu zrezygnował z wymawiania „ą” i „ę” na rzecz „om” i „siem”, żeby jego lud uznał go za swojaka.
– To też często technika populistów.

Wróćmy do przyszłości PiS. Czyli taktyka Tuska pokazywania skali marnotrawstwa, uwłaszczenia ludzi władzy na majątku publicznym, kosmicznych pensji może zagłuszyć piszczałkę fakira?
– Chyba się to udaje.

Czy jednak to na tego węża nie za mało?
– Tusk dopiero zaczął. Jedna rzecz to pokazać kilku dziennikarzy, którzy zarabiali ogromne pieniądze, teraz jednak będą ujawniane dużo większe kwoty i pozna-

my dużo więcej ludzi PiS z tymi pieniędzmi w kieszeniach.

Waż przeniósł się teraz do TV Republika. I tam nie usłyszysz się o pieniądzach wyprowadzonych ze spółek skarbu państwa.
– Znowu pan traktuje ich zero-jedynkowo – że są wszyscy razem, tacy sami. Tak nie jest. Na pewno jakaś część została przy telewizji publicznej, choćby z powodów technicznych. Fale wiedzy będą się rozchodzić także wśród nich. I gdybym był na miejscu rządzącej koalicji, natychmiast rozpiślabym przedterminowe wybory. I dostałaby przynajmniej 270 mandatów, które mogłyby przełamywać weta prezydenta, a one będą – widać to już wyraźnie.

Wyborcy koalicji mogliby się wkurzyć i powiedzieć: „Zaraz, dopiero co poszliśmy do urn i teraz trzeba znowu?!”. – Można wtedy przyjść z jasnym komunikatem: wybraliście nas, ale rzucane są nam pod nogi kłody i przywrócenie praworządności w tym układzie i z tym prezydentem nie jest możliwe.

W kwietniu czekają nas wybory samorządowe, a w czerwcu europarlamentarne. Jeśli wsadzić w to przyspieszone parlamentarne, to byłby ryzykowny, jeśli chodzi o frekwencję, maraton.
– Na tej wadze mamy dwa scenariusze. Albo teraz wybory, które moim zdaniem dają koalicji szanse na większe zwycięstwo, albo pat praworządności, który przetrwa do jesieni. A wtedy i tak trzeba będzie zrobić wybory, tylko koalicja będzie słabsza. Bo przez tych kilka miesięcy ludzie przestaną emocjonować się rozliczeniami poprzedniej władzy, a zaczną pytać o politykę oświatową, drogi, służbę zdrowia.

■
***Czas na odwagę utopii, bo**
tą „polityczką” młodzi się
zaraz znudzą – im trzeba dać
dalekosiężny cel.
Są gotowi, żeby im mówić
o wyhamowywaniu
konsumeryzmu,
samoograniczaniu się*

Z drugiej strony anarchia PiS się opłaca. Przez kilka dni Tusk zapowiadał ustawy o legalnej aborcji, a na czołówkach mediów są Wąsik i Kamiński.
– To członkowie rządu powinni z tym ruszyć do mediów.

Ruszyli, lecz są pytani o Wójcika i Kamińskiego.
– To jednak problem pana koleżanek i kolegów. Niejedyny. Jak ja bym chciał wam wyrzucić, o czym my w Polsce nie rozmawiamy! Jest globalizacja, ale i deglobalizacja, zapaść demograficzna. Jest problematyka antropocenu, masowego wymierania gatunków... Wszystko to, czym zajmują się polscy politycy, jest tak archaiczne, tak...

...prowincjonalne?
– Prowincjonalne. Nie robimy prawie nic w sprawach zmian klimatycznych, a musimy się włączyć w nurt światowy w tej sprawie. Gadają o tym, że zagrożeniem jest globalizacja, w czasie kiedy Kanał Panamski jest zatkany, Morze Czerwone trzeba omijać, bo terroryści – globalny handel wisi na włosku. A jeśli nie dopłyną kontenerowce do Hamburga, to my nie będziemy mieli większości dzisiejszych dóbr i udogodnień. I nawozów. O tym się w ogóle nie mówi.

Stanę w obronie polskich polityków. W czasie, kiedy trwa zimna wojna domo-

wa, tych tematów i tak nie udałoby się im wprowadzić do głównego nurtu.
– Nie jestem tego taki pewien. Na świecie natura, rzeki, ekosystemy, lasy zyskują prawną podmiotowość, więc można ich bronić i je chronić. A u nas? Są w politologii takie określenia jak „zapóźnienie”. I widzi się to jako szanse na przeskakiwanie, pomijanie etapów. I ja bym ten rząd do tego namawiał, szczególnie że podobałoby się to młodym i wykształconym. Pójście w kierunku odwagi utopii. Bo tą „polityczką” młodzi się za trzy miesiące znudzą – im trzeba dać dalekosiężny cel. I oni są gotowi na to, żeby zacząć im mówić nie o ciągłym wzroście, tylko o wyhamowywaniu konsumeryzmu, samoograniczaniu się.

Oni są już na tej drodze, w przeciwieństwie do swoich rodziców wolą pożyczać, a nie posiadać.
– Mamy kupować odzież używaną, naprawiać samochody i pralki.

Cerować skarpetki?
– Tak. I trzeba dzisiejszym 20-latkom tłumaczyć, że lepiej nie będzie!

Jednak trzy kilometry stąd, na Wiejskiej, toczy się absurdalna wojna o mandaty poselskie dwóch przestępców, którzy popełnili najcięższe przestępstwo, jakiego może się dopuścić funkcjonariusz państwowy: użyli tajnych służb dla korzyści politycznych swojej partii. I takich przestępców PiS wciągnął na swoje sztandary i nimi łopocze nad naszymi głowami. W dłuższej perspektywie to partii pomoże czy zaszkodzi?
– Myślę, że w dłuższej perspektywie to PiS zaszkodzi. Szczególnie jeśli uda się wyjaśnić aferę Pegasusa. Tam są możliwe dwie rzeczy. Oczywiście wiemy już, że podsłuchiwali opozycję i tych, których uważali za swoich przeciwników. Ale jeśli okaże się, że podsłuchiwali polityków europejskich z jednej strony i że podsłuchiwali siebie nawzajem z drugiej, to będą bomby. Szczególnie to drugie dla części piśowskiego elektoratu będzie nie do przyjęcia.

Zimna wojna domowa to też wojna o prawo Sądu Najwyższego, prokuratury, Trybunału Konstytucyjnego. Koalicja powinna być ostrożna czy grać na twardo?
– Ludzie o niekwestionowanym autorytecie, również międzynarodowym, także o poglądach konserwatywnych, tacy jak np. prof. Adam Strzembosz, powinni w tej sprawie zabierać głos. Bo to szczególny moment, moment swoistej niemocy sądowej. Wracam w tej sprawie do mojego guru prof. Adama Podgóreckiego. Był twórcą socjologii prawa w Europie. On w czasach PRL pisał o nazistowskich Niemczech i odwoływał się do Norymbergi. Pisał, że kiedy patologiczny jest system główny, trzeba się odwołać do etyki globalnej. W takim systemie patologicznym ludzie zachowujący się zgodnie z systemem są dewiantami z punktu widzenia etyki globalnej. Są u nas tacy pozytywiści prawni uważający, że wszystko musi się dziać zgodnie z literą prawa, którą ci łajdacy napisali. A napisali po to, żeby nie można ich było rozliczyć. I to jest moment, w którym trzeba sobie powiedzieć, że czas odwołać się do etyki globalnej, która redefiniuje to, co jest normą prawną, a co nie jest. Nie da się inaczej przywrócić konstytucyjnego porządku Rzeczypospolitej Polskiej.

Co wtedy ma być drogowskazem?
– To, co jest zapisane w konstytucji, a nie prawa niższego rzędu.

Tylko jedynym organem, który zgodnie z konstytucją może orzekać, co jest z nią zgodne, jest zatruty TK.
– Są tam dwie rzeczy, które trzeba zrobić natychmiast. Jest tam trójka sędziów dublerów, których nie może tam być i którzy przez lata pobierali nielegalne wynagrodzenia. Trzeba ich stamtąd wyprowadzić.

Jest tam Julia Przyłębska, która zgodnie z przepisami nie powinna być prezes.

Wojsko wysłać do Trybunału?
– Nie wojsko, tylko policję. Tam pracują cztery osoby podające się za sędziów, którymi nie są. Wyludniają wynagrodzenia. Są chyba na to paragrafy.

Adam Bodnar policji raczej nie wyśle, Tusk chyba też. Więc jak to zrobić?
– Tak jak to zło do nas weszło. Zrobiła to władza wykonawcza. I wygonić je może też tylko siła władzy wykonawczej. Skoro odblokowano okupowaną TVP, to dlaczego nie miano by odblokować Trybunału Konstytucyjnego?

Pan postuluje sąd nad PiS i być może w przyszłości jego delegalizację jako partii. Procesowe pokazanie łamania przez tę partię konstytucji, przestępcze działania etc. Jak to mogłoby się odbyć?
– Mówię to jako zaangażowany obywatel, politolog i socjolog, ale nie prawnik konstytucjonalista. W naszej konstytucji jest to paragraf 13, który mówi, że partie powinny być usuwane, jeżeli dopuszczają się nienawiści rasowej, narodowościowej, stosowania przemocy w celu wpływu na politykę państwa albo przewidują utajnienie struktur lub członkostwa. Niektóre z tych rzeczy da się przypisać PiS.

Jakie? Tępienie opozycji przez tajne służby jest tą przemocą?
– Tak. Ksenofobiczne wypowiedzi Kaczyńskiego, który strasząc uchodźcami, stwierdził, że mogą tu przywozić „różnego rodzaju pasożyty i pierwotniaki”, można ocenić jako czysto nazistowskie. Jeżeli za chwilę pojawi się sytuacja, w której były premier, wicepremierzy, ministrowie, działacze zostaną skazani w procesach, to powstanie pytanie, co z całą organizacją, którą stworzyli. Bo to nie są pojedynczy Obajtek, Kamiński, nadleśniczy z Białowieży i inni, którzy mają coś poważnego na sumieniu. To był system, który oni stworzyli. Jeżeli rządzący dopuszczali się łamania konstytucji, co oczywiście trzeba by udowodnić, to taki sąd nad organizacją trzeba rozważyć.

Pamiętamy też, że dwa niezależne sądy uznały, że można było państwo PiS nazywać „państwem mafijnym”, a samą ich władzę „zorganizowaną grupą przestępczą”. A kto miałby wnieść do sądu taki akt oskarżenia, pozew?
– Jeżeli nikt tego nie robi, to ja to zrobię. A mówiąc poważnie, jak zacząłem mówić o sądzie nad PiS, odezwało się do mnie sporo prawników i usłyszałem od nich, że w Polsce politycznie nie da się tego zrobić. No dobrze, skoro politycznie nie da się tego zrobić, to tego nie róbmy. Nie realizujemy zapisów konstytucji! A ja nie mówię, żeby tę partię zdelegalizować, ja mówię, że dla siebie i dla przyszłych pokoleń – skoro mam podejrzenie, że może nie powinna być legalną partią – niech sąd to zbada. Jeżeli sąd orzeknie, że „jeździli po bandzie”, lecz nie ma powodu, żeby ich delegalizować, to ja ten wyrok przyjmę do wiadomości i z pokorą powiem: „Dobrze, widocznie się myliłem”. ●



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA GAZETA

*** prof. Radosław Markowski**

• profesor nauk społecznych, socjolog, politolog, związany z Uniwersytetem SWPS

Jest za wcześnie na odpowiedź, co z „Heksami”

Z **ALDONĄ MACHNOWSKĄ-GÓRĄ***,
ZASTĘPCZYNIĄ PREZYDENTA M.ST.
WARSZAWY DO SPRAW KULTURY,
ROZMAWIA **AGATA CAŁKOWSKA**

„Wszystko mogło być inaczej. W życzliwej rozmowie, jeszcze przed podpisaniem nominacji dla Moniki Strzępki, poinformowałam – jako przewodnicząca społecznej rady ds. kultury – prezydenta Rafała Trzaskowskiego, jakie będą skutki tej nominacji. Próbowałam wyjaśnić, dlaczego ten śmiały pomysł radykalnej zmiany skończy się katastrofą” – napisała Dorota Buchwald. Pamięta pani rozmowy z nią o programach złożonych w konkursie na dyrektora Teatru Dramatycznego?

– Prawda jest taka, że kilka osób ze społecznej rady kultury, w tym Dorota Buchwald, konsultowało z nami wszystkie ogłoszenia dotyczące teatrów i myśmy dużo dyskutowali, jaki ten teatr ma być. Rozmawialiśmy także na samej komisji konkursowej po przesłuchaniu kandydatów i kandydatek, zastanawiając się nad różnymi ryzykami związanymi z wyborem. Przekonał nas program kandydatki, dlatego że ogłoszenie w sprawie dyrektora Teatru Dramatycznego nigdy nie zakładało, że to ma być teatr klasyczny. Można mówić o kontynuacji, ale nigdy nie było powiedziane, że ma to być kontynuacja pracy dyrektorów Tadeusza Słobodzianka czy Pawła Miśkiewicza. Program Moniki Strzępki był napisany językiem manifestu, a to od razu zrobiło złe wrażenie, wiązało się z ryzykiem, że rewolucja odbędzie się i na scenie, i na korytarzach teatru.

Dopytywaliśmy reżyserkę o wiele rzeczy i otrzymaliśmy wyjaśnienia, że kontynuacja w znaczeniu różnorodności zostanie zagwarantowana, nie będzie rewolucji, nie będzie jednej ideologii. Naprawdę takie pytania padały – i o feminizm, i o dbałość o zespół i wiodnię. Poprzedni dyrektor prowadził przecież bardzo różnorodny teatr, z musicalami, klasyką, ale też z bardzo współczesnymi tekstami, jak choćby „Dzieci księży”. Z dzisiejszej perspektywy po sytuacji, w której Monika Strzępka została odwołana i wydarzyło się to, co się wydarzyło, wiele osób, wracając do tamtej sytuacji, ma inną ocenę. Niektórzy – jak Dorota Buchwald – mogą czuć satysfakcję, że mieli rację, i to jest zrozumiałe.

A jaka jest pani ocena?

– To naprawdę był najlepszy program i byliśmy do niego przekonani. Natomiast wydarzyło się wiele rzeczy, które sprawiły, że nie było możliwe prowadzenie teatru przez reżyserkę. To sekwencja złych decyzji i braku refleksji nad ich skutkami. Trzeba też uczciwie powiedzieć, że warunki prowadzenia teatru w ubiegłym sezonie były trudne, dyrektorka była zawieszona przez kilka miesięcy. Bilans całego sezonu artystycznie, frekwencyjnie i programowo był udany, lecz eskalacja konfliktu, jaka następowała od wiosny, nie mogła pozostać bez wpływu na kondycję zespołu, instytucji, samego Kolektywu i doprowadziła do przykrego finału – najpierw odwołania premiery w atmosferze skandalu, a potem decyzji o odwołaniu Strzępki.

Czy każdy nowy dyrektor teatru ma wolną rękę w doborze aktorów, z którymi chce podjąć stałą współpracę?

– Tak. Jest to trudne, przy zmianach dyrektorów niemal zawsze następuje wymiana zespołu artystycznego. Natomiast trzeba zachować zwyczajowe formy, np. rozmowy prowadzi się w marcu, żeby aktorzy i aktorki mieli szansę znaleźć pracę od nowego sezonu teatralnego. Wiele takich dobrych obyczajów tutaj zostało złamanych. Dyrektorzy, którzy są też często dyrektorami artystycznymi, nie prowadzą zwykle skomplikowanych i głębokich rozmów, dlatego z danym aktorem nie chcą pracować. To są inne role – dyrektora i rozwiązania stosunku pracy oraz reżysera omawiającego z aktorem konkretne zadania.

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCIA WYBORCZA.PL



nia do konkretnego spektaklu. Niezadowolenie, konflikty z powodu decyzji dyrektora, niezgoda na decyzje o rozwiązaniu zdarzają się w wielu teatrach w Warszawie i całej Polsce i nierzadko kończą się w sądzie pracy. Dyrektorzy mają prawo decydować o sprawach kadrowych, ale nie może to doprowadzać do takich konfliktów i kryzysów, które zagrażają funkcjonowaniu instytucji. Decyzje i sposób zarządzania nie mogą mieć też znamion przemocy i mobbingu, lecz czy takie sytuacje mają miejsce, może stwierdzić tylko sąd.

Czy pani zdaniem Kolektyw Dramatyczny miał szansę sprawdzić się w skostniałych ramach teatrów w Polsce?

– Z mojego doświadczenia zawodowego wiem, że często podejmowanie decyzji, także w teatrach, jest dywersyfikowane, zespołowe, ze splaszczoną strukturą i może wcale nie nazywać się kolektywem. Są w teatrach operatywki, zarządy, rady programowe, rady artystyczne, gdzie takie mechanizmy są lepiej lub go-

nym instytucjach wiele działań miękkich: wyjaśnienia, mediacje, czasami pomoc w szkoleniach, a w sytuacjach jednoznacznych zgłoszenie do PIP lub miejskiego rzecznika etyki. Urząd na bieżąco monitoruje również sytuację finansową instytucji, sprawdza stan zobowiązań oraz należności. Wkracza, gdy jest taka potrzeba i są możliwości prawne.

Kiedy czytam doniesienia medialne dotyczące Teatru Dramatycznego i ktoś pisze, że to było wiadomo od zeszłego roku, „miasto wiedziało” i nic nie zrobiło, to uczulam, że nawet jeśli ktoś komuś powiedział na ucho, to nie znaczy, że urząd miasta o tym wiedział. Takie sytuacje zawsze potrzebują formalnego zgłoszenia. Bo to, że środowisko coś wie i podskórnie oczekuje działań na podstawie plotek, to za mało. Warto o tym mówić: oficjalne zgłoszenie, nawet mail czy anonim, uruchamia procedury.

Czy ustępujący Tadeusz Słobodzianek zostawił po sobie zadłużoną scenę?

Program Moniki Strzępki był napisany językiem manifestu, a to od razu zrobiło złe wrażenie, wiązało się z ryzykiem, że rewolucja odbędzie się i na scenie, i na korytarzach teatru. Ale był najlepszy

rzej wykorzystywane. Jest zadaniowe zarządzanie budżetem, zarządzanie projektowe itd. Sprawdza się zarządzanie inne niż autorytarna władza tylko jednego dyrektora czy dyrektorki, więc ja wierzę, że to jest możliwe.

Dlaczego osoby startujące do konkursów na dyrektorów teatru nie mają wglądu w sytuację finansową instytucji?

– Mogą dostać do wglądu wszystkie dokumenty, które są w biurze kultury – sprawozdania, bilanse, plany itd. Ale nawet biuro kultury miasta jako organizator nie zna każdej faktury czy decyzji o wydatku, którą dany teatr podejmuje. Były takie zmiany dyrekcji, kiedy nowego dyrektora wprowadzał ten ustępujący, były rozmowy z księgowością, wspólna praca nad kolejnym sezonem. Życzliwe przekazanie. Natomiast dzisiaj nikt komuś z zewnątrz, zanim ta osoba formalnie nie wejdzie do teatru, nie może pokazać wszystkich papierów chociażby z powodu ochrony danych osobowych. W mojej ocenie dostępne dokumenty i dane pozwalają ocenić, w jakiej kondycji jest instytucja. Trzeba oczywiście mieć doświadczenie i wiedzieć, jak czytać te dokumenty.

Czy ustępujący dyrektorzy teatrów są zobligowani do złożenia końcowego raportu finansowego?

– Nie.

To może trzeba to zmienić?

– Myślę, że w ogóle sposób funkcjonowania instytucji artystycznych, szczególnie teatrów, i relacje pomiędzy organizatorem i dyrektorem, pracownikami, pracownicami na pewno wymagają zmian. Dzisiaj to organizator, czyli urząd miasta, zawsze jest winny, kiedy dzieje się coś złego, a jednocześnie nie ma całościowej kontroli. Możemy prowadzić kontrolę tylko w zakresie przyznanej dotacji. Oczywiście szukamy innych sposobów i zmieniamy umowy z dyrektorami, tak żeby można było prowadzić pełne kontrole. Proszę sobie jednak wyobrazić, co z autonomią instytucji, gdybyśmy mieli kontrolować i autoryzować każdą decyzję dyrektorów. Jeżeli chodzi o sprawy pracownicze, nie mamy żadnych narzędzi z wyjątkiem kontroli, którą prowadzimy po zgłoszeniach pracowników, ale i tak potem musimy sytuacje zgłosić do Państwowej Inspekcji Pracy. Nie mamy żadnych twardych narzędzi na reagowanie. Warszawskie biuro kultury po zgłoszeniach pracowników prowadzi w róż-

– Nic o tym nie wiem. Z pewnością wykorzystał dotację i zrealizował ostatni spektakl, czyli „Amadeusza”, który był bardzo drogi w produkcji. Ale nie ma w tym nic niezwykłego. Nie jest jedynym odchodzącym dyrektorem, który zrobił kosztowny spektakl. Większy problem jest taki, że dyrektor nie zadbał o możliwość grania tego spektaklu potem. Liczba zaangażowanych osób, orkiestra, koszty stałe sprawiają, że trudno byłoby go utrzymać w repertuarze. Natomiast teatr nie był zadłużony.

W Warszawie jest 17 teatrów miejskich, na które miasto w 2023 r. przekazało 130 mln złotych. W jaki sposób te pieniądze są dzielone między teatrami? Jakie gremium o tym decyduje?

– To odpowiedzialność miasta i ona jest wpisana w ustawie. Przede wszystkim mamy obowiązek zapewnić funkcjonowanie instytucji, to znaczy koszty stałe związane z zatrudnieniem osób oraz utrzymaniem infrastruktury. Dostajemy także propozycje związane z produkcjami. Staramy się w tych dotacjach zapewnić wszystko, ale z założeniem, że część środków na funkcjonowanie zostaje wypracowana przez teatr poprzez sprzedaż biletów czy program. Spojrzenie na dotacje dla różnych instytucji może sprawiać wrażenie, że one są różne, niesprawiedliwe, nierówne. Tu jednak istotna jest specyfika teatrów – jedne ponoszą duże koszty na wynajem przestrzeni, inne mają swoją przestrzeń. Różnica w dotacji może zatem wynosić nawet kilka milionów złotych.

Mówi pani, że miasto zawsze zakłada z danym dyrektorem wypracowanie własnych środków finansowych. Mają państwo prawo to rozliczać?

– Nie ma takiej możliwości. Możemy jedynie reagować, kiedy nie jest realizowany program będący załącznikiem do kontraktu z dyrektorem – zakłada liczbę premier, liczbę uczestników, sposób zarządzania i linię artystyczną oraz programową. Nierealizowanie tego programu może być podstawą do rozwiązania umowy. Natomiast nie możemy wpisać w umowy ryzyka artystycznego. To się mieści w zobowiązaniu dyrektora. Spektakle mogą się udać, być sukcesem, ale nigdy nie można mieć co do tego pewności i z góry tego zakładać.

Jak wyglądały kulisy rozwiązania współpracy z Andrzejem Nejmanem, który 13 lat prowadził Teatr Kwadrat?

– Nejman nie został odwołany. Skończył mu się kontrakt, tam była nabrzmiała sytuacja i część zespołu poszła do mediów. Miasto także się z tymi osobami spotykało, z wieloma grupami, wyjaśnialiśmy różne wątki i wątpliwości, również z dyrektorem. Zespół jasno argumentował, że nie daje pełnego zaufania dyrektorowi i nie popiera przedłużenia umowy. Pojawiły się inne wątpliwości związane z zarządzaniem teatrem. Jako organizator zdecydowaliśmy się rozpiścić konkurs, w którym Andrzej Nejman zresztą brał udział. Rekomendacje komisji dostał inny program i inny kandydat.

Zaskoczyły panią doniesienia prasowe dotyczące zachowania dyrektora Teatru Kwadrat?

– Mogę powiedzieć, że to, co wyszło po wynikach kontroli, to nie są te same informacje, które przeczytałam w mediach. W tekstach w prasie była nałożona nadinterpretacja, to nie pokrywało się z wynikami protokołu kontrolnego. Zbyt duże przenikanie się róż-

nych podmiotów, także związanych bezpośrednio z dyrektorem i jego bliskimi, było błędem, to nie są standardy, na które jest miejsce w instytucji publicznej.

Pojawiła się informacja, że prawa do większości sztuk wystawianych w Teatrze Kwadrat są własnością fundacji kierowanej przez panią Nejman. Jak miasto rozwiązało ten problem?

– Nie uważam, żeby to była prawdziwa informacja. Relacje pomiędzy fundacją a teatrem rozwiązuje dziś pani dyrektor.

Jakie ma pani możliwości kontrolowania wydatków na bieżąco w teatrach, żeby nie dochodziło do sytuacji, że np. dyrektor z kasy teatru kupuje sobie garnitury (sprawa wydatków Grzegorza Jarzyny w TR Warszawa)?

– Bardzo niewielkie, bo mamy 17 teatrów i 32 instytucje kultury, a sytuacja kontrolowania każdego wydatku oznacza, że w każdym teatrze powinniśmy mieć własnego księgowego zatrudnionego na cały etat, który sprawdza każdy wydatek. To jest niemożliwe. Poza tym przypominam: autonomia instytucji jest gwarantowana ustawowo.

Jaki był koszt przygotowań spektaklu „Heksy”?

– Nie wiem, bo on nie został dokończony.

Trzy miesiące pracy całego zespołu, pieniądze wydane na adaptację książki i scenografię. Może warto doprowadzić „Heksy” do premiery?

– Jest za wcześnie na odpowiedź, co z „Heksami”. Na razie mamy dyrektora Mariusza Guglasa, który będzie prowadził ten teatr w ciągu najbliższych miesięcy, dopóki nie zostanie wyłoniona osoba z konkursu, i on jest odpowiedzialny za repertuar w ciągu najbliższych miesięcy.

W pierwszej kolejności trzeba uporządkować i uspokoić wiele rzeczy. Mamy przecież także zobowiązania co do kolejnych premier, które są w trakcie realizacji. Ważne, żeby one się odbyły.

Zależy pani na szybkim rozpisaniu nowego konkursu?

– Ogłosiliśmy go. Planujemy, że rozstrzygnięcie nastąpi w okolicach maja, a z pewnością przed rozpoczęciem nowego sezonu artystycznego

Co z innymi członkiniami Kolektywu Dramatycznego?

– Niektóre osoby już złożyły wypowiedzenia i tu sytuacja jest jasna. Co do tych, które nadal są pracowniczkami, to decyzja do wyważenia przez nowego dyrektora.

Dlaczego nie zdecydowała się pani wręczyć wypowiedzenia Monice Strzępce osobiście?

– Sam fakt wręczenia wypowiedzenia był formalnością, podobnie jak w przypadku powołania dokument wręcza dyrektor biura kultury. Poprosiłam o spotkanie z panią Moniką przed świętami, żeby mieć szansę porozmawiać. Spotkałyśmy się, decyzja o odwołaniu była już podjęta, o czym Monikę poinformowałam. Oczywiście po konsultacjach z biurem kultury i z prezydentem, po wysłaniu próby o opinię do wskazanych w ustawie podmiotów.

Czy właściwy jest wpis pracownika biura kultury miasta stołecznego Warszawy w mediach społecznościowych opisujący stan emocjonalny reżyserki w chwili, kiedy została przez państwa odwołana: „Monika Strzępka była wzburzona, podnosiła głos”?

– To ciekawe spostrzeżenie. W trudnej sytuacji nikogo nie dziwią emocje reżyserki czy artystów, a krótka informacja od urzędnika budzi tego typu zastrzeżenia. Pracownicy urzędu też mają prawo do swoich emocji. Usłyszałam potem relację, jak to wyglądało i że emocje były również po stronie dyrektorów, dla których to spotkanie i zachowanie, z jakim się zetknęli, były po prostu bardzo trudne. Także ze względu na to, że spotkanie było nagrywane, mimo że prosili, żeby tego nie robić. Pewnie lepiej, żeby nie było tego wpisu, a najlepiej, żeby to spotkanie odbyło się w innej, stonowanej formie.

Myśli pani, że ta sytuacja zablokuje karierę kobiet, które chciałyby być na takich stanowiskach?

– Myślę, że nie, tym bardziej że pojawiają się nieprawdziwe informacje, że to była pierwsza dyrektorka teatru. Przepraszam, a Izabela Cywińska, która była wspaniałą dyrektorką kilku teatrów, czy Karolina Ochab, która prowadzi Teatr Nowy jako dyrektorka naczelna, Joanna Nawrocka – Teatr Ochoty, a Agata Grenada – Teatr Szekspirowski w Gdańsku. Kobiety są świetnymi dyrektorkami i będą z pewnością w przyszłości.

Patrzę na te uproszczenia ze smutkiem, czasami też po prostu rozumiem, że dzisiaj jest świat w stylu serwisu X, który potrzebuje skrótości myślenia. Warto tym bardziej więcej czasu poświęcić na analizy i zmierzanie się z faktami, a nie tylko opiniami.

Czy pani zdaniem zasady konkursów są w Warszawie transparentne?

– W sumie to pytanie mnie obraża. Ja jestem odpowiedzialna za konkursy na dyrektorów instytucji kultury, przeprowadziliśmy ich kilkanaście w tej kadencji – i tak, są transparentne, przeprowadzane zgodnie z ustawą, określające szerokie kryteria umożliwiające osobom z różnym doświadczeniem spełnienie warunków (np. reżyserów prowadzących organizacje pozarządowe). Zdecydowaliśmy, że będziemy w nich umieszczać też oczekiwania, jakie mamy wobec danej instytucji, które nie są żadnym twardym zapisem, wskaźnikami jak z przetargu. Mieliśmy np. takie sytuacje, że do teatru komediowego była złożona oferta na teatr tańca.

Co w samej ustawie o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej warto zmienić?

– Dzisiaj mamy dwa etapy konkursu: formalny i merytoryczny. Należy rozważyć rozwiniecie tego sposobu rekrutacji, rozszerzyć ją o więcej etapów. Kolejna rzecz – teraz jednego dnia dyrektor czy dyrektorka kończy umowę, a następnego przychodzi nowa osoba. My zmieniamy umowę z dyrektorami, żeby się zobowiązali, że zwycięzca konkursu będzie mógł być zatrudniony w teatrze np. jako pełnomocnik, żeby przygotować się do prowadzenia te-

1 RF

FOT. FERENC ISZA/STR/EAST NEWS



NAWRÓCENIE GÁBORA VONY

Opowiadał, jak to Węgry, jego ojczyzna, zmuszone są „lizać buty Brukseli, Waszyngtonowi i Tel Awiwowi”, głosił za Aleksandrem Duginem, że „euroatlantyzm trzeba zamienić na euroazjatyzm”. A teraz...

Ziemowit Szczerek

Ma Węgrzech – cuda. Fala nawróceń. Najpierw ze skrajnie prawicowej ścieżki w stronę centrum zstąpił (przynajmniej teoretycznie) faszyzujący wcześniej Jobbik, a kilka miesięcy temu nową partię założył jego dawny szef Gábor Vona. Człowiek, który wygłaszał antysemickie, antyromskie, homofobiczne i antyzachodnie tyrady, który stworzył parafaszystowską organizację Magyar Gárda, który oskarżany był o to, że swoją mową nienawiści przyczynił się do fali przemocy przeciwko Romom (która skończyła się kilkoma zabójstwami), dziś ustawia się w roli pocziwego chrześcijańskiego centrysty, prozachodniego, tolerancyjnego i dogłębnie zainteresowanego interesami mniejszości, a za swoje dawne słowa i działania mocno i głośno przeprasza.

Co więcej, Vona stworzył na Węgrzech nową partię, i to partię niezmiernie ambitną. Druga Era Reform już samą nazwą nawiązuje do epoki wielkich reform węgierskich z pierwszej połowy XIX wieku, które przyczyniły się do przekształcenia feudalnego społeczeństwa węgierskiego w społeczeństwo zorganizowane na wzór zachodni.

Nawrócony Gábor Vona twierdzi, że przygotowuje się do „jakościowej zmiany” w węgierskiej polityce, a obserwatorzy zauważają, że ambicje ma większe: ma się przygotowywać nawet do objęcia roli symbolicznego przywódcy opozycji. Obecne opozycyjne elity nie wątpią raczej w przemianę Vony, ale nie ukrywają sceptycyzmu co do jego projektu.

Gergely Káracsony, burmistrz Budapesztu, przypomniał mi na przykład, że na razie partia Vony jest jedną z wielu niewielkich nowych ugrupowań, które pojawiły się po wygranych przez Orbána wyborach w 2022 roku, i na układ nowej konstelacji politycznej na węgierskiej opozycji trzeba będzie jeszcze poczekać. Zsuzsanna Döme, współszefowa węgierskiej partii Pies z Dwoma Ogonami (która od kilku lat nie działa już jako żart, tylko organizacja próbująca być całkiem poważną siłą polityczną), powiedziała wprost, że jeśli Vona chciałby w rzeczywisty sposób odpracować swoje winy wobec mniejszości, to powinien się raczej zatrudnić jako aktywista w terenie i robić dla nich konkretne rzeczy, zamiast próbować zostać kolejnym politykiem mogącym wylegitymować się wyłącznie słownymi zapewnieniami o swoim przemianie.

SAM GÁBOR VONA TEŻ ZDAJE SOBIE SPRAWĘ, ŻE SŁOWA NIE WYSTARCZĄ

– Ja chcę przekonywać ludzi czynami – mówił mi w budapeszteńskiej kawiarni Hadik, popularnej ostatnio wśród węgierskich intelektualistów, będącej wskrzeszeniem modnego przedwojennego lokalu o tej samej nazwie (to tak, jakby w Warszawie na nowo otworzono Zakładową Kuchnię). – Proszę tylko, by zwracano uwagę nie na to, co o nas mówią, tylko na to,

co robimy. Jak to mówił Jezus – Vona uderzył w ton dobrego chrześcijanina – „drzewo się poznaje po jego owocach”. A naszymi owocami są wyjątkowe podejście Nowej Ery Reform do politycznych kwestii, program partii oraz wielu młodych ludzi, którzy chcieliby coś zrobić na rzecz uczynienia z Węgier spokojniejszego, bardziej europejskiego kraju o bardziej konstruktywnej polityce.

Okej, pomyślałem, włączając dyktafon. Przyjrzyjmy się więc drzewu, które przez lata było symbolem węgierskiego prawicowego ekstremizmu. I powąchajmy choć owoce.

Zapytałem: – Kilka lat temu cały Jobbik, znany dotychczas jako partia skrajnie prawicowa, ku zaskoczeniu właściwie wszystkich zaczął zwracać się w stronę centrum. Jaki był tego powód?

Vona: – Może to zabrzmiało trochę dziwnie, ale to ja i moje najbliższe otoczenie zapoczątkowaliśmy tę zmianę i dopiero wtedy próbowaliśmy przesunąć partię z profilu skrajnie prawicowego na bardziej ludowy.

– Dlaczego?
– Czulem, że jesteśmy na złej drodze. To był dziwny moment: wyobrazić sobie, że jesteś liderem swojej partii, ale nie czujesz się w niej komfortowo. Poczulem, że musimy się zmienić, bo to skrajnie prawicowe stanowisko nie było w moim stylu.

To prawda. To mało znany i być może zaskakujący fakt, ale Gábor Vona zaczął karierę polityczną jako centrysta. Był członkiem Fideszu w czasie, gdy ten jeszcze nie podryfował daleko na populistyczno-prawicowe wody, w stronę prorosyjskości i mocnego eurosceptycyzmu. Vona jednak, jak twierdzi, uległ w pewnej chwili radykalizacji.

– W 2006 roku połowa Węgier wyszła na ulice przeciwko socjalistycznemu rządowi Ferencza Gyurcsány – wspominał Vona przy stoliku w Hadiku. – A rząd odpowiedział brutalną przemocą policji, co niczego nie uspokoiło, tylko sprawiło, że sytuacja jeszcze bardziej wymknęła się spod kontroli. Zostałem przywódcą Jobbiku w czasie, gdy prawie wszyscy, którzy byli na prawicy, robili jeden, dwa, trzy kroki w kierunku skrajnej prawicy. Wszyscy czuliśmy – i ja czulem – że to sytuacja rewolucyjna, że nasz rząd, inne państwa, wszyscy byli przeciwko nam i chcieli zniszczyć nasz kraj.

Kontekst tej prawicowej paranoi jest następujący: w 2006 roku wyciekły nagrania socjalistycznego premiera Ferencza Gyurcsány, który w ramach motywowania członków swojej partii do wytężonej pracy przyjął taktykę bicia się w piersi i przyznawania, że owszem, oklamywali naród Węgier, tego „pierdolonego kraju”, „rano i wieczorem” i że najwyższy czas to zmienić. I wtedy wielu Węgrów uległo prawicowej radykalizacji, z mowy Gyurcsány za pamiętano bowiem nie chęć zmian, lecz to właśnie, że kłamano. Zamieszki, które potem wybuchły – w sporym skrócie – nie tylko utorowały drogę do władzy prawicowemu Fideszowi, ale też nabiły popularności quasi-faszystowskiemu wówczas Jobbikowi. I Gáborowi Vonie.

W przypadku Vony jednak trudno mówić o jednym, dwóch czy nawet trzech krokach w kierunku skrajnej prawicy. Vona szedł w ostry antysemityzm, odnosząc się do znanych stereotypów i opowiadając na przykład o „przybijaniu wielkich, aroganckich nosów do podłogi”. Opowiadał, jak to jego ojczyzna zmuszona jest „lizać buty Brukseli, Waszyngtonowi i Tel Awiwowi”, kazał Węgrom sprzymierzać się raczej ze Wschodem niż z Zachodem, który jest „ześwieczony, konsumpcyjny i niemoralny” i znajduje się na „tonącym statku”. Spotykał się z rosyjskim skrajnym szowinistą i wielkoruskim imperialistą Aleksandrem Duginem i to zapewne pod jego wpływem głosił, że „euroatlantyzm trzeba zamienić na euroazjatyzm”. Twierdził, że większość węgierskich Romów „żyje w sposób sprzeczny z prawem” i „pasożytuje” na narodzie węgierskim. Założył Magyar Gár-

dę, partyjną milicję, paramilitarną organizację skrajnych nacjonalistów, której agresywnej retoryki i gestów ze zrozumiałych względów obawiali się członkowie węgierskich mniejszości i która przez wielu obywateli Węgier nazywana była „faszystowskimi bojówkami”.

No ale później, jak już wiemy, tak mniej więcej po ośmiu-dziesięciu latach, coś w Gáborze Vonie pękło i przestał się w skrajnej polityce czuć komfortowo. Co więc zrobił?

Gábor Vona: – Cóż, musiałem przekonać całą partię do zmiany. Oczywiście byli tacy, którzy stawiali opór. Ale wtedy czulem, że albo staniemy się partią ludową, o umiarkowanym, kulturalnym charakterze, unikającą wszelkich uprzedzeń i żyjącą ze wszystkimi w pokoju, albo – jeśli to nie zadziała – opuszczę Jobbik.

Ja: – Pamiętam wywiad, który przeprowadzałem z ówczesnym wiceliderem Jobbiku Mártonem Gyöngyösim, a było to już po tej zmianie, o której pan mówi. I Gyöngyösi bynajmniej nie brzmiał jak centrysta. Mówił, że jest centrystą, ale brzmiał nadal jak skrajny prawicowiec.

– Bo taka zmiana nie następuje z dnia na dzień. Nie chcę powiedzieć, że wszystko zmieniło się od razu. To był trudny i wolny proces, ponieważ okręt, który miał być poprowadzony w nowym kierunku, był bardzo duży, ale sama decyzja została podjęta w sposób jasny i oczywisty. A od czasu jej podjęcia nie oglądałem się już za siebie.

– Nigdy nie mogłem sobie wyobrazić, jak to jest możliwe, że cała partia, wiele przeciw osób, zmienia zdanie w tym samym momencie, ot tak.

– Wiem, że to dziwne, lecz wiele partii w Europie jakoś się zmieniło.

– Na przykład?
– Na przykład nasza partia rządząca, Fidesz, która na początku była partią liberalną, proeuropejską.

Jesteśmy ponad ideologiami. Zamiast ideologii mamy nasze specyficzne podejście polityczne. Nazywamy je reformizmem

To prawda. Ludzie Fideszu z Viktor-em Orbánem na czele zaczęli jako proeuropejscy liberalowie. Miklós Gábor, utulowany i doświadczony dziennikarz gazety „Népszava”, mówił mi przy innej okazji, że nie ma w tym nic dziwnego: Orbán to wieczny buntownik, a w czasie walki z upadającym komunizmem to pozycja proeuropejskich liberalów była pozycją buntownika. Jednak później, już za czasów obowiązywania poglądów Francisza Fukuyamy o końcu historii, gdy proeuropejskim liberałem ogłosić się mógł byle konformista, Orbán jako człowiek czerpiący energię do życia i polityki z wiecz-

negu konfliktu musiał się ustawić w pozycji przeciwnej.

– Myślę, że zmiana pozycji Fideszu to nawet dziwniejsza zmiana niż nasza – powiedział mi w Hadiku Gábor Vona.

– No cóż, być może. Ale ich zmiana była stopniowa, a u was to była odgórna decyzja...

– U nas też wszystko przebiegało stopniowo – opowiadał Vona. – To był proces i ewolucja. I zmienialiśmy się krok po kroku. Lecz ma pan rację: nie dało się zmienić całej społeczności. Zmieniliśmy poglądy my, przywódcy. A jeśli komuś w partii się to nie podobało...

– ...to mógł zawsze pójść do Mi Hazánk?

Mi Hazánk to partia skrajnie prawicowa, nacjonalistyczna i ksenofobiczna, która wypełniła na Węgrzech lukę po Jobbiku w jego poprzednim niecentrowym wydaniu.

– Tak.

GÁBOR VONA JEDNAK NIE POPRZESTAŁ NA ZAWLECZENIU JOBBIKU DO, POWIEDZMY, CENTRUM

W 2018 roku sam opuścił Jobbik, a w 2023 założył nową partię: wspomnianą już Drugą Ery Reform. Tę właśnie, która bardzo ambitnie i z wielkim rozmachem nawiązuje do czasów Lajosa Kossutha i Istvána Széchenyiego, do epoki wielkich węgierskich reform z pierwszej połowy XIX wieku, które przekształciły Węgry z kraju feudalnego w bardziej nowoczesny, opierający się na zachodnich wzorcach. Gábor Vona, jak to określił, popijając tonik w kawiarni Hadik, „zatoczył koło”.

– To musiało być bardzo szerokie koło, skoro objęło również Aleksandra Duginą i jego euroazjatyckie idee. Co pana wtedy fascynowało w Duginie? – zapytałem.

Gábor Vona: – Cóż, myślę, że Węgry potrzebują dobrych stosunków z Rosją, jeśli to tylko możliwe. To ważne ze względu na nasze położenie geopolityczne. Oczywiście teraz sytuacja jest inna, Putin zrobił w lutym 2022 roku coś, czego nie można wybaczyć, ale wtedy Rosja wydawała się inna. Przynajmniej dla nas. Naszą intencją polityczną było zbalansowanie jednostronnej relacji Węgier z Zachodem.

– Okej, ale Dugin jest specyficzny nawet jak na Rosję. Jest rosyjskim imperialistą i skrajnym nacjonalistą. Dlaczego zdecydował się pan balansować właśnie z Duginem?

– Pan Dugin dwukrotnie zaprosił mnie na Uniwersytet Łomonosowa, gdzie wygłosiłem wykład. Nasza relacja na niczym innym nie polegała. Inspirowała mnie wówczas idea euroazjatyizmu, która oczywiście ma inne znaczenie dla Rosjanina, a inne dla Węgra. Fascynowały mnie także idee filozoficzne Duginy i jego pisma na temat ideologii politycznych, więc bardzo mnie ucieszyło, że zostałem zaproszony i mogłem z nim osobiście porozmawiać.

Zapytałem więc Vona, jak też z perspektywy węgierskiej inaczej mogły wyglądać idee Duginy, czyli – w wielkim skrócie – nawoływanie do wzięcia udziału w konflikcie liberalnej, indywidualistycznej, zachodniej „kultury morza” z konserwatywną, wspólnotową, zatopioną w mistycyzmie i w swej istocie totalitarną „kulturą ładu”, oczywiście po stronie tej drugiej. A może po prostu Vonie chodziło o pan-turanizm, sięgającą XIX wieku ideę mówiącą, że miejsce Węgier jest bardziej na Wschodzie niż na „gardzącym Węgrami” Zachodzie, że warto odwrócić się od „zepsutego Zachodu” i szukać porozumienia z ludami i narodami Azji? Ale Gábor Vona nie dał się na to złapać.

– Miałem poczucie, że Węgry zbyt jednostronnie uzależniły się od Zachodu – powtórzył dyplomatycznie. – A to nie odpowiada naszym tradycjom historycznym i dlatego należy stworzyć równowagę między Zachodem a Wschodem.

„W parlamencie ogłosiłem ideę trójkąta niemiecko-rosyjsko-tureckiego – dopisał potem Vona w autoryzacji. – To trzy mocarstwa, z którymi toczyliśmy najwięcej wojen, dlatego uznałem, że nadszedł czas, aby spróbować zbudować dobre stosunki ze wszystkimi jednocześnie. Orbán też adaptował ten pomysł, jest to dziś podstawowa zasada polityki zagranicznej na Węgrzech”.

Wtedy jednak, przy stoliku w Hadiku, cisnąłem.

– Jeszcze raz zapytam: Dugin jest rosyjskim imperialistą i nacjonalistą. Dlaczego właśnie z nim tworzyć ten balans?

– Dobrze, zgadzam się – zniecierpliwil się Vona. – Po prostu mnie zaprosił i przyjąłem to zaproszenie. To wszystko. Przepraszam, ale czy będziemy cały czas rozmawiać o panu Duginie?

– Okej – odpowiedziałem. – Więc podsumowując – w 2006 roku z pozycji centro-wych zradyzalizował się pan skrajnie prawicowo, a następnie, po ośmiu latach, z powrotem zderadzalizował się pan i z pozycji skrajnie prawicowych wrócił do centrum. I co dalej?

– W 2018 roku staliśmy się jako Jobbik najsilniejszą partią opozycyjną – odpowiedział Vona. – Ja zostałem kandydatem na premiera, ale przegraliśmy. A ponieważ obiecałem, że jeśli nic z tego nie wyjdzie, zrezygnuję z pozycji szefa Jobbiku, to zrezygnowałem. Odszedłem z polityki i przez pięć lat robiłem karierę poza nią. Założyłem fundację, zostałem vlogerem i analitykiem politycznym, występowałem w telewizji, radiu i gazetach. W tym czasie napisałem trzy książki i wygłosiłem niezliczoną ilość wykładów. I w ciągu tych pięciu lat, od 2018 do 2023 roku, byłem wielokrotnie zapraszany na uczelnie. Poznałem wielu młodych ludzi, studentów i aktywistów. Zacząłem czuć, że to właśnie nowe pokolenie może wnieść innowacje do węgierskiej polityki. Wielu z nich wspierało Márkiego-Zaya w 2022 roku. Przez chwilę wydawało się, że może wygrać.

Tak. Péter Márki-Zay, konserwatywny (ale nie w populistycznym, antydemokratycznym stylu) burmistrz miasta Hódmezővásárhely, stał się w 2022 roku węgierskim fenomenem politycznym. Błyszczącym mocno, lecz krótko. Zjednoczona przeciwko Viktorowi Orbánowi opozycja postanowiła wystawić go na premiera w wyborach parlamentarnych. Márki-Zay przegrał, opozycja znów się rozsypała. I mówi się w Budapeszcie, że to właśnie nikt inny, tylko Gábor Vona celuje w spadek polityczny po nim.

– Młode pokolenie szuka teraz dla siebie miejsca w polityce – przeszedł do sedna naszej rozmowy Vona. – Oczywiście wiem, że tych starszych jest więcej, że starsi są też bardziej aktywni politycznie, ale bez młodych nie będzie zmiany. Nasz projekt polityczny 2RK, partia Druga Era Reform, w dużej mierze opiera się na nich. 70-80 proc. naszych członków to ludzie młodzi, poniżej 30. roku życia.

– Twierdzi pan, że partia Druga Era Reform nie wyznaje żadnej ideologii.

– Jesteśmy ponad ideologiami. Zamiast ideologii mamy nasze specyficzne podejście polityczne. Nazywamy je reformizmem, czyli gotowością do przeprowadzania reform. Można to uznać za swego rodzaju centryzm. Oznacza to, że owszem, doceniamy wartości czterech wielkich ideologii – liberalizmu, socjalizmu, konserwatyzmu, nacjonalizmu – ale nie chcemy wpaść w pułapkę żadnej z ich baniek. A poza tym warto przypomnieć, że te cztery ideologie pochodzą z XIX wieku. Nie są w stanie rozwiązać, a nawet wyjaśnić problemów naszych czasów.

– JAK SIĘ STOI PONAD IDEOLOGIAMI?

Vona: – Trzeba wyjść z międzypartyjnych konfliktów plemiennych i skupić się na znalezieniu rozwiązań pojawiających się pro-

blemów. Chcemy zupełnie nowego podejścia do polityki.

– W porządku, ale ostatecznie naprawdę trudno jest uniknąć ideologii, bo zawsze trzeba będzie zdecydować, czy jest się na przykład postępowym, czy konserwatywnym. Jak wygląda stanowisko w sprawie aborcji, jeśli się jest ponad ideologiami?

– Racja, to naprawdę trudne. My jako centrum pozwalamy naszym członkom widzieć różne kwestie inaczej. To część naszej nowej postawy politycznej. Są sprawy, na które mamy wspólną opinię, i takie, wobec których nasze opinie się różnią. Dlaczego wszyscy mielibyśmy się zgadzać we wszystkim tylko dlatego, że jesteśmy

– Uważam, że pierwszym krokiem węgierskiej polityki zagranicznej powinno być przywrócenie zaufania do Węgier. Jesteśmy członkami i sojusznikami Unii Europejskiej i NATO. I straciliśmy zaufanie. Zaczęlibyśmy od tego. Dopiero na tej podstawie można by zbudować wszystkie pozostałe kroki.

– A jak odzyskać to zaufanie? Może na przykład pomogłoby wyraźne wskazanie odpowiedzialności Rosji za wojnę w Ukrainie?

– Orbán takie oświadczenie akurat złożył. Ale tak, działania Węgier czasami pokazują co innego. Uważam, że powinniśmy zachowywać się w sposób bardzo przejrzysty wobec naszych europejskich kole-

Wyobraź sobie, że jesteś liderem swojej partii, ale nie czujesz się w niej komfortowo.

Poczułem, że musimy się zmienić, bo skrajnie prawicowe stanowisko Jobbiku nie było w moim stylu

w tej samej partii? Wiem, że to brzmi dziwnie, lecz to jest właśnie to nowe podejście do polityki.

– No dobrze, jesteście centrum. Ale w pewnej chwili musicie sobie zadać pytanie, czy jesteście centrum postępowym, czy konserwatywnym.

– Mamy członków ze strony zarówno postępowej, jak i konserwatywnej, ale nadal stanowimy jedną wspólnotę. Kwestia aborcji, o której pan wspomniał, to powód podziałów. To prawda. W tym przypadku jednak po prostu nie mamy jednolitego stanowiska.

– W porządku, lecz de facto brak opinii oznacza brak regulacji. A jeśli nie ma regulacji, to nikt nie zabrania.

– Nie dokończyłem zdania. Nie mamy w tej sprawie oficjalnej linii partyjnej, ale w tej sprawie całe społeczeństwo jest podzielone. Trzeba to zatem omówić. Bez nawiąski i stygmatyzacji. Obie strony mają przecież istotne argumenty. Więc dyskutujmy, a potem po prostu przeprowadźmy referendum. Być może głosowanie internetowe. Następnie zaakceptujmy werdykt większości. Tak działa demokracja. Żeby wszystko było jasne – ustanowiliśmy trzy kategorie kwestii politycznych. Pierwsza kategoria obejmuje te, co do których wszyscy mamy wspólne zdanie. Do drugiej kategorii zaliczają się te kwestie, co do których możemy wypracować wspólne stanowisko, na przykład polityka podatkowa. A trzecia kategoria obejmuje właśnie takie kwestie jak aborcja, w sprawie których wypracować wspólnej opinii nie jesteśmy w stanie. W takich przypadkach proponujemy referendum.

– A jak z polityką zagraniczną? Można powiedzieć, że polityka zagraniczna Viktora Orbána jest, jak pan to określił, „zbalansowana”, ponieważ balansuje pomiędzy byciem w NATO i Unii Europejskiej a flirtowaniem z Putinem.

– Nie nazwałbym tego polityką równowagi. Wygląda na to, że Viktor Orbán jest obecnie kontrolowany przez Rosję, a Rosjanie wykorzystują go jako narzędzie wpływu w Unii Europejskiej i NATO. Albo jest po prostu prorosyjskim, a czasem nawet prochińskim trollem. Jest genialnym politykiem w zdobywaniu i utrzymywaniu władzy, lecz to nie jest równowaga. Orbán wykorzystuje członkostwo Węgier w UE i NATO do robienia interesów z Rosją lub Chinami.

– Jaka byłaby zatem pańska polityka zagraniczna?

gów. To powinien być sposób na odzyskanie tego zaufania. Nie sądzę, że jest to łatwe i możliwe do szybkiego osiągnięcia. Powinniśmy jednak zacząć to krok po kroku.

– Zatem pańska wizja Węgier to Węgry, które pozostają mocno zjednoczone z blokiem zachodnim, z NATO, z Unią Europejską.

– Tak, absolutnie. Takie powinno być węgierskie stanowisko polityczne. I nie oznacza to, że nie możemy kwestionować niczego, co pochodzi z Brukseli czy NATO. Odwrotnie, możemy omawiać wiele rzeczy, ale co innego omawiać sprawy z kolegami, którzy mają do ciebie zaufanie. To normalne, że we wspólnocie istnieją różne perspektywy, wypowiedzi, interesy. To jest w porządku. Zaufanie jest rzeczą najważniejszą.

Jeśli chodzi o zaufanie, o którym mówi Vona, to mam wrażenie, że muszą je odbudować nie tylko Węgry wobec sojuszników, ale też sam Vona wobec wyborców, bo wielu ludzi pamięta jego antysemickie czy antyromskie wypowiedzi. Zapytałem więc Gábora Vonę o to, o co prosili moi węgierscy znajomi: czy czuje się odpowiedzialny za mowę nienawiści wobec Romów, która dolewała paliwa do ognia antyromskich wystąpień. Zdarzało się, że kończyły się śmiercią Romów.

Gábor Vona zamarł. Powiedział najpierw, w duchu papieża Franciszka, że wszyscy są winni, całe Węgry, że plemienia nienawiści istniała na Węgrzech na długo przed tym, zanim pojawił się Jobbik, a Jobbik po prostu zwrócił na to uwagę, po czym wpadł w lekką panikę i oznajmił, że w języku angielskim nie jest w stanie wyrazić wszystkich niuansów tej złożonej sytuacji. Wyjaśniłem mu, że to nie problem, że będzie mógł dopisać niuanse w autoryzacji. I Gábor Vona to zrobił. Poniżej mamy więc jego przemyślaną i zniuansowaną wypowiedź:

„Nie sądzę, że jestem odpowiedzialny za jakiegokolwiek morderstwo. Zawsze potępiałem przemoc. Mamy lata 2008-09. Zawiorowania polityczne, kryzys gospodarczy, wiele rodzin straciło domy. A konflikt pomiędzy Romami i nie-Romami na wsi przybrał gwałtowny charakter. Napięcie stało się zbyt duże. Zdarzyły się brutalne morderstwa. Część z nich została popełniona przez Romów, a potem nagle pojawił się gang seryjnych morderców i odebrał życie wielu Romom, w tym dzieciom. To była niewybaczalna i godna pogardy zbrod-

nia. Oczywiście zostało to wówczas przez nas wyraźnie potępione. Biorę więc odpowiedzialność za siebie i za swoją partię, za to, że nie próbowaliśmy wychłodzić emocji, ale jednocześnie chcę podkreślić, że zawsze sprzeciwialiśmy się wszelkim morderstwom. Wiele razy przepraszałem za te lata. I jestem całkowicie otwarty na to, aby zrobić to ponownie. Jednak teraz chcę się skupić na przyszłości. I z radością mogę oznajmić, że w naszej nowej partii, partii Drugiej Reformy, mamy członków, którzy są Romami. Jest to dla mnie wielka radość. Powołaliśmy grupę roboczą, która przygotowuje program pomocy Romom na Węgrzech w XXI wieku. Pracujemy nad zupełnie nowym programem. Nie mówimy

już tylko o integracji Romów, mamy o wiele ambitniejszy cel, którym jest integracja coraz większej liczby Romów z klasą średnią. Integracja nie tylko z niższymi klasami społeczeństwa, ale też z klasą średnią lub nawet wyższą. To bardzo mocne i bardzo trudne zadanie, lecz taki jest nasz cel na XXI wiek”.

– A CO Z GEJAMI?

– ZAPYTAŁEM

– Pamiętam tę medialną kampanię, którą skierowały przeciwko panu media Viktora Orbána, sugerując, że jest pan homoseksualistą, i licząc na ostracyzm w – było nie było – konserwatywnym środowisku. Może to był ten moment, który faktycznie zmienił pana zdanie na temat homoseksualizmu?

Vona: – To było bardzo intensywne przeżycie, choć homoseksualizm nie był na naszym politycznym celowniku. Ale tak, ma pan rację, pokazało mi to i bardzo dobrze mnie nauczyci, co na Węgrzech oznacza bycie homoseksualistą.

– Jak to jest być hejtowanym?

– Tak. I to jest bardzo trudne.

– Jakże zatem stanowisko ma pańska partia wobec mniejszości seksualnych?

– Nasi członkowie mają na ten temat zarówno konserwatywne, jak i liberalne poglądy, jest to więc pytanie należące do trzeciej kategorii. Ale oczywiście jesteśmy przeciwni jakiegokolwiek dyskryminacji czy mowie nienawiści wobec homoseksualistów, jaką na przykład uprawia nasz rząd.

Okej. Co dalej. O Gáborze Vonie i jego partii mówi się dziś w Budapeszcie całkiem dużo, choć – jak słusznie zauważył Gergely Karácsony – na poparcie większe niż u innej drobnicy politycznej się to nie przekłada. Jak powiedział chcący zachować anonimowość (bo jednak Vona to Vona) młody działacz polityczny, który zastanawia się, czy nie zaryzykować i nie nawiązać współpracy z partią Vony: „Węgierska opozycja jest w tak beznadziejnej sytuacji, że każda nowość czy możliwość jakiegokolwiek zmiany jest witana z wielką nadzieją”. ●

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Rozliczenia z kolonialną przeszłością

PRZETRZEBIANIE
MUZEÓW ZACHODU

Wiele prestiżowych placówek zaczęło zwracać przedmioty zrabowane podczas kolonizacji i bada pochodzenie niektórych kolekcji. Ale inne stawiają opór.

EL PAÍS

W ubiegłym poniedziałek hiszpański minister kultury Ernest Urtegas ogłosił, że kolekcje muzeów państwowych rozpoczyna „proces rewizji swoich zbiorów”. Celem jest, jak to ujął, „przezwyciężenie inercji wynikającej z kolonialnych zaszczości lub zakotwiczonych w genderowych albo etnocentrycznych schematach, które utrudniają uzyskanie właściwej perspektywy na dziedzictwo, historię i dorobek artystyczny”.

W europejskich muzeach, zwłaszcza w krajach, które niegdyś były kolonialnymi potęgami, znajduje się mnóstwo dzieł zabranych z terytoriów, które kolonizatorzy kontrolowali i plądrowali.

Grabież, która kiedyś była postrzegana jako rzecz naturalna, od kilku lat staje się coraz bardziej niewygodna, a procesy dekolonizacyjne – dotyczące nie tylko zachodnich kolekcji muzealnych, ale przede wszystkim zachodniej mentalności, świadomości i sumienia – stały się tematem publicznej debaty.

Oto sytuacja w krajach, w których jest ona najbardziej gorąca.

Francja. Dobre chęci

Prezydent Emmanuel Macron już w 2017 r. uruchomił ambitny plan zwrotu afrykańskiego dziedzictwa kulturowego przechowywanego w muzeach we Francji. Ale proces ten jest skomplikowany i powolny, zresztą z różnych stron Macron jest za to krytykowany.

Już dokonano zwrotów do Beninu i Senegalu, ale stanowią one zaledwie drobny ułamek z 88 tys. obiektów z Afryki Subsaharyjskiej, znajdujących się we francuskich kolekcjach publicznych. Jedną z trudności jest ustalenie, które z nich opuściły Afrykę całkowicie nielegalnie, z pominięciem jakichkolwiek procedur. Placówki posiadające największą liczbę takich artefaktów, z muzeum Quai Branly (otwartym z pompą

przez prezydenta Jacques’a Chiraca w celu ekspozycji sztuki kultur pozaeuropejskich) na czele, pracują nad identyfikacją dzieł, które mogłyby zostać zwrócone w przypadku, gdy pojawią się wobec nich roszczenia.

W swoim głośnym raporcie eksperci Bénédicte Savoy i Senegalczyk Felwine Sarr argumentowali w 2018 r., że Paryż powinien z zasady przychylić się do afrykańskich żądań zwrotu obiektów skradzionych podczas wojen, zebranych podczas misji naukowych przed 1960 r. lub przekazanych francuskiemu muzeum przez urzędników administracji kolonialnej. Kolejny raport, sporządzony przez byłego dyrektora Luwru Jeana-Luca Martineza, precyzował w 2023 r., że należy wykluczyć „nielegalny” lub „bezprawny” charakter nabycia. Powstaje ustawa, która zostanie poddana pod dyskusję i głosowanie w parlamencie – ma szczegółowo regulować zasady zwrotów.

Marc Bassets, Paryż

Wielka Brytania. Emblematyczny Partenon

British Museum i Victoria & Albert Museum niedawno ogłosiły, że wypożyczą Ghanie na trzy lata dziesiątki artefaktów, które wyszły spod ręki artystów i rzemieślników ludu Asante – to przedmioty zrabowane przez wojska imperialne w tej części Afryki Zachodniej jeszcze w XIX w. Ta decyzja stanowi dobry przykład wielowarstwowej komplikacji w debacie na temat odpowiedzialności postkolonialnej, której obecnie doświadcza Wielka Brytania.

Problemem zasadniczym dla British Museum jest sprawa „marmurów Elgina”, czyli rzeźb z ateńskiego Partenonu, sprowadzonych do Londynu przed ponad dwustu laty. Obecne kierownictwo BM usiłuje wypracować jakąś formułę dotyczącą marmurów Partenonu – w grę wchodzi przeniesienie ich na Akropol w Atenach, gdzie Grecy już wybudowali dla nich nowe muzeum, ale w żadnym razie nie po prostu zwrot, tylko na zasadzie czasowego wypożyczenia lub rotacyjnych wymian, ewentualnie w ramach wspólnej wystawy. Na Wyspach proste przyznanie, że wiele skarbów kultury przechowywanych w tamtejszych muzeach zostało pozyskanych nielegalnie, a ich zwrot to w zasadzie etycz-



Nowe ateńskie Muzeum Akropolu, o powierzchni 14 tys. m kw., zostało otwarte w 2009 r. i nadal czeka na rzeźby z Partenonu, które dziś znajdują się w Londynie

FOT. ATHANASIOS GIOUMPASIS/GETTY IMAGES

ny obowiązek, wciąż napotyka wiele przeszkód. Są to przeszkody także polityczne, po pierwsze dlatego, że Partia Konserwatywna postanowiła nie odpuszczać „bitwy kulturowej”, a ściślej walce z tym, co uważa za „wiktyzmizującą” rewizję historii brytyjskiej (wariant znanej w innych krajach, piętnowanej przez prawicę rzeckomej „pedagogiki wstydu”), którą ma postulować lewica. Ale istnieje także inna przeszkoda: pogląd, że instytucje takie jak BM są po prostu dziedzictwem kulturowym ogółu ludzkości, którego misją jest projektowanie globalnej narracji o naszej cywilizacji – i zapewnienie jak najszerszego dostępu do np. rzeźb z Partenonu.

W kontrze do tego poglądu, który krytycy uważają za paternalistyczny, wśród profesjonalistów z branży na sile przybierają ruchy, takie jak Museum Detox, które promują wystawy i konferencje mające na celu podniesienie świadomości na temat śladów epoki kolonialnej w narracjach muzealnych. A nawet szerzej: przykładem kampania prowadzona obecnie w Oksfordzie pod hasłem Cecil Rhodes Must Fall. Ma na celu usunięcie pomnika przedsiębiorcy, polityka, od nazwiska którego zaczerpnięto dawną nazwę obecnego Zimbabwe i Zambii – Rodezja – sprzed wejścia do Oriel College. Na razie jej sukces jest połowiczny: posąg nadal stoi, ale z nową tablicą, która wyjaśnia mniej chwalebny kontekst działalności Rhodesa.

Rafa de Miguel, Londyn

Holandia. Rząd przeprasza i zleca przegląd

Holenderska Rada Kultury, organ doradczy rządu, rozważała w 2020 r. zwrot całego kolonialnego dziedzictwa kulturowego przejętego przez Holendrów w okresie od XVII w. do

1975 r. W wydanym wówczas raporcie uznano popełnione niesprawiedliwości i otwarto drzwi dla zwrotu ok. 450 tys. dzieł. W 2022 r. premier rządu Mark Rutte przeprosił za niewolniczą i kolonialną przeszłość Holandii, zlecając przegląd kolekcji holenderskiego domu królewskiego.

Aby jednak jakkolwiek restytucja tego rodzaju była możliwa, najpierw kraje pochodzenia kwestionowanych dzieł muszą złożyć wnioski o zwrot i przeprowadzić dokładne dochodzenie. Niezależny Komitet ds. Zbiorów Kolonialnych jest odpowiedzialny za analizę każdego przypadku. W lipcu ubiegłego roku 478 niezwykle cennych obiektów zostało już zwróconych do Indonezji i Sri Lanki. Nie wszystkie eksponaty w holenderskich kolekcjach zostały skradzione lub zabrane siłą: były też zakupy i prezenty, stąd obowiązek badania w archiwach każdego przypadku.

Ponadto uruchomienie roszczeń może doprowadzić do porozumienia w sprawie zatrzymania dzieł w Holandii, jeśli zostanie to uznane za właściwe dla ich konserwacji i ekspozycji.

Wielka holenderska ekspansja kolonialna od końca XVI w. była wspierana przez silne sieci finansowe, powołane dla maksymalizacji zysku z morskiej działalności handlowej. Obejmowały to także handel niewolnikami. Kompanie Zachodnio- i Wschodnioindyjskie podzieliły się „obszarami kompetencji” i, ogólnie rzecz biorąc, działały w Ameryce Południowej – w Surinamie, Brazylii i na Karaibach, oraz w Azji – głównie w dzisiejszej Indonezji.

W 2022 r. Muzeum Tropików – obecnie przemianowane na Wereldmuseum, czyli Muzeum Świata – otworzyło stałą wystawę na temat 400 lat kolonializmu,

aby zachęcić do debaty społecznej na temat jej kłopotliwej spuścizny, wykraczającej oczywiście daleko poza grabienie cennych dóbr. Dodajmy, że Holandia uznała niepodległość Indonezji dopiero w 1949 r.

Isabel Ferrer, Haga

Belgia. Wstyd za prywatną kolonię króla

Belgia, której dokonania w Kongu należą do najstraszniejszych w historii kolonializmu, już od lat angażuje się w autorefleksję nad ich skutkami. Proces zwrotu przynajmniej części dzieł, które zostały zrabowane i są obecnie przedmiotem roszczeń krajów pochodzenia, został przyspieszony po wybuchu w USA protestów ruchu Black Lives Matter, sprowokowanych w 2020 r. zabójstwem George’a Floyd’a z rąk białych policjantów. Ówczesna fala globalnych protestów przełożyła się w Belgii na działania przeciwko symbolom kolonialnym, zwłaszcza posągom króla Leopolda II (Kongo stanowiło jego prywatną własność), które były notorycznie dewastowane poprzez oblewanie czerwoną farbą, także w ramach zorganizowanych akcji.

Ale już kilka lat wcześniej, w 2013 r., symbol kolonialnej przeszłości Belgii, Królewskie Muzeum Afryki Środkowej na obrzeżach Brukseli, zamknęło swoje podwoje, gdy uznano, że wstydem dla kraju jest dalsze działanie „ostatniego muzeum kolonialnego na świecie”, jak ujął to ówczesny dyrektor Guido Gryseels. Ponownie otwarto je pięć lat później, ale już jako przestrzeń, która poprzez swoją rozległą stałą wystawę stara się zaoferować krytyczne spojrzenie na rolę Belgii jako potęgi kolonialnej i szerzej na epokę kolonialną. Warunkiem ekspozycji danego dzieła jest tam teraz dostateczna ich

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

kontekstualizacja, czyli po prostu opatrzenie ich dopracowanymi podpisami, jak mówi obecny dyrektor placówki Bart Ouvry.

Latem 2022 belgijski parlament przyjął ustawę mającą na celu „uznanie zbywalnego charakteru mienia związanego z kolonialną przeszłością państwa belgijskiego oraz określenie ram prawnych jego restytucji i zwrotu” do Demokratycznej Republiki Konga, Rwandy i Burundi. Ustawa precyzuje, które eksponaty kwalifikują się do zwrotu – muszą być własnością państwa i pochodzić z muzeów i innych „federalnych instytucji naukowych” – oraz określa protokół rozpoczęcia procesu zwrotu, który musi być wynikiem zawartego traktatu z krajem pochodzenia oraz podlegać rekomendacji wspólnej komisji naukowej powołanej w tym celu. Jeśli natychmiastowy zwrot dzieła nie będzie możliwy, państwo belgijskie zatrzyma je przy zapewnieniu gwarancji niezbywalności dzieł w tym okresie przejściowym.

Silvia Ayuso, Bruksela

Niemcy. Przełomowy zwrot brązów z Beninu

Zwrot słynnych brązów z Beninu do Nigerii był dopiero początkiem radykalnej zmiany w Niemczech w zakresie restytucji zrabowanej sztuki.

Pod koniec 2022 r. w Abudży, stolicy Nigerii, szefowa niemieckiej dyplomacji Annalena Baerbock razem z minister kultury Claudią Roth zwróciły pierwszych 20 spośród tzw. brązów z Beninu. Od XVI w. stanowiły one wyposażenie pałacu władców ówczesnego królestwa Beninu. W 1897 r. brytyjska ekspedycja niemal całkowicie zniszczyła miasto i sam pałac, a liczne dzieła – w sumie ponad 5 tys. – zostały zrabowane i sprzedane na aukcjach w Londynie. Do niemieckich kolekcji przekazano około jednej piątej tych obiektów. Minister Roth mówiła o „punkcie zwrotnym w międzynarodowej polityce kulturalnej”. I faktycznie był to kamień milowy w procesie „dekolonizacji” zasobów zachodnich muzeów, a władze Niemiec zastanawiają się, w jaki sposób zwrócić przechowywane w muzeach etnograficznych obiekty z Kamerunu, Namibii, Tanzanii. Tu problemem są głównie warunki przechowywania i konserwacji, jakie mogą zaoferować te kraje.

Berlin – mimo zastrzeżeń co do dostępności przekazanych już skarbów dla publiczności – jest gotowy nie tylko zwrócić wszystkie zrabowane dzieła, ale także wyjaśniać odwiedzającym te instytucje, w jaki sposób się tam w ogóle znalazły. Przykład tego nowego podejścia można zobaczyć w Humboldt Forum w Berlinie: są tam informacje o sposobie, w jaki przedmioty zostały pozyskane, a gdy nie można tego ustalić, nie pokazuje się oryginałów, tylko kopie (niektóre gabloty pozostawiono puste), aby uświadomić skalę kolonialnych grabieży. Zabiegi te są obecnie powtarzane w muzeach w całych Niemczech, a zespoły badaczy ustalają, które obiekty powinny zostać zwrócone do ich krajów pochodzenia. ●

Elena G. Sevillano, Berlin

tłum. Łukasz Grzymisławski

Republikański upadek

Co się stało z partią Reagana

Po dwóch latach nieszczerego pohukiwania na Putina amerykańska prawica pod wodzą trumpistów wraca w objęcia Rosji.

Robert Stefanicki

Donald Trump Jr., syn byłego prezydenta, wyznał, że był „prerażony” wywiadem Tuckera Carlsona z Władimirem Putinem. Ale nie dlatego, że gwiazdor prawicowych mediów posłużył za podstawkę do mikrofonu dla dyktatora, by ten podktykował mu swoją wersję historii. Prezesa Trump Organization przeraziło to, że Rosja ma tak wspaniałego prezydenta, a USA tak słabego: „Biden nie pamięta, kiedy zmarł jego syn ani kiedy dokładnie był wiceprezydentem, a Putin recytuje historię od IX wieku bez zająknięcia”.

Republikański kongresmen Matt Gaetz skomentował wywiad Carlsona dwoma słowami: „Prawdziwe dziennikarstwo”. Bez przekąsu. To samo napisała jego koleżanka Marjorie Taylor Greene słynąca z propagowania teorii spiskowych, np. że pożary w Kalifornii zostały wywołane przez żydowskie lasery kosmiczne.

Owszem, byli i tacy republikańscy, którzy krytykowali Carlsona za podróż do Rosji. Kongresmen Adam Kinzinger nazwał go zdrajcą i udostępnił w sieci ankietę „Czy Carlson jest na liście płac Putina?” z odpowiedziami: „tak”, „oczywiście” lub „nie, on po prostu go kocha”, ale krytycy Trumpa w Partii Republikańskiej są w odwrocie.

Karty rozdaje MAGA (od Make America Great Again), frakcja zwolenników byłego prezydenta, który ma szanse pokonać Joe Bidena w listopadowych wyborach. To populiści kreujący własną rzeczywistość, „alternatywne fakty”. W ich świecie to Trump wygrał ostatnie wybory, Biden jest uzurpatorem, a skazani uczestnicy szturm na Kapitol są więźniami politycznymi czy wręcz „zakładnikami” (np. według Elise Stefanik, przewodniczącej klubu Republikanów w Izbie Reprezentantów).

W tym świecie największym zagrożeniem dla Ameryki jest kultura przebudzenia (woke) lansowana przez radykalną lewicę. Ale nie dajmy się zmylić, że wojna kulturowa to starcie ideologii czy kodeksów moralnych. Narodowi populiści swoją ideologię i moralność tworzą na bieżąco, w zależności od potrzeb. Również polityka zagraniczna to dla nich tylko narzędzie do osiągnięcia celu, którym jest pograżenie przeciwnika i zdobycie bądź utrzymanie władzy.

Wróg naszego wroga jest przyjacielem

Podczas pierwszej kadencji Trumpa Kim Dżong Un był najpierw wrogiem, potem przyjacielem, a gdy nie spełnił pokładanych w nim nadziei, ponownie wrogiem. Chiny są największym rywalem strategicznym USA, lecz gdyby zaoferowały kompromaty na Bidena, mogłyby zostać strate-

gicznym partnerem. Wróg naszego wroga jest przyjacielem. Dlatego MAGA gorliwie przyjmuje dłoń wyciągniętą przez Putina.

Putin zdecydował się udzielić wywiadu najszerzej rozpoznawanemu propagandyście amerykańskiej prawicy w momencie, gdy waży się losy dalszej pomocy wojkowej dla Ukrainy. Republikanie blokują ją w Kongresie pod pretekstem troski o szczelność południowej granicy USA, żeby pograć Bidena. Znamienne, że kiedy w 2014 r. Rosja zajęła Krym, Republikanie atakowali prezydenta Baracka Obamę za to, że nie zrobił więcej, aby pomóc Ukrainie. Dziś atakowaliby go za to, że robi za dużo.

Przesłanie Putina można podsumować w jednym zdaniu: „Do ziem ukraińskich Rosja ma odwieczne prawo, żadnego innego państwa nie zamierzam atakować, więc dajcie już sobie spokój z pomocą Żelenskiemu, lepiej wydajcie te pieniądze na własne potrzeby”.

Coraz więcej Amerykanów jest gotowych się z nim zgodzić. Według sondażu YouGov 26 proc. ma przychylną opinię o rosyjskim przywódcy, w porównaniu z 15 proc. trzy lata temu. Tylko że nie ma już ogółu Amerykanów – naród rozwarstwił się jak woda i olej na niebieskich (Demokraci) i czerwonych (Republikanie). Ostatnie badanie Gallupa, z jesieni, pokazuje, że to wśród wyborców republikańskich rośnie sceptycyzm wobec pomocy Ukrainie. Na pytanie, czy jest ona zbyt hojna, „tak” odpowiada 62 proc. czerwonych i tylko 14 proc. niebieskich.

Ronald Reagan przewraca się w grobie

Partia Republikańska, którą podczas zimnej wojny definiował opór wobec Moskwy, wchodzi w nieformalny alians z tym samym lewianem, tylko pozbawionym etykiety komunizmu. Inwazja na Ukrainę na krótko powstrzymała ten proces. Senator Lindsey Graham rok temu zachęcał do zamachu na Putina. Dziś, kiedy Trump zaszokował sojuszników stwierdzeniem, że zachęcałby Rosję do ataku na członków NATO, którzy „nie płacą”, Graham ledwie pisał, że „Rosja nie najechała nikogo, kiedy Trump był prezydentem, i nie robi tego, jeśli on ponownie nim zostanie”.

Są wśród przeciwników pomocy Ukrainie tradycyjni izolacjoniści, są politycy, którzy kierują się troską o budżet lub względami strategicznymi. Można im zarzucić brak wyobraźni. Lecz miłości trumpistów do Putina – przy nieścisłości do Żelenskigo – nie da się zrozumieć na podstawie racjonalnych argumentów.

Prezydenta Ukrainy Trump Jr. nazwał „królową międzynarodowej pomocy socjalnej”, a Tucker Carlson „narzędziem całkowitego zniszczenia” i kpil, że Żelenski ubiera się „jak menedżer klubu ze striptizem”. Tymczasem Putina na prawicy podziwiał jako męskiego przywódcę, który broni cywilizacji chrześcijańskiej. Jego

strategię Trump senior tuż przed atakiem na Ukrainę wychwalał jako genialną.

Kreml jako ostoja

Trwa to od dawna. W 2017 r. Christopher Caldwell, były naczelny konserwatywnego magazynu „The Weekly Standard”, powiedział, że Putin byłby uważany za „wybitnego męża stanu naszych czasów”, gdyby oceniać go tradycyjnymi kryteriami, takimi jak obro- na granic i rozwój narodowy. Ale zaraz wyjawil, o co naprawdę chodzi: Putin „nie jest prezesem feministycznej organizacji pozarządowej. Nie jest działaczem na rzecz praw osób transpłciowych. Nie jest rzecznikiem powołanym przez ONZ do tworzenia pokazów słajdów o zielonej energii”.

Inny krytyk poprawności politycznej Jordan Peterson doszedł do wniosku, że inwazja Putina mogła być jedynie samoobroną przed zagrożeniem dekadencją kulturową Zachodu. Ukraina miała być strefą buforową chroniącą Rosję przed zarazą „elgiebetów” i tym podobnych.

Kreml metodycznie inwestuje w nosicieli takich poglądów. Według Open Secrets Rosja wydała w ciągu ostatnich sześciu lat 182 mld dol. na lobbying, operacje wywierania wpływu i propagandę w USA. Najbardziej znany przypadek to Paul Manafort, którego Trump uczynił szefem swojej kampanii w 2016 r., a kiedy Manafort dostał wyrok więzienia w sprawie ingerencji Rosji w te wybory, jako prezydent go ułaskawił. Dochodzenie wykazało, że w sumie ponad 75 mln dol. z rosyjskich funduszy przepłynęło przez zagraniczne konta Manaforta, m.in. na wsparcie operacji rosyjskiego wywiadu zainstalowania w 2010 r. Wiktora Janukowycza na urządzie prezydenta Ukrainy.

Komisja senacka i prokuratura nie miały wątpliwości, że Kreml ingerował w wybory w USA w 2016 r. na rzecz Trumpa. Rosjanie włamali się na serwery Partii Demokratycznej i przekazali jego ludziom informacje godzące w rywalkę Hillary Clinton. Obnażono też rosyjskie operacje wpływu w mediach społecznościowych kierowane przez Jewgienija Prigożyna.

Mimo to faworytem w tegorocznych wyborach znowu jest Trump – najbardziej prorosyjski kandydat od 1948 r., gdy startował Henry Wallace stojący na czele prosovietycznej Partii Postępowej (dostał tylko nieco ponad 1 mln głosów).

Ukraina to „nie jest prawdziwy kraj”

Trump nieraz wychwalał cnoty Putina i demonstrował łączący ich relatywizm moralny. W niedawnym przemówieniu powołał się na opinię rosyjskiego dyktatora, że sprawy sądowe przeciwko niemu „pokazują zgniliznę amerykańskiego systemu politycznego”. W innych momentach dawał do zrozumienia, że chętnie oddałby terytorium Ukrainy, aby skłonić Rosję do zakończenia wojny.

Jego były doradca i minister Peter Navarro powiedział, że Ukraina to „nie jest prawdziwy kraj”.

Rosyjscy propagandyści codziennie cieszą się publicznie, że „Trampus” jest ich towarzyszem. Połowa Amerykanów albo o tym nie słyszała, albo im to nie przeszkadza, bo bardziej martwią się o napływ nielegalnych imigrantów albo o to, z jakiej toalety będzie mogła korzystać osoba transpłciowa.

Jest jeszcze spora bańka wierzących w teorie spiskowe wymyślane na radykalnej prawicy przy współudziale kremlowskich bajkopisarzy. Ostatnio pastorka Julie Green, samozwańcza prorokini MAGA, oznajmiła, że Putin wkrótce przedstawi „wybuchowe dowody” na temat potajemnej współpracy Bidena z Rosją.

Bo w uniwersum trumpistów to Ukraina, a nie Rosja, ingerowała w wybory w 2016 r. Syn Bidena był wówczas w zarządzie ukraińskiej firmy energetycznej, której właściciela oskarżono o korupcję. Jednak prezydent Żelenski nie zgodził się wznowić śledztwa przeciwko Hunterowi Bidenowi, a zapis rozmowy, gdy Trump go naciska, wyciekł do mediów, co posłużyło do próby jego impeachmentu. To wtedy Trump stwierdził, że Ukraina „ścigała go” i „nienawidziła”, faworyzując Clinton. Jego była doradczyni ds. Rosji i bezpieczeństwa narodowego określiła to jako „fikcyjną narrację, która jest propagowana przez rosyjskie służby”.

Sankcje nałożone na Moskwę po inwazji utrudniły pompowanie pieniędzy do lobbystów, ale sposób zawsze się znajdzie, można też skorzystać usług Tuckera Carlsona i jemu podobnych.

„Sieci wpływów rosyjskiego aparatu bezpieczeństwa są wszechobecne i trwałe. Nie znikną nagle tylko dlatego, że Putin stał się najbardziej znenawidzoną osobą na świecie. Zamiast tego prawdopodobnie po prostu zejda głębiej pod ziemię” – powiedział magazynowi „The New Republic” Jonathan Wiener, któremu przypisuje się wymyślenie tzw. ustawy Magnickiego.

Uległość trumpistów wobec Rosji będzie promieniować na Europę. Także tu skrajna prawica otrzyma się z powojennego dysnansu pomiędzy podziwem i strachem wobec Putina, lecz nigdzie jego towarzysze nie są tak blisko przejęcia władzy jak w USA.

Oczywiście można mieć nadzieję, że państwo amerykańskie przetrwa drugą kadencję Trumpa, tak jak przetrwało pierwszą. Elity MAGA będą temperowane przez większość urzędników, którzy Rosji wcale nie kochają. Zresztą sam Trump, jeśli uzna to za korzystne dla siebie, może nagle zaostrzyć kurs wobec Moskwy, bo już wie, że żadne kompromaty, również te z sejfów kremlowskiej bezpieki, nie są w stanie mu zaszkodzić. ●



Adam Michnik poleca

TO NIE ON POWINIEN STANĄĆ PRZED TYM SĄDEM

Oleg Orłow chce ocalić własną ojczyznę – Rosję. I świat. Zanim w ruch pójdzie broń atomowa

Dmitrij Muratow

PROCES ORŁOWA. O CO SIĘ TOCZY?

Oleg Orłow, obrońca praw człowieka i współtwórca stowarzyszenia Memorial, jest sądzony od czerwca 2022 r. za „dyskredytowanie armii”. Chodzi o jego artykuł „Chcieli fałszyżmu, no to go mają”, opublikowany przez francuski serwis Mediapart. Orłow skrytykował w nim agresję na Ukrainę i nazwał rosyjski reżim faszystowskim.

11 października 2023 r. odbyła się siódma rozprawa w tej sprawie. Prokurator wniósł o skazanie Orłowa na karę grzywny w wysokości 250 tys. rubli. On sam prosił

o uniewinnienie. Wyrok został wydany jeszcze tego samego dnia: 150 tys. rubli grzywny.

Orłow powiedział pod koniec rozprawy: „Wyrok jest oczywiście łagodny, ale niezgodny z prawem i niesprawiedliwy. Zostanie zaskarżony”.

26 października Orłow i jego obrońcy złożyli apelację od wyroku Gołowińskiego Sądu Rejonowego w Moskwie. Tego samego dnia dowiedzieli się, że wyrok zaskarżyła także prokuratura.

Podczas rozprawy 14 grudnia sędzia postanowił uchylić wyrok i przekazać sprawę do prokuratury – o co, ku po-

wszechnemu zaskoczeniu, sama prokuratura wnioskowa-ła. Orłow wyszedł na wolność.

Sprawa toczy się nadal. Bronią go adwokatka Jekaterina Tertuchina i jako „publiczny obrońca praw” Dmitrij Muratow, naczelny niezależnej „Nowej Gazety”, noblista.

Tekst, który publikujemy, to jego mowa końcowa wygłoszona przed sądem 11 października.

Patrycja Eiduka



• Oleg Orłow, Moskwa, październik 2023 r.

FOT. ALEXANDER NEMENOV/EAST NEWS

Gołowiński Sąd Rejonowy w Moskwie
Obrońca: Dmitrij Andriejewicz Muratow
W obronie Olega Piotrowicza Orłowa
Stanowisko w sprawie na piśmie

ORŁOW, SACHAROW,
SPECJALNA OPERACJA WOJSKOWA
I AFGANISTAN

Dlaczego Orłow to zrobił? Jest to dla mnie najważniejsze pytanie. Nie jestem z zawodu prawnikiem, postaram się raczej odpowiedzieć na swoje pytania, niż zagłębiać się w postać Orłowa.

Ta sprawa jest oczywiście dla naszego kraju symboliczna.

Pytanie dotyczy teraz nie tego, na ile posadzą Orłowa. Dotyczy tego, dlaczego w ogóle jest sądzony.

To inteligentny człowiek. Jest biologiem, naukowcem, osobą publiczną. Wiele razy ryzykował życie, próbowano go zabić, stawiano przed plutonem egzekucyjnym i sądzono. Ma doświadczenie! I dobrze wie, jak zwykle kończą się wystąpienia przeciwko większości. Czyżby nie znalazł ulubionego powiedzenia Napoleona: „Wielkie bataliony mają zawsze rację”? Zna.

Dlaczego więc wyszedł na plac z transparentem? Cóż to kawałek papieru przeciwko wielkim opancerzonym batalionom? Z jego strony pióro, przeciw niemu ołów i stal. Przeciwko armatom, kalibrom, gradom, lancetom, kindżałom i bezlitosnym solncepiokom [nazwy rozmaitych rodzajów broni].

Szukałem odpowiedzi na to pytanie i chyba udało mi się znaleźć.

Orłow wie, co nas czeka, i nie mógł nas przed tym nie ostrzec. Dysponuje wiedzą i algorytmami. Na ich podstawie jest w stanie przewidzieć niesłychane i tragiczne wydarzenia, z którymi jeszcze przez długi czas będą się musiały zmagać Ukraina i Rosja.

Przypomnę teraz o Sacharowie. Andriej Dmitrijewicz Sacharow, akademik trzykrotnie nagrodzony najwyższym tytułem honorowym Bohatera Związku Radzieckiego, był pomysłodawcą zarówno radzieckiej bomby wodorowej, jak i jednej z najstarszych i najbardziej zasłużonych rosyjskich organizacji pozarządowych zajmujących się badaniami historycznymi – stowarzyszenia Memorial, na którego czele stoi obecnie oskarżony Orłow. Jego niewiarygodnie wielkiego wkładu w zapewnienie bezpieczeństwa państwu nie można unieważnić, przekreślić ani zapomnieć.

A oto co akademik Sacharow napisał 43 lata temu do Leonida Breżniewa, marszałka i sekretarza generalnego KC KPZR, siedem miesięcy po rozpoczęciu wojny w Afganistanie, 27 lipca 1980 r.

Proszę posłuchać czołowego myśliciela świata. Gdyby ci w mniejszym stopniu obdarzeni takim umysłem go wtedy posłuchali, ta wojna nie toczyłaby się przez kolejne dziewięć krwawych lat.

TAK MÓWI SACHAROW

Do Prezydium Rady Najwyższej ZSRR
Do Przewodniczącego Prezydium Rady
Najwyższej ZSRR Leonida Breżniewa
Przesyłam kopie tego listu sekretarzo-
wi generalnemu ONZ oraz przywódcom
państw – stałych członków Rady Bezpie-
czeństwa

Zwracam się do Pana w sprawie najwyższej wagi – Afganistanu. Jako obywatel ZSRR i z racji mojej pozycji w świecie czuję się odpowiedzialny za tragiczne wydarzenia, które mają tam miejsce. Zdaję sobie sprawę, że Pański punkt widzenia został ukształtowany na podstawie posiadanych informacji (które muszą być nieporównywalnie obszerniejsze od moich) i zgodnie z Pańskim stanowiskiem. Niemniej jednak sprawa jest na tyle poważna, że proszę Pana o uważne zapoznanie się z niniejszym listem i wyrażonymi w nim opiniami.

Operacje wojskowe w Afganistanie trwają już od siedmiu miesięcy. Tysiące ludzi z ZSRR i dziesiątki tysięcy Afgańczyków zostało zabitych i okaleczonych, nie tylko partyzanci, ale głównie cywile – starsi, kobiety, dzieci – mieszkańcy wsi i miast. Ponad milion Afgańczyków stało się uchodźcami. (...)

Nie ma również wątpliwości, że wydarzenia w Afganistanie zasadniczo zmieniły sytuację polityczną na świecie. Zagroziły one détente [polityce odprężenia między stronami zimnej wojny od lat 70.] i stworzyły bezpośrednie zagrożenie dla pokoju nie tylko w tym regionie, ale też na całym świecie (...).

Działania Związku Radzieckiego przyczyniły się (musiały!) do zwiększenia budżetów wojskowych i wdrożenia nowych programów wojskowo-technicznych we wszystkich większych krajach, co zwiększył ryzyko wyścigu zbrojeń w przyszłości. Podczas posiedzenia Zgromadzenia Ogólnego ONZ 104 państwa potępiły radzieckie działania w Afganistanie, w tym wiele państw, które wcześniej bezwarunkowo popierały wszelkie działania ZSRR.

Wewnątrz ZSRR rośnie rujnująca supermilitaryzacja kraju (szczególnie szkodliwa wobec trudności gospodarczych). (...) Uważam, że konieczne jest polityczne uregulowanie obejmujące następujące działania:

ZSRR i partyzanci zaprzestają działań wojennych – zostaje zawarte zawieszenie broni;

ZSRR deklaruje, że jest gotów całkowicie wycofać swoje wojska, kiedy zastąpią je wojska ONZ; byłoby to działanie ONZ zgodne z jego celami ogłoszonymi w momencie jego utworzenia i rezolucją jego 104 członków;

neutralność, pokój i niepodległość Afganistanu są gwarantowane przez Radę Bezpieczeństwa ONZ reprezentowaną przez jej stałych członków i ewentualnie przez sąsiadów Afganistanu. (...)

Andriej Sacharow
akademik, laureat Pokojowej Nagrody Nobla
27 lipca 1980 r.



Przeczytałem ten historyczny dokument z niewielkimi opuszczeniami.

Andriej Dmitrijewicz Sacharow nie otrzymał odpowiedzi na swój list. Arogancie władze zakpiły z wielkiego naukowca. Wysłały go na wygnanie. Ośmieszyły w gazetach.

Lecz to właśnie on miał rację. W 1989 r. ZSRR wycofał swe wojska z Afganistanu. Z przyczyn humanitarnych i dlatego, że nie miał już więcej sił, by prowadzić wojnę. Wzrosła jedynie liczba uchodźców: wtedy było ich milion, teraz 8 mln.

A straty? 15 tys. 51 zabitych żołnierzy radzieckich, 26 tys. 595 żołnierzy miejscowych oddziałów, 28 tys. 2 zaginionych.

Andropow i Ustinow [członkowie najwyższych władz KPZR i ZSRR] nie zakładali takiego scenariusza, ale Sacharow ze swoim wielkim umysłem uczonego-humanisty wiedział, co się wydarzy już na samym początku wojny. Tragizm polega na tym, że okazało się, że miał całkowitą rację!

Jeszcze większy koszmar dotyczy ludności cywilnej. Od 1980 do 1990 r. – 640 tys. ofiar śmiertelnych, i to tylko według szacunków ONZ.

Tak więc Orłow, który przejął pałeczkę z rąk Sacharowa i jego kolegów, wie, o czym mówi. Kiedy pisze o obecnej inwazji Rosji

na Ukrainę, stara się zapobiec jeszcze większej katastrofie (cytuje jego słowa z akt sprawy: „To nie tylko masowe mordowanie ludzi, niszczenie infrastruktury, gospodarki, kultury tego wspaniałego kraju [Ukrainy]. To nie tylko niszczenie podstaw prawa międzynarodowego. To również najcięższy cios dla przyszłości kraju”.

Czy nie o tym właśnie z bólem pisał Andriej Dmitrijewicz Sacharow do Breżniewa?

Istnieje wiele typologicznych podobieństw między tamtą wojną, której straszliwy wynik Sacharow przewidział dziewięć lat przed jej zakończeniem, a obecną. Charakter pisma, że tak to ujmę, jest podobny.

Dzisiaj słyszymy skrót SWO [specjalna operacja wojskowa; oficjalna nazwa napaści na Ukrainę]. Wtedy Biuro Polityczne KC KPZR nieśmiało nazywało wprowadzenie wojsk przez Amu-darię „sytuacją w A.” (w Afganistanie). Na początku pojawił się też skrót WPOKSA (tymczasowa obecność ograniczonego kontyngentu wojsk radzieckich w Afganistanie).

Zarówno wtedy, jak i teraz LUDZIE, KTÓRZY NIE WALCZYLI, byli za przekroczeniem granic sąsiedniego kraju. A przeciwko niemu – ci na froncie.

Zarówno wtedy, jak i teraz dane o stratach pozostają utajnione. W ciągu roku w Afganistanie ginęło średnio 1500 osób. W ciągu pierwszych sześciu miesięcy obecnej operacji straty wyniosły 5 tys. 937 osób – według [ministra obrony Rosji] Sojgu.

Wtedy liczba uchodźców w ciągu dziesięciu lat wyniosła około 8 mln. Teraz w pierwszym, szalonym roku – 15,4 mln ludzi.

Zarówno wtedy, jak i teraz niemożliwe jest znalezienie celów, którymi można by usprawiedliwić takie szkody. Talent badawczy Sacharowa i wiedza naukowa Orłowa jasno i przekonująco pokazały nam możliwość przyszłość.

Piorem Orłowa i Sacharowa kierował niepokój. Ich teksty są ostrzeżeniami.

To nie jest dyskredytacja armii. To troska o ocalenie własnej ojczyzny, ojczyzny innych, a także świata, zanim klucze w urzędzeniach nuklearnych zostaną przekręcone.

Jednak nie jest to pełna odpowiedź na pytanie, dlaczego Orłow wbrew wszelkim przeciwnościom i na przekór wszystkiemu opublikował swój tekst [„Chcieli faszyzmu, no to go mają”].

Wysoki Sądzie, przez wiele lat, prawie 30, pracowałem jako redaktor wielkiej, nagrażanej w kraju i za granicą „Nowej Gazety”. Sam sobie zadaję to trudne pytanie: czy byłbym w stanie, czy gazeta byłaby w stanie wydrukować ten artykuł Orłowa? Sprowokować dyskusję, wysłuchać oponentów, poruszyć opinię? Przecież państwo nie pytało ludzi, czy są gotowi iść na wojnę. Odpowiem wprost: nie mógłbym opublikować Orłowa! Dziesiątki ustaw uczyniły wolność wyrażania opinii gwarantowaną przez art. 29 konstytucji [Federacji Rosyjskiej] przestępstwem.

Nie mógłbym. I nie sądzę, by mogło którekolwiek z mediów, które pozostały w Rosji.

Kiedy Gorbaczow zatrzymał szaloną wojnę w Afganistanie, kilku wielkich radzieckich dziennikarzy wpłynęło na jego decyzję. Inna Rudenko ze swoim esejem „Obowiązek” w „Komsomolskiej Prawdzie”. Artiom Borowik poczuł nieznosność bezsensownego poświęcenia, gdy zarzucono na niego jeszcze ciepły płaszcz martwego mężczyzny, z którym rozmawiał minutę wcześniej. Zdecydował, że przekaże ostatnie drżenia żołnierza, które wyczuł w stygnącym już płaszczu. Sniegiriow, Kożuchow i Wierstakow ukształtowali opinię publiczną, a Gorbaczow i Zjazd Deputowanych Ludowych ZSRR, jak to Gorbaczow ujął, zatrzymali swój „WOJENNY KLEKOT”.

Teraz jest to niemożliwe: media są zamknięte, parlament milczy...

Na początku 2023 r. państwowy Instytut Socjologii udostępnił dane uzyskane w dużym sondażu. Tak więc 75 proc. naszych obywateli popiera rozmowy pokojowe! A kto z deputowanych, którzy powin-

ni reprezentować opinie obywateli, wyszedł na mównicę z propozycjami pokojowymi? Nikt. ZERO.

Dlatego, Wysoki Sądzie, Orłow wy-rwał się naprzód. BO NIKT INNY TEGO NIE ZROBIŁ.

Wspomniana Inna Rudenko napisała kiedyś o wojnie w Afganistanie: „W MOIM KRAJU POJAWIŁY SIĘ WOJUJĄCE DZIECI NIEWOJUJĄCYCH OJCÓW”. Teraz niewojujący ojcowie i dziadkowie sami wysłali swoje dzieci do walki.

W tamtych czasach opinia publiczna i wola Gorbaczowa umożliwiły powstrzymanie wojny. Dziennikarze mieli prawo wyrażać swoje opinie. Teraz media niezależne od państwa są zamknięte. Zablokowano ponad 800 tys. stron internetowych. Tragizm i śmieszność sięgają zenitu.

Władimir Rumiancew, pałac z Wołogdy, zmontował mały nadajnik dla swoich sąsiadów – dostał trzy lata za nadawanie [niepaństwowego] radia Echo Moskwy. Anastazja Czernyszewa, cukierniczka, została skazana za pieczenie ciast z napisami „Pokój dla Ukrainy”. Sasza Skoczilenko, artystka z Petersburga, umieściła w supermarkecie antywojenne naklejki krytykujące władze. Siedział!

Stworzyli własne media, aby zastąpić te zamknięte. Najwyraźniej byli bardzo niezadowoleni z faktu, że iść i umierać można, ale czytać tego, co chcesz – już nie.

Wracałem z Afganistanu i kpt. Jura (później mjr Nartow zginie przy rzece Pandź, osłaniając swoich żołnierzy) dał mi małą torbę z komsomolskimi dokumentami tych, którzy zginęli. Wróciłem do Moskwy

Zarówno podczas wojny w Afganistanie, jak i teraz, podczas inwazji na Ukrainę, ludzie, którzy nie walczyli i nie walczą, byli i są za przekroczeniem granic sąsiada. Przeciwno – ci na froncie

i zanim wysłałem je do rodzin chłopaków (w Witebsku, Czerniowcach, Mohylewie, Lwowie, Gatchynie, Tomsku), przyjrzałem się ich twarzom. Zwróciłem uwagę na to, że w rubryce „składki członkowskie” jeden z żołnierzy miał dwie pieczątki głoszące: „zaplacono 2 kopiejki”. Za 1987 i 1988 rok. A potem umarł. Tylko studenci i żołnierze płacili 2 kopiejki. Na jednym z dokumentów, za okładką, dostrzegłem schowany list. Jego początek brzmiał: „Babciu, wrócę i dobuduję szklarnię”.

Nie dobudował. Nie miał nic, nie dostał nawet pierwszej pensji. A państwo odebrało mu jedyną rzecz, jaką miał – życie. Skonfiskowało jego przyszłość. Jego i dziesiątek tysięcy zabitych i rannych. I szklarnię babci...

Dlaczego państwo nakłada podatek na życie bez zgody obywateli? Wydiera im je jak zboże chłopom po rewolucji? Podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej nad tą kwestią nikt się nie zastanawiał.

Ale wtedy, w Afganistanie, i teraz, w przypadku Orłowa, pytanie brzmi do-kładnie tak samo. W imię czego państwo zabiera życie swoim obywatelom, zamiast je chronić? Narusza podstawowe prawo człowieka (Orłow jest obrońcą praw człowieka) – prawo do życia?

Jaka jest różnica między Wielką Wojną Ojczyźnianą a wojną w Afganistanie i obecną inwazją na Ukrainę? Wielka Wojna Ojczyźniana toczyła się o własną ziemię. Woj-

na afgańska i inwazja – o czyjaś. Nie były to wojny narodowe, czyli bitwy o własną ojczyznę... A patriotyzm to także miłość do własnej ojczyzny, a nie nienawiść do cudzej... Ale jak to się stało, że prawa państwa okazały się ważniejsze od praw człowieka?

Dochodzimy do kolejnego kluczowego punktu w artykule Orłowa i w jego oskarżeniu. „Chcieliście faszyzmu, no to go macie”. Słowa, takie jak „faszyzm” czy „faszysta”, są w Rosji śmiertelną zniewagą. Każda rodzina, moja również, nosi w swoim DNA pamięć o tamtej Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Patriotycznej – czyli za własną, a nie cudzą ojczyznę. Faszyzm to dla nas naziści. Obozy. Utrata 27 mln istnień ludzkich.

W lipcu 2017 r. propagandyści sprzedali całemu państwu absolutne kłamstwo o rosyjskim chłopcu ukrzyżowanym przez „ukraińskich faszystów” w Słowiańsku (obwód doniecki). Stacja telewizyjna Pierwyj Kanał [oficjalna] za pośrednictwem dziennikarki Julii Czumakowej i mieszkanki Donbasu Galiny Pyszniaak opowiedziała, jak chłopcu wbijano gwoździe w dłonie, ciągnięto go za czołgiem, a jego matkę zabito.

To straszne kłamstwo – tak kłamać po prostu nie można (a wówczas w tym miejscu był nasz korespondent i setki świadków – kłamstwa, kłamstwa, same kłamstwa!) – poruszyło cały kraj. Tysiące ludzi postanowiło zgłosić się na ochotnika do Donbasu po tym, jak usłyszeli o nazistach. Zostali oszukani.

Nie można okłamywać ludzi w tak straszny sposób, wykorzystując ich rozpacz, ból ich rodzin, ich zranioną pamięć. Jest to również niebezpieczne, bo można prze-

oczyć prawdziwy faszyzm.

Kiedy Orłow mówi o faszyzmie, nie ma na myśli „hitleryzmu”. Oto co pisze: „Faszyzm to nie tylko Włochy pod rządami Mussoliniego czy nazistowskie Niemcy, ale także Austria przed anszlusem, Hiszpania pod rządami Franco, Portugalia za rządów Salazara. Wszędzie reżimy faszystowskie się różniły i miały swoje osobliwości”.

Tak, ale były też podobieństwa. Pierwszym i najważniejszym jest ZNIESIENIE WIELKIEJ ZASADY RÓWNOŚCI WSZYSTKICH WOBEC WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI.

Charakterystyczną cechą włoskiego prawa lat 30. XX wieku jest znaczne zaostrzenie sankcji, zwłaszcza za przestępstwa o charakterze politycznym. Kara śmierci była przewidziana w kodeksie w 26 artykułach. Spośród nich 21 artykułów odnosiło się do przestępstw przeciwko państwu, a tylko jeden do przestępstw przeciwko jednostce.

Zarówno we Włoszech, jak i w III Rzeszy system prawny zwalniał sędziów z obowiązku kierowania się prawem. Możliwe było ściganie za takie „przestępstwa”, które nie były przewidziane przez prawo: tzw. zdrowy instynkt społeczny został uznany za wystarczający środek do uznania osoby za winną i skazania jej. Sędziowie przed każdą rozprawą decydowali, czy powołać świadków, czy nie, czy dopuścić obronę, czy nie.

Organy śledcze zastąpiła policja, przede wszystkim tajna, w Niemczech gestapo. Rozwinęła się praktyka, która zabiła prawo europejskie.

Ci, którzy zaliczali się do faszystów, mogli lekceważyć prawo obowiązujące przeciwników politycznych. Na próżno myślimy, że reguła: „Dla przyjaciół wszystko, dla wrogów – prawo”, jest zasadą mafii. Nie. To podstawowa zasada państwa korporacyjnego.

Oto mój ulubiony art. 19 rosyjskiej konstytucji: „Wszyscy są równi wobec prawa i sądu. Państwo gwarantuje równość praw i wolności człowieka i obywatela niezależnie od płci, rasy, narodowości, języka”. Równość praw niezależnie od przekonań!

Dziś mój klient Orłow może zostać skazany za swoje przekonania. Przypominam, że w przeciwieństwie do buntu słynnej Grupy Wagnera nikt nie ucierpiał z powodu działań Orłowa. ON OSTRZEGAŁ PRZED NIEBEZPIECZEŃSTWEM, NIE STWARZAŁ GO.

Ostrzegać przed niebezpieczeństwem, ryzykować TYLKO SOBĄ, a nie innymi – to tradycja radzieckiej inteligencji: Sacharowa, Sołżenicyna, Kowalowa, Orłowa. Chcą, abyśmy ich usłyszeli, gdy mówią o niebezpieczeństwie zemsty ciemnych sił. Oto co mówi Orłow:

„Najciemniejszymi siłami w moim kraju są ci, którzy marzyli o całkowitej zemście za upadek radzieckiego imperium. Ci, którzy stopniowo stawali się panami kraju, którym wciąż mało było konsekwentnego dławienia wolności słowa, dławienia społeczeństwa obywatelskiego, faktycznej likwidacji niezależnego systemu sądownictwa”.

Wciąż im mało, uważa Orłow. To czego chcą te ciemne siły? Oto cytat. To tylko niektóre z pomysłów jednego z teoretyków faszyzmu A[leksandra] Dugina:

„Jesteśmy zobowiązani do scalenia wszystkiego, co sprzeciwia się pokojowi, »postępowi«... Mamy wspólnego wroga. Nadszedł czas, aby stworzyć partię jeszcze nowszego typu. Religijną, nacjonalistyczną, bolszewicką, okultystyczną, przewrotową. Ponad wszelkimi podziałami...”

Francuski pisarz faszystowski Robert Brasillach wygłosił przed śmiercią dziwną przepowiednię: »Widzę faszyzm powstający na Wschodzie, w Rosji, faszyzm, który jest bezgraniczny i czerwony«. Proszę zauważyć: nie wyblakły, brązowawo-różowawy narodowy kapitalizm, ale olśniewający świt nowej rosyjskiej rewolucji, faszyzm tak bezgraniczny jak nasze ziemie i tak czerwony jak nasza krew... Nikomu nie wybaczyliśmy, niczego nie zapomnieliśmy. Nie daliśmy się zwać zmianie scenerii społecznej i aktorów politycznych. Mamy bardzo długą pamięć, mamy bardzo długie ręce. Mamy bardzo surową tradycję”.

To właśnie napisał pan Dugin dekadę temu. Ale nawet teraz łatwo jest dostrzec tego apologetę faszyzmu we wszystkich mediach.

Dlatego nie byłem zaskoczony, widząc go, człowieka, który – powtarzam – ogłosił „olśniewający świt bezgranicznego faszyzmu nad naszą ziemią” jako głównego gościa Petersburskiego Forum Ekonomicznego Rosji w 2023 r. To najważniejsze wydarzenie polityczne, międzynarodowe i gospodarcze tego roku.

Dugin przemawiał na temat przyszłej struktury Rosji („Horyzont-2040. Rosja na mapie świata”). Tam, na państwowym forum, w którym uczestniczył również prezydent Rosji, mówił zwięźle:

„Potrzebujemy dezurbanizacji, musimy budować futurowioski. Może w formie sterowców, w formie bezzalagowych statków powietrznych”. Po tym nonsensie Dugin otrzymuje kolejne wyróżnienie – główny rosyjski zasób państwowy, agencja Rossija Siegodnia, publikuje manifest pana Dugina.

„Ktokolwiek w Rosji sprzeciwia się specjalnej operacji wojskowej, w rzeczywistości walczy po stronie ukraińskiego nazizmu i bierze udział w agresji NATO przeciwko naszemu krajowi i naszemu narodowi (...). MAMY DO CZYNNIENIA Z WROGAMI, SA-

BOTAŻYSTAMI I POTENCJALNYMI TERRORYSTAMI”.

Potrzebujemy, pisze Dugin, w mediach głównego nurtu rosyjskiej propagandy, cenzury i represji. Cytuję: „W miarę jak nasze społeczeństwo jest wciągane w cywilizacyjny konflikt z Zachodem (...), kwestia cenzury, a nawet represji staje się coraz bardziej aktualna”.

Represje wobec narodu, obywateli są bezpośrednią praktyką faszyzmu. Wzywając do represji i terroru, ilu obywateli Dugin miał zamiar rozstrzelać? Te 75 proc., które opowiada się za rozmowami pokojowymi?

A więc Orłow ma rację! To dobrze, że dzięki temu procesowi jego ostrzeżenie przed „ciemnymi siłami” zostanie wyrażone usłyszane.



Będę kontynuował temat równości wobec prawa. Musimy zrozumieć kontekst społeczny, w którym zachodzi ten proces.

Nierówność wobec prawa to jedna z podstawowych postaw państwa korporacyjnego, takiego jak państwo Mussoliniego, które stosuje prawo tylko wobec swoich przeciwników, a nigdy wobec zwolenników. Nie mogłem tego pominąć!

Cytuję deputowanego, przewodniczącego kluczowej komisji rosyjskiego parlamentu – komisji ds. narodowości.

Pan Giennadij Semigin wziął stronę syna Ramzana Kadyrowa, gdy ten pobił aresztowanego mężczyznę przetrzymywanego pod nadzorem w areszcie śledczym w Groznym. Co więcej, pochwalił go za to. Zrobił to w następujący sposób: „Gdyby każdy rosyjski żołnierz bronił swoich ideałów tak bezkompromisowo jak syn Ramzana Kadyrowa, to być może czeczeński batalion »Achmat« nie musiałby siłą zaciągać żołnierzy rosyjskich sił zbrojnych na pole bitwy”.

Uwaga! Wysoki Sądzie, uwaga! Semigin, deputowany, zastępca przewodniczącego partii, przewodniczący komisji Dumy Państwowej, twierdzi, że rosyjscy żołnierze idą na wojnę posłuszni kopniakom czeczeńskiego batalionu?

To nawet nie dyskredytacja, to niesłychane upokorzenie. Gdzie są oskarżenia? Gdzie śledztwo? Gdzie, pozwolę sobie zapytać, sprawa karna? Odpowiadam: tylko zwolennicy specjalnej operacji wojskowej mogą dyskredytować Siły Zbrojne Federacji Rosyjskiej. Oni mogą zrobić wszystko. A reszta? Dla reszty – prawo...

Tak się zastanawiam: czy można porównać wypowiedź Orłowa, która w żadnym stopniu nie obraża żołnierzy i oficerów, z tym szalonym wystąpieniem pana Semigina?

Z jednej strony zawiera ono dzikie pochlebstwa dla rodziny gen. Kadyrowa i usprawiedliwienie całkowitego bezprawia, gdy obywatel jest karany rękami i nogami przez osobę prywatną, a nie przez sąd. A z drugiej strony upokarzający i pogardliwy stosunek do rosyjskich żołnierzy, którzy – zdaniem deputowanego – są zdolni do walki tylko po tym, jak zostaną skopani przez czeczeński batalion „Achmat”. Najwyraźniej zdaniem Semigina te kopniaki podobnie jak kopniaki syna Kadyrowa „bezkompromisowo bronią ideałów...”.

Liczę na to, że to prostackie chamstwo zostanie należycie ocenione, choć zdaje sobie sprawę, że pewnie się przeliczę. Bo „DLA PRZYJACIOŁ WSZYSTKO, DLA WROGÓW – PRAWO”.



Ostatnio dla wielu ludzi stało się jasne, przed jakimi tragicznymi konsekwencjami militaryzacji świadomości ostrzegał Orłow. Nie tyle ciężkimi. Katastrofalnymi. Oto cytat z wypowiedzi Margarity Simonjan, szefowej agencji Rossija Siewodnia i kanału RT. Jest jedną z głównych twarzy telewizyjnych talk-show.

Margarita będzie teraz spekulować, w jaki sposób można wykorzystać eksplozję nuklearną, aby poinstruować cały świat, jak odnieść zwycięstwo: „Nie będziemy musieli uderzać w Waszyngton. Jeden mądry czło-



WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Tadeusz Hollender*

Sąd nad zdrajcą ojczyzny

Więc zapalono świecznik bardzo gorejący,
na stole postawiono Ukrzyżowanego,
zatem sędziów dwunastu w orderach jak słońca
patrzyło w judaszowe lica Trzynastego.

Więc czytano zarzuty – monotonna, długo,
recytowano winy, za które odpowie,
prokurator zabłysnął słów wymownych strugą,
aż w krzyżach paragrafów przechodziło mrowie.

– „Oskarżamy cię zdrajco! – (huczał oskarżyciel),
o zdradę narodowych znaków i sztandaru,
że o własnych rodakach pisał jadowicie,
że kochał innych więcej, niż swój własny naród.

– Oskarżamy, że wzywał możnych na tej ziemi,
by oddali biedakom całą własność swoją,
co jest, mówiąc słowami bardziej właściwemi,
nawoływaniem jawnem do zmiany ustroju...

I skarżę o bluźnierstwo Jedynemu Bogu,
gdy bluźnił, że go każdy chwali jednakowo,
gdy nawoływał wreszcie do miłości wrogów,
co jest zbrodnią i znowu zdradą narodową!!!”

I sypały się słowa jak natchnione ziarna...
Lecz Oskarżony w myślach swych się zapamiętał,
bo śniła mu się zieleń, śniła ziemia czarna,
i lasy i w tych lasach ptaki i zwierzęta.

I ludzie, którym miłość nienawistną wyznał.
Wszystko żegnał nieśmiałym, dalekim uśmiechem,
świat, który swoją wielką nazywał ojczyzną,
gdy ojczyzna mu cnoty uznała za grzechy.

Dziwny był sąd. Zaiste. Z okien światło blade
padało i różowo oblepiało ściany...
Sąd wyszedł nad wyrokiem odbywać naradę,
a Oskarżony czeka. Sam. Z Ukrzyżowanym.

***Tadeusz Hollender** - 1910-43, poeta, satyryk, tłumacz związany z lewicą społeczną. Autor m.in. antysanacyjnych i antyklerykalnych satyr oraz przekładów z literatury niemieckiej i ukraińskiej. Podczas II wojny światowej uczestniczył w podziemnym życiu kulturalnym. Aresztowany przez gestapo, rozstrzelany w ruinach warszawskiego getta.

Wiersz za: Hollender, **„Wiersze wybrane”**, wybór, opracowanie i wstęp Paweł Bem, Ośrodek Brama Grodzka – Teatr NN, seria Biblioteka Zapomnianych Poetów, tom 21, Lublin 2022

wiek mi wszystko opowiedział, a ja nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy. Jestem słodką idiotką...”.

Co proponuje nam Simonjan, która bynajmniej idiotką nie jest? Otóż trzeba np. przeprowadzić wybuch termojądrowy lub jądrowy na terytorium naszego państwa, gdzieś nad Syberią.

Simonjan, wypowiadając się w państwowym kanale, nie zwalnia tempa. Rozwija tę potężną myśl: „Nic strasznego się nie stanie. Na Ziemi nic się nie wydarzy. Żadna reakcja nuklearna, żadne potworne promieniowanie, żadna zima nuklearna, której wszyscy tak się boją”. Tylko telefony i komputery przestaną działać, cieszy się jak dziecko Margarita.

Oznacza to, że uderzymy w nasz własny kraj bronią jądrową, aby nasi wrogowie się przestraszyli.

Czy można nawoływać do ataku nuklearnego na własny kraj? Czy możemy skazić i podpalić Syberię? Eksperci, badacze, świadkowie i ekolodzy! Gdzie jesteście?

Czy bombardowanie własnej ziemi ładunkami termojądrowymi nie jest dyskredytowaniem całej doktryny wojskowej Federacji Rosyjskiej? Czy nie jest to niszczenie jej, dosłownie!, integralności terytorialnej? Czy nie jest to „fake news” o bezpiecznym użyciu broni jądrowej?

Wysoki Sądzie, wydaje mi się, że Oleg Orłow powinien pilnie zrobić miejsce na tej sali dla innych oskarżonych. ●

przeł. Patrycja Eiduka
Tytuł – „Wyborcza”. Większość objaśnień pochodzi od tłumaczki.

Dokończenie za tydzień

Intelektualista, którego nie krępuje cisza

Tomasz Mann pisał, że nikt nie pozostaje całkiem taki, jaki był – poznając samego siebie. Więzienie, przewlekła choroba i szpital sprawiły, że po mannowsku poznał siebie i stał się przez to innym człowiekiem. Dziesięć lat temu zmarł wybitny scenarzysta i reżyser Edward Żebrowski, a właściwie Edward Bernstein.

Kurski

Do dziennika wpisał kiedyś dwa proste wyrazy: głód sensu. Właśnie z egzystencjalnym głodem sensu zmagał się przez całe życie. Nakręcił zaledwie trzy pełnometrażowe filmy fabularne: „Ocalenie”, „Szpital Przemienienia” i „W biały dzień”, ale każdy z nich na trwałe zapisał się w historii polskiej kinematografii. Jego wszechstronny talent nie mógł rozkwitnąć z uwagi na chorobę, z którą zmagał się całe dorosłe życie. Współpracował z Krzysztofem Kieślowskim, Krzysztofem Zanussi, Agnieszką Holland i kształtował takie osobowości, jak Wojciecha Marczewskiego, Filipa Bajona, Marię Zmarz-Koczanowicz. W ostatnich latach życia wykładał w szkole Andrzeja Wajdy.

Zdażyłem poznać Edwarda. Kilkakrotnie rozmawialiśmy telefonicznie. Dwa razy spotkaliśmy się na dłuższą bezpośrednią rozmowę. Powodem były nasze ziemiańsko-żydowskie rodzinne parantele. Bardzo byłem Edwarda ciekawy. On był zdystansowany, choć serdeczny. Wiedział już, że ma raka płuc i że niebawem umrze. Ja oczywiście ni-

cał tradycję polskiej szkoły filmowej. Nie trawił tych porachunków z historią, ułańskich szarż, lanc, szabel i insurekcji. Jego filmy są uniwersalne, traktują o granicach człowieczeństwa, o samym człowieku i jego egzystencjalnej nędzy, a historia jest tam tylko kostiumem, a nie sednem opowieści.

W pokoju Edwarda, w którym nic nie zmieniło się od jego śmierci, stoją w bibliotece dzieła klasyków: Mann, Dostojewski, Camus, Conrad.

Jego najbliższym przyjacielem z czasów awanturniczej młodości był Marek Hłasko, który opisał go w „Pięknych dwudziestolich”, wychwalając, obok inteligencji, jego znakomite warunki fizyczne i imponujący cios (Bernstein trenował boks). „Piękny jak młody bóg – pisał. Czytając »Biesy«, myślę zawsze o nim. Podczas gdy ja miotalem się przez całe życie, on nawet w bóje zachowywał przerażający i niezrozumiały spokój”. W mazurskiej knajpie w 1954 r. zaatakowany został przez ubekę. „Edward spokojnie podszedł do tajniaka i nie zwracając uwagi na broń, huknął go w czaszkę”.

Oczywiście nie zapytałem go nigdy o to, o co wszyscy chcieliby zapytać. O ubecką prowokację wymierzoną w innego jego przyjaciela Ireneusza Iredyńskiego, której ofiarą padł także Edward. W 1966 roku zostali oskarżeni o próbę gwałtu na dziewiętnastoletniej dziewczynie, która po odtajnieniu archiwów okazała się pasierbicą pułkownika kontrwywiadu. Edward skazany został na trzy lata więzienia. Cała ta historia sprawiła, że jak mówi Agnieszka Holland, ciągnęła się za nim czarna legenda Stawrogina z „Biesów” Dostojewskiego.

Zakład karny w Sztumie opuścił po ośmiu miesiącach z powodu pogarszającego się stanu zdrowia. Po wielu latach rozpoznano u niego chorobę Bürgera, która mogła rozwinąć się w więzieniu na tle autoimmunologicznym. Bernstein długie miesiące spędzał w szpitalu, czekając w niepewności na amputację nogi. Tam narodził się pomysł na scenariusz filmu „Ocalenie” ze znakomitą rolą Zbigniewa Zapasiewicza, który szybko zrozumiał, że gra samego Bernsteina. Tomasz Mann pisał, że nikt nie pozostaje całkiem taki, jaki był – poznając samego siebie. Więzienie, szpital i przewlekła choroba sprawiły, że po mannowsku poznał siebie. Stał się przez to innym człowiekiem.

W PRL wzbierał urzędowy antysemityzm, zwłaszcza w resorcie spraw wewnętrznych kierowanym przez Mieczysława Moczara. Aresztowanie „moralnego degenerata”, „jaskiniowca”, „zasługującego na najwyższy wymiar kary” – jak pisała peerelowska prasa – i do tego o semickim nazwisku, było okazją, której nie można było zmarnować. Po wyjściu z więzienia Edward zmienił więc nazwisko. Nie będzie już Bernsteinem, ale po matce – Edwardem Żebrowskim. Robi to nie dlatego, by uciec od piętna swego „żydostwa”. Jego ojciec czuł się Polakiem. Był Żydem całkowicie zasymilowanym, co nie zmieniło faktu, że dla antysemitów Żydem pozostawał. O tożsamości Edwarda nie zdążyliśmy już porozmawiać. Nie przypadkiem zresztą. Sądzę, że go ten temat w ogóle nie obchodził. Zmiana nazwi-

ska na Żebrowski była ucieczką przed nagonką moczarowskiej propagandy i początkiem nowego etapu życia.

Nie podejmuję się tu streszczać jego dokonań. Edward nie zasługuje na taką redukcję. Odsyłam do jego biografii i do tekstów mego redakcyjnego kolegi Tadeusza Sobolewskiego.

Trzecie nasze spotkanie odbyło się już w lutym 2014 roku na cmentarzu ewangelickim, gdzie został pochowany w rodzinnym grobie Bernsteinów. Czwarte było niespodziewane. W listopadzie 2021 zadzwoniła wdowa, Małgorzata Jaworska, że w 40. rocznicę stanu wojennego odbędzie się w Teatrze Polskim w Warszawie czytany spektakl „Ciuciubabka”. Tytułowa „Ciuciubabka”, w którą grają władza, Kościół i uwięzieni przywódca „Solidarności”, to nigdy niezrealizowany scenariusz Edwarda napisany w 1984 roku wraz z Michałem Komarem. Tekst o wielkiej sile dokumentu, a jednocześnie próba opowiedzenia o tzw. jedenastce w tonacji niebohaterskiej. To także hold dla Adama Michnika za jego samotną odmowę podjęcia rozmów z władzą o „transakcji” – wolność za emigrację. Siedzieliśmy z Adamem w wypełnionym niemal teatrze. Oklaski i owacja na stojąco. Odbierał ją Adam, Michał Komar i nieżyjący Edward – ożywny słowem przez aktorów Teatru Polskiego.

Za reżerskie arcydzieło Żebrowskiego uważam „Szpital Przemienienia” według opowiadania Stanisława Lema, choć sam autor książki podobno sarkał na ten obraz. Lem przeżył okupację we Lwowie jako żydowski chłopiec. Widział, wiedział i wszystko to w sobie nosił. Tytułowy szpital psychiatryczny znajduje się na uboczu w dawnym pałacu, który hitlerowcy zamierzają przypisać na swoją kwatere. Zanim nastąpi to, co nieuchronne, zanim w lesie wykopane zostaną rowy pod zbiorowe mogiły, okiem kamery przyglądamy się zamkniętemu zakładowi, który nie jest idealnym miejscem na ziemi.

Jak pisał Lem: „Dom wariatów zawsze był wyciągiem duchowym epoki. Wszystkie skrzywienia, garby psychiczne i dziwactwa tak są rozpuszczone w normalnym społeczeństwie, że trudno je uchwycić. Dopiero tu, w koncentracji, ukazują jasno oblicze swych czasów”.

Zagłada, choć przychodzi z zewnątrz, jest też konsekwencją opresyjnych stosunków wewnątrz szpitala. Przemoc wobec bezbronnych pacjentów, żerowanie na ich niemocy. Szpital psychiatryczny jako zagęszczona metafora samego Lwowa. Analiza postaw personelu medycznego wystawionego na moralną próbę wobec fatalizmu zagłady.

Uciekać? Porzucić pacjentów? Zdradzić? Dać się z nimi zabić?

Pisarz Sekulowski (Gustaw Holoubek), myśliciel, cynik i ironista szprycujący się morfiną, okazuje lekarzom pogardę i obnaża ich obłudę. Popelnia samobójstwo. Dr Kauters (Henryk Bista), który robi sadystyczne eksperymenty na pacjentach w imię rzekomego dobra nauki, deklaruje się jako Niemiec. Dr Marglewski (Wojciech Pszoniak) opętany swoją „pseudoteorią ge-

niuszu” ucieka. Endek, totalista i zamordysta dr Rygier (Zbigniew Zapasiewicz) odrzuca szansę na ratunek i deklaruje polskość. Dr Nosilewska (Ewa Dąkowska) przyznaje, że jest Żydówką. Los dyrektora dr. Pajączkowskiego (Zygmunt Hübner) jest z góry przesądzony.

Młody lekarz, główny bohater filmu, dr Stefan (Piotr Dejmek) przypomina Hansa Castorpa z „Czarodziejskiej góry”. Jest niezapisaną kartą, postacią kuszoną przez innych, z których każdy chce go przeciągnąć na swoją stronę. Jako jedyny podejmuje próbę oporu. Jak zauważa Robert Birkholz w Culture.pl: „Od tępego pielęgniarza znęcającego się nad chorymi (bo »chory to nie człowiek«), przez cyników i konformistów, aż po dekadentkich pisarzy i zimnych naukowców gotowych poświęcić ludzkie życie pro publico bono, bohaterowie »Szpitala Przemienienia« są wcieleniem postaw, które utorowały drogę nazizmowi”.

Tadeusz Sobolewski pisał, że „Szpital Przemienienia” jest właściwie studium faszyzmu szerzącego się już wśród „swoich”. Był też ten film dla mnie boleśnie aktualnym komentarzem do przeszłej już szczęśliwie rzeczywistości ostatnich ośmiu lat. Był uniwersalną przypowieścią o człowieku i jego woli. Cóż, wiemy o sobie tyle, na ile nas sprawdzono.

Film, w szczególności w PRL, kiedy tworzył Bernstein, był dla niego ucieczką od rzeczywistości, życiem poza czasem i miejscem. Najlepszym sposobem na to, by dobrze przeżyć życie. Dlatego więc zrobił tak mało filmów? Powiada się, że to niemoc spowodowana chorobą. Jego przyjaciel Wojciech Marczewski uważa jednak inaczej. Słusznie chyba. Żebrowski stracił poczucie sensu robienia filmów, uważając, że to i tak nic nie da i świata nie zmieni, a zwłaszcza nie uczyni go lepszym.

W 1988 roku zanotował w dzienniku w formie wiersza:

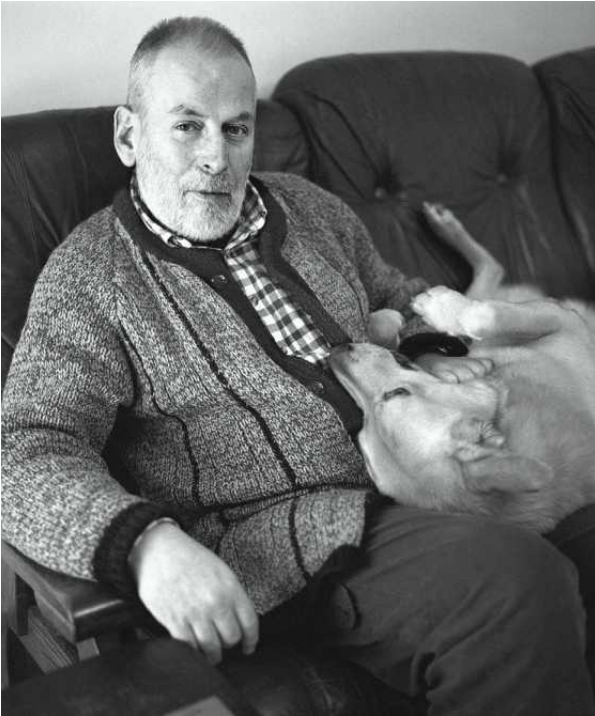
Odeszli mnie przyjaciele/ Marek [Hłasko] zgąsł w Wiesbaden/ I nie poruszyła się katedra/ Irek [Iredyński] wytechnął ducha/ Jeśli ktokolwiek mnie widzi/ Wie dlaczego milczę.

Pod koniec życia izolował się od ludzi, popadał w stany depresyjne. Nie chciał się leczyć, bojąc się, że leki zmienią jego osobowość. Nie chciał zostać jednym z pacjentów „Szpitala Przemienienia”. Do końca chciał żyć na własnych warunkach. Zagłębiał się w teologiczne, radykalne koncepcje zła osobowego. Cytował Gogola: „Smutno, że jest tak mało dobra w dobru”. Uważał, że dobro bywa pozorne, słabsze i bezbronne wobec tajemnicy zła.

Ów brak złudzeń wobec ludzi, samotny dystans wobec świata oraz miłość do zwierząt, w szczególności do przygarnianych ze schronisk i ulic psów, zostanie ze mną po Edwardzie w spadku. Już na zawsze. ●

Jarosław Kurski

Korzystałem z: Jakub Socha, „Żebrowski – Hipnotyzer”, Czarne 2018, Jarosław Kurski, „Dziady i dybuki”, Agora 2022, „Notatki z życia. Edward Żebrowski”, reż. Maria Zmarz-Koczanowicz



FOT. PIOTR JANOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

czego nie wiedziałem. Mówiłem do niego „panie Edwardzie”. Raz tylko powiedziałem „Wuju”, na co zachnął się i flegmatycznie skarcił: „Niech pan tak do mnie nie mówi, bo ja tak mówię do swojego psa”.

Był typem intelektualisty, którego nie krępuje cisza. Milczał. Niekiedy tylko coś wtrącił. Trochę jak reżyser na planie, który aranżuje scenę. Wiedziałem o naszej rodzinie daleko więcej niż on. Dlatego słuchał. Chciał wiedzieć.

Do ułańskiej tradycji, której holdował jego ojciec Ludwik Bernstein, miał stosunek ironiczny, jeśli nie szyderczy:

– W tych wspomnieniach, które mi pan z Ossolineum wyciągnął, za co jestem wdzięczny, to tylko o bitwach albo o koniach, albo pułkowych kolegach, albo o majątku Lasocin, burakach, uprawach, paszach i nowych odmianach krów – pastwił się. Edward odrzu-

Dlaczego serial „1670” wzbudził tak wiele emocji? Czy jest powiewem świeżości, jak ocenia lewicowa „Krytyka Polityczna”, czy też dość nudnym ogrywaniem tropów obecnych w internetowej kulturze od dekady?

Dlaczego dzisiaj kawalek „Makumba” uchodzi za przejaw rasizmu peryferii, skoro w latach 90. zespół Big Cyc otrzymał zań nagrodę od Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Afrykańskiej oraz ambasadora Nigerii? Dlaczego żarty kłopotowe śmiesz nas od tysięcy? I czym w ogóle jest śmiech? Wbrew pozorom to nietrywialne pytania, na które odpowiedzi są tak skomplikowane jak gry społeczne, w które gramy my, ludzie.

Na samym początku powinienem zastrzec, że ten tekst może urazić część czytelników i czytelniczek, bo będzie traktował o poczuciu humoru. A to, z czego się śmiejemy (i z czego się nie śmiejemy), zależy od naszych poglądów, klasy społecznej, wyznawanych wartości. Resztę artykułu czytacie więc państwo na swoją odpowiedzialność.

Powyższa uwaga to content warning czy też trigger warning, czyli ostrzeżenie przed treściami, które mogą wzbudzić jakiś dyskomfort lub – w skrajnych przypadkach – retraumatyzować niektóre osoby. Tyle że nie ma sensu. Analiza zespołu naukowców pod przewodnictwem Paytona J. Jonesa, psychologa z Harvardu, wskazuje, że trigger warning nie ma żadnego wpływu na ludzi. Również tych, których udziałem była trauma. W grupie odbiorców treści zawierającej jakiś stresor uprzednie ostrzeżenie nie zmienia poziomu lęku po zapoznaniu się z nią w porównaniu z grupą wystawioną na tę samą treść nieopatrzoną komunikatem. Mało tego, podobne ostrzeżenia nie powodują również, że część osób rezygnuje z odbioru danego materiału. To dlatego trigger warning jest tak często stosowany, zwłaszcza przez młodszych twórców kontentu, tfu, treści? Ponieważ – i tu kłania się podobieństwo do poczucia humoru – to rodzaj wewnątrzgrupowej komunikacji. Trigger warning tak jak niektóre żarty sygnalizuje: „Jestem częścią waszej grupy, rozumiem, co kiedy trzeba powiedzieć”.

„Jako cywilizacja poświęcamy coraz więcej energii na opiekę nad słabszymi i bezbronnymi” – mówi kontrowersyjny komik Ricky Gervais w najnowszym stand-upie „Armagedon”. I przywołuje wymaginowany przykład ojca, który ma dwoje dzieci: 6-letniego Timmy’ego i 8-letniego Jacka. Ojciec pyta młodszego syna: „Co chcesz pod choinkę”? Timmy odpowiada: „Elektryczny wózek inwalidzki”. „Ale – mówi ojciec – ceny elektrycznych wózków zaczynają się od 2 tys. dolarów, cholera! A ty co chcesz pod choinkę, Jack?”. Starszy, sprawny syn odpowiada, że marzy o rakiecie tenisowej. Wtedy Timmy dodaje, że przydałby się w domu również podjazd dla wózków. Wyraźnie zirytowany ojciec odpowiada, że Jack nie dostanie żadnej rakiety, bo wszystkie pieniądze pójdą na Timmy’ego, tę cholerną skarbonkę bez dna. „Po co ci elektryczny wózek?” – pyta ojciec. „Nie mam rąk” – mówi chłopczyk.

Czujecie się państwo nieswojo? Uważacie, że to nie jest śmieszne? Gervais o tym doskonale wie, nieraz bowiem ślizgał się po granicy dobrego smaku, i szybko podsuwa nam usprawiedliwienie. „Powiem wam coś o Timmy’u: to cholerny rasista!”. I pochylając się nad nieistniejącym chłopcem, rozpędza się: „Ty cholerny mały rasisto, ty brudny rasistowski ćwoku, faszysto, obrzydasz mnie”. Timmy jest też homofobem i mizoginem, więc komik ciągnie: „Obrzydliwy rasisto, homofobie, mizoginie, szkoda, że nie zrobiliśmy USG”.

A uprzedzałem. Pewnie część z państwa już kipi z oburzenia, jednak niektórzy się zaśmiali. Wolno wam.

„Zdarza się, że ludzie przyzwoi, tolerancyjni i łagodni wobec bliźniego, do brzy i odpowiedzialni obywatele w dyskretnych okolicznościach i w zaufanym gronie śmieją się z tego, z czego nie wypada, a może i sami opowiadają żarty pod każdym względem niepoprawne. Chichrają się jak gimnazjaliści, kiedy »wszystko im się kojarzy«, dworują z katastrof i tragedii, wyobrażają sobie najobrzydliwsze praktyki seksualne, używają słów uznawanych za obraźliwe wobec różnych mniejszości, w tym takich, do których należą ich najbliżsi i oni sami” – pisze Olga Drenda w książce „Słowo humoru” i dodaje: „To nie czyni z nich obrażających potworów, nie świadczy o ich dwulicowości, nie oznacza, że ich prawdziwe »ja« lubuje się w przemocy i szkalowaniu bliźniego”.

Owa niepoprawność towarzyszy humorowi... cóż, od zawsze. Pierwszy znany ludzkości spisany żart pochodzi z Sumeru, z ok. 1900 r. p.n.e. Brzmi mniej więcej tak: „Coś, co nigdy nie miało miejsca od niepamiętnych czasów: młoda kobieta nigdy nie pierdnęła na kolanach swojego męża”.

Drenda wspomina też dowcip odnaleziony w zgłiszczach Pompejów. Gość gospody miał tak narzekać na brak nocnika: „Do łóżka narobiłem, przyznaję, nie taję”.

„To, co łączy wszystkie bardzo stare dowcipy, to rodzaj igrania z jakimś tabu oraz pewien stopień rebelii, buntu przeciw obowiązującym normom” – mówił w Reutersie Paul McDonald z Uniwersytetu w Wolverhampton, instytucji, która opublikowała w 2009 r. listę 10 najstarszych zachowanych żartów.

Tabu jest oczywiście czymś bardzo płynnym; nawet w obrębie danego społeczeństwa nie ma jednego tabu, bo współegzystuje w nim wiele grup. Starsze, głęboko wierzące osoby są wrażliwe na naruszenia zupełnie innych norm niż wielkomiejscy wykształceni młodzi ludzie z klasy średniej czy wyższej.

A czy jest więc coś, z czego nikt się nie śmieje? Pierwsza rzecz, jaka przychodzi do głowy, to śmierć. Czyżby? A klasyczny skecz Monty Pythona „Najśmieszniejszy dowcip świata”?

Spróbujmy go streścić. Brytyjski twórca kawałów Ernest Scribbler (w tej roli Michael Palin) napisał na kartce najzabawniejszy żart świata i umarł ze śmiechu, czytając go. „Kawał okazał się zabójczy. Nikt nie mógł go przeczytać i przeżyć” – mówi komentator z offu. Martwego Scribblera odnajduje matka, podnosi leżącą przy nim kartkę, czyta i... również umiera ze śmiechu. Do domu Scribblera ma wejść policjant, który uprzednio wyjaśnia lokalnemu dzienni-



PRZYCHODZI BABA DO LEKARZA

Dlaczego goryle śmieją się, kiedy się je laskocze, ale nie opowiadają sobie dowcipów

Kamil Fejfer

FOT. EVERETT COLLECTION/EAST NEWS



karzowi, że spróbuje wynieść żart: „Oslaniać mnie będzie ponura muzyka oraz żalosne zawodzenie funkcjonariuszy”. Niestety, oficer czyta dowcip i umiera. Później żart zostaje przewieziony do ministerstwa obrony, gdzie ma zostać użyty do celów militarnych. Jest przekładany na niemiecki po jednym wyrazie, żeby nie zabić tłumaczy. Któryś nieopatrznie przekłada dwa wyrazy i łąduje w szpitalu. Następnie przetłumaczony dowcip zostaje użyty przeciwko Niemcom na froncie II wojny światowej.

Skecz nie jest aż tak absurdalny. Otóż według Wikipedii „24 marca 1975 r. Alex Mitchell z King’s Lynn (Anglia) zmarł, śmiejąc się podczas oglądania odcinka »Kung Fu Kapers« z »The Goodies«, przedstawiającego przyodzianego w kilt Szkota wyposażonego w dudy, walczącego o zwycięstwo z mistrzem sztuk walki uzbrojonym w kaszankę. Po 25 minutach ciągłego śmiechu Mitchell w końcu zsunął się z sofy i zmarł na zawał mięśnia sercowego”. Tu już robi się trochę mniej zabawnie, wszak mamy do czynienia z prawdziwą śmiercią. Dalej jednak czytamy, że „jego żona wysłała do »The Goodies« list, w którym podziękowała za umilenie mu ostatnich chwil życia”.

A czy sam skecz jest zabawny? Cóż, to przyspieszona slapstickowa scena, w której dwóch mężczyzn odgrywa coś, co przypomina szkolny teatrzyk. Udało mi się nie tylko przeżyć, oglądając go na YouTube, lecz również nie zaśmiać. Poczucie humoru jest kwestią dość indywidualną i nawet nie ma jednej spójnej teorii wyjaśniającej, czym właściwie jest. Za to jest wiele teorii zajmujących się poszczególnymi aspektami zjawiska.

Przydatna do opisanego powyższych wątków teorii łagodnego naruszenia (benign violation) zaproponowana w 2010 r. przez Petera McGrawa i Caleba Warrena z Uniwersytetu Kolorado. Jest ona pochodną teorii niespójności (theory of incongruity), która głosi, że śmiejemy się, kiedy następuje specyficzny rodzaj niezgodności oczekiwań z zakończeniem historii. Na przykład w starych dowcipach z brodą w stylu „przychodzi baba do lekarza” właśnie mamy do czynienia z niekompatybilnością tego, czego oczekiwaliśmy od wizyty lekarskiej, z tym, co z istocie w gabinecie zachodzi. Teoria łagodnego naruszenia dodaje do tego element delikatnego naruszenia jakiegoś tabu. Ten rodzaj naruszenia widzieliśmy w przypadku pierwszego zachowanego dowcipu o młodej kobiecie,

która nigdy nie puściła baka na kolanach swojego męża. Istotne jest to, żeby owo naruszenie nie było zbyt głębokie, bo wtedy zamiast śmiechu mamy niesmak lub oburzenie.

W artykule o poczuciu humoru zamieszczonym w „Scientific American” znajdujemy, nomen omen, zabawny przykład, jak owa teoria działa. Uczestnicy eksperymentu usłyszeli historię o kościele, który zorganizował loterię: każdy, kto dołączy do wspólnoty, będzie mógł wygrać SUV-a. Większość badanych uznała to za niestosowne – rozbawieni byli jedynie niewierzący. Poszczególne żarty kreślą więc linie demarkacyjne oddzielające swoich od obcych.

Bogatsi o tę wiedzę, możemy pokusić się o odpowiedź na pytanie, które części osób mogło się narzucić przy najstarszym dowcipie świata: dlaczego właściwie żarty o gazach są tak zabawne?

Zagadnieniem tym zajął się filozof i religioznawca James S. Spiegel w artykule „Why flatulence is funny” („Dlaczego gazy są zabawne?”). Niestety, sympatię, którą zaskarbił sobie u nas autor, podejmując się nietrywialnego tematu, może zburzyć inny jego artykuł zatytułowany „Dlaczego małżeństwa tej samej płci są niesprawie-

dliwe”. Widzicie państwo, co zrobiłem? Delikatną złośliwością podkreśliłem swoją tożsamość i zdystansowałem się od pewnych poglądów.

Spiegel argumentuje, że gazy bawią nas z kilku powodów. Po pierwsze, w przypadku, nazwijmy to, incydentu u obserwatora występuje nagle poczucie wyższości. Po drugie, mamy do czynienia z nieciągłością – puszczanie gazów, zwłaszcza w miejscach publicznych (a w takich okolicznościach sprawa śmieszy najbardziej), nie jest codziennością, czymś, czego się spodziewamy. Po trzecie, gazy są rodzajem powiązanego z intymnością i cielesnością tabu, w którego utrzymanie – przepraszam za dosłowność – wkładamy niekiedy wiele energii. Tak jak w utrzymanie schludnego publicznego wizerunku. Puszczanie przez kogoś gazów jest zanegowaniem tych starań, odsłonięciem najbardziej intymnej strony. Jednocześnie w obserwatorze powoduje uwolnienie części tej energii, którą sam wkłada w budowę swojego wizerunku. Brzmi wiarygodnie? Spróbujcie wymyślić lepsze wytłumaczenie fenomenu, który jest z nami od co najmniej 4 tys. lat.

Wróćmy do bliższych nam metrykalnie żartów typu „przychodzi baba do lekarza”. Część osób, zwłaszcza starszej daty, wciąż mogą bawić. Młodsze pokolenie raczej będzie w nich widzieć reprodukcje pewnych patriarchalnych stereotypów. Zapytaj więc rodziców albo dziadków: „I co w tym śmiesznego?”.

Ci sami ludzie zapewne zaśmiewają się z cenzopap, czyli memów z Janem Pawłem II. Jak zauważa przywoływana Olga Drenda, cenzopapy narodziły się wiele lat temu jako rodzaj skrajnie naruszającego normy społeczne krawędziowego (od angielskiego „edgy”) poczucia humoru. Kiedy kult Jana Pawła II był w Polsce naprawdę żywy, osoby tworzące pierwsze memy i żarty z papieża Polaka świadomie dokonywały pewnej kulturowej rebelii – śmiały się z czegoś, z czego prawie nikt się nie śmiał.

Cenzopapy można postrzegać jako polski odpowiednik shock comedy czy też shock humour, gatunku, którego śmieszność zasadza się na jeździe po bandzie. Przykładami tego rodzaju żartów są choćby amerykańska kreskówka „South Park” czy skecze Sarah Silverman, która w 2009 r. nagrała piosenkę „You’re Gonna Die Soon”. W teledysku wcieliła się w animatorkę kulturalną w domu seniora, śpiewając: „It’s not cold in here, you are just dying” („Tu wcale nie jest chłodno, po prostu umierasz”). Być może najszerzej zna-



**Psycholog Robert Provine
po przeanalizowaniu
prawie 4 tys. ogłoszeń
matrymonialnych zauważył,
że kobiety znacznie częściej
oczekiwały od partnera,
że będzie je rozśmieszał.**

**Jednocześnie same rzadziej
deklarowały, że są zabawne**

nym jej skeczem była piosenka „I’m F*cking Matt Damon” („Pieprzę się z Mattem Damonem”) wykonana w programie Jimmy’ego Kimmela, jej ówczesnego partnera.

Na polskim rynku shock comedy to domena m.in. serialu animowanego dla dorosłych „Kapitan Bomba” (lata produkcji 2007-13) autorstwa Bartosza Walaszka, współzałożyciela Zespołu Filmowego „Skurcz”. Grupa ta kręciła amatorskie półimprowowane filmy, takie jak „Bułgarski pościkk”, który można określić jako prze-

jaw szczerego, bezpretensjonalnego humoru piwno-studenckiego.

W cenzopapach papież Polak bywa ukazywany jako pedofil albo zbrodniarz wojenny. Na jednym z memów mówi: „Nie wiem, jak to jest zabić człowieka. Zabijałem tylko Polaków”. To nawiązanie do słów polskiego antykomunisty i najemnika Rafała Gan-Ganowicza, bohatera części prawicy, który miał powiedzieć: „Nie wiem, jak to jest zabić człowieka. Zabijałem tylko komunistów”. Mroczne poczucie humoru bywa przedłużeniem polityki.

W kręgach milenialsów liczba 2137 (godzina śmierci Jana Pawła II) jest uważana za pewną pokoleniową krotkochwile. W internecie krążą zdjęcia z sosami do hot dogów, których numery to 21 i 37, fotografii przecen „21,37 zł”, a w wiadomościach prywatnych ludzie wysyłają sobie o 21.37 screenshoty zegarków z godziną „21.37”. Dalszym stopniem wtajemniczenia są wizerunki papieża z żółtą (często pisane „rzultą”) twarzą. Wydaje się, że nikt nie zna genezy tego memu, ale w mediach społecznych to nie ma znaczenia – żart wchodzi do kanonu przez swoją multiplikację. W ten sposób nabiera masy krytycznej i staje się jednym z kodów porozumiewawczych, sygnałem, że funkcjonuje się w obrębie tej samej grupy tożsamościowej.

Ten rodzaj poczucia humoru jest silnie kontekstualny. Przy czym – co wiele osób ze starszych pokoleń może dziwić i oburzać – żarty z papieża Polaka już spowszedniały, straciły pierwotny walor naruszenia; stały się mainstreamem, milenialsową „babą przychodzącą do lekarza”.

To właśnie zarzut wobec najgłośniejszego chyba zjawiska popkultury minionego roku, czyli serialu „1670”. Dla niewtajemniczonych: jego główny bohater, szlachcic Jan Paweł Adamczewski – czaicie? – chce zostać „najślawniejszym Janem Pawłem w historii Polski”. Adamczewski to skrzyżowanie wuja z wesela – archetypu nieokrzesanego, konserwatywnego, zakompleksionego, a jednocześnie pewnego siebie mężczyzny, posługującego się przeterminowanym chłopskim rozumem – z Januszem biznesu. Jest więc cenzopapą przeniesioną na platformę streamingową, jednak cenzopapą pozbawioną uroku wczesnych pierwowzorów – nie ma w niej nic wywrotowego; żarty z papieża, wuja z wesela, drobnego przedsiębiorcy z prowincji czy 50-latka z niższej klasy średniej są po prostu bardzo łatwe. To skakanie nad bardzo nisko zawieszoną poprzeczką.

Z drugiej strony znany publicysta Galopujący Major w „Krytyce Politycznej” sugeruje, że sukces serialu „1670”, choć wyważa drzwi dawno otwarte w kręgach wielkomiejskich, kreatywnych i inteligentnych, jest mimo wszystko przejawem pewnej pożądanej zmiany kulturowej. „Po latach komedii gangsterskich i komedii romantycznych dostaliśmy satyrę społeczną, która swoje ostrze kieruje przeciwko wyzyskiwaczom, a nie wyzyskiwanym, i która odniosła sukces wśród widzów. Nagle oplaca się śmiać z tego, co jeszcze dekadę temu było kompletnie nieopłacalne” – pisze. I w tym wymiarze trudno się z nim nie zgodzić.

Każdemu z nas zapewne zdarzyło opowiedzieć żart, który w naszej głowie brzmiał świetnie, ale kiedy wydostał się na zewnątrz, spotkał się z krępującą ciszą. Normy tego, z czego można się śmiać, nie tylko są odmienne w różnych środowiskach, ale również zmieniają się w czasie. „Co się dzieje, kiedy ktoś gubi dynamikę, za późno orientuje się, że zaszła zmiana, i z wczorajszego towarzyskiego orla staje się skompromitowanym dinozaurem?” – pyta Olga Drenda. I szuka analogii w innym zjawisku obrazującym dynamikę zmian społecznych. „Od kiedy zagadanie do nieznajomej na ulicy i zaproszenie jej na kawę przestało być widziane jako romantyczny akt ułańskiej

fantazji, a stało się natarczywością i naruszeniem prywatności?”.

Drenda przytacza świetny przykład dzieła, które jest czytane zupełnie inaczej dzisiaj niż w czasie, kiedy powstało. Mowa o „Makumbie” zespołu Big Cyc. Krzysztof Skiba łamaną polszczyzną śpiewa:

*Ja uczyć się ciężko waszego języka
I dostać raz w zęby, gdy iść po ulicach
Polacy rasiści każdy to powie
I nikt tu nie lubi czarny człowiek*

W 1996 roku „Makumba” z marszu podbiła listy przebojów. Była dziełem w sposób oczywisty antyrasistowskim, kpiącym z pałających się po ulicach skinów strzegących dziedzictwa „białej Polski”, oraz przykładem „ajcarskiego rocka”, który kwitł w transformacyjnych latach 90., bliskim kuzynem zaśpiewanego kilka lat wcześniej przez Pawła Kukiza utworu „Książd proboszcz już się zbliża” na melodię słynnej pieśni kościelnej. Rodzaj „fajnego dystansu” był sposobem na radzenie sobie z trudną ekonomicznie i politycznie rzeczywistością.

Problem w tym, że utwór został przez wielu odczytany dosłownie lub wręcz – uważa Drenda – przejęty i wymierzony w tych, których obecność miał we wciąż monoetnicznym społeczeństwie oswajać. Czarnoskóra dziennikarka Oliwia Bosomtwe pisze na portalu Mint: „Wracałam zimą ze szkoły. Byłam już niedaleko domu, gdy przechodzący obok mnie chłopak rzucił w moją stronę: »Makumba«”. I wydaje się, że w przypadku czarnoskórych dzieci w latach 90. nie było to doświadczenie osobnionie. „Wielu słuchaczy nie śmiało się z siebie, lecz z potocznie rozumianej afrykańskości, opisananej przez zestaw cech, które najbardziej bawią Polaków” – przekonuje Bosomtwe.

Ekodowanie humoru i to, w którą stronę jego krytyczne ostrze zostanie skierowane, zależy nie tylko od twórcy, lecz również od szerokiego kontekstu kultury, w której ramach ów

żają, że wyewoluował jako komunikat, którym osobniki zapewniają się, że dana sytuacja nie jest przejawem agresji. Jest przekazem, że „wszystko OK, nie mam złych zamiarów”.

Śmiech jest również spoiwem społecznym. Okazuje się, że ludzie śmieją się znacznie częściej, gdy są w otoczeniu innych ludzi. I – co może zaskakiwać – częściej śmieją się ci, którzy mówią, niż ci, którzy słuchają. Do takich wniosków doszedł Robert Provine, profesor psychologii na Uniwersytecie Marylandu, który nagrywał tysiące prawdziwych rozmów w centrach handlowych, klasach, biurach i na imprezach. Okazało się, że większość śmiechu nie jest w żaden sposób związana z czymś, co można by uznać za żarty. Provine zauważył, że ludzie śmieją się, kończąc normalne zdania czy w odpowiedzi na zupełnie nieśmieszne wypowiedzi, takie jak: „Czy jesteś pewien?”.

O konkretnych wnioskach z badań Provine’a możemy przeczytać na stronie Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego. Okazuje się, że śmiejemy się 30 razy częściej w sytuacjach społecznych w porównaniu z momentami, gdy jesteśmy sami. Mówiący śmiali się blisko 50 proc. częściej niż ich słuchacze. Jedyne 10-15 proc. komunikatów poprzedzających śmiech można uznać za zabawne. Śmiech jest więc rodzajem społecznego spoiwa i przerw-nikiem intuicyjnie stosowanym w potoku mowy.

Zapewne nikogo nie zdziwi to, że śmiech jest obecny we wszystkich kulturach i towarzyszy nam niemal dosłownie od pierwszych tygodni życia. Ludzie zaczynają się śmiać około trzeciego miesiąca życia, znacznie wcześniej, niż wypowiadają pierwsze słowa. Dotyczy to również dzieci, które są niewidome lub niesłyszące od urodzenia. Okazuje się, że dzieci w wieku od 2,5 do 4 lat śmieją się z kreskówek blisko osiem razy częściej, kiedy oglądają je z innymi dziećmi. To znów potwierdza społeczną funkcję śmiechu.

Pierwszy znany ludzkości spisany żart: „Coś, co nigdy nie miało miejsca od niepamiętnych czasów: młoda kobieta nigdy nie pierdnęła na kolanach swojego męża”

humor operuje. My, tak krytyczni wobec dowcipów z brodą, oceniający je przez pryzmat dzisiejszej poprawności vel wrażliwości, a bezpieczniej – obecnych norm, też nie jesteśmy w stanie kontrolować odbioru społecznego naszych dzieł, memów czy żartobliwych uwag; tym bardziej nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie przyszłych dyskursów i filtrów interpretacyjnych, jakie nałożą na dzisiejszą kulturę przyszłe pokolenia.

Na pocieszenie: sprawne poruszanie się po skomplikowanym labiryncie kontekstów, rozumienie tego, kiedy i co wypada, a kiedy nie wypada, przy jednoczesnym twórczym przetwarzaniu sytuacji społecznych może być uważane za oznakę innych pożądanych społecznie cech, takich jak inteligencja czy kreatywność. Ale zanim przejdziemy do tego zagadnienia, zastanówmy się, skąd w ogóle wziął się u nas śmiech.

Śmiech to coś innego niż poczucie humoru. Ewolucyjnie jest o wiele starszy. Śmieją się nie tylko ludzie. Robią to goryle, a nawet szczury. Zwierzętom towarzyszy głównie podczas zabawy. Badacze uwa-

Jak twierdzi psychiatra Joseph Polimeni z Uniwersytetu Manitoby, mniej więcej 40-45 tys. lat temu humor ewoluował w stronę tego, który znamy dzisiaj. Śmiech przestał być tylko prostym komunikatem typu „nie stanowię zagrożenia” albo „jest mi z tobą dobrze”, a zaczął wkraczać na teren, z którym dzisiaj go kojarzymy. Stał się nie tylko elementem łagodzącym spójności sytuacji społeczne, lecz również sposobem wykluczania innych. Nic zresztą dziwnego, ludzie są, jak to nazywa psycholog Jonathan Haidt, gatunkiem „grupolubnym”; ewolucja wmontowała w nas moduły nstawione na cementowanie spójności naszej grupy i wykluczania obcych. Śmiech jest elementem tego mechanizmu.

Tu warto wprowadzić nazwisko jednego z ojców założycieli neurologii Guillaume’a Benjamina Amanda Duchenne’a de Boulogne’a (uff), który jako pierwszy w połowie XIX w. opisał śmiech mimowolny, spontaniczny i impulsywny. Śmiech taki pojawia się podczas zabawy, laskotek czy też naprawdę zabawnych, choć czasem prymitywnych żartów. Koncepcją, która spina poczucie humoru ze

śmiechem, jest rozróżnienie na śmiech Duchenne’a oraz na śmiech nie-Duchenne’a (non-Duchenne). Ewolucyjną różnicę między obiema formami rozbawienia opisali w „Scientific American” David Sloan Wilson i Matthew Gervais.

Badacze twierdzą, że za oba rodzaje śmiechu odpowiadają nieco inne obszary mózgu. Za śmiech Duchenne’a odpowiada pień mózgu i układ limbiczny, a w generowanie śmiechu nie-Duchenne’a zaangażowana jest kora przedczołowa. Może to wskazywać, że obie aktywności dzieli spora ewolucyjna droga, gdyż kora przedczołowa jest strukturą ewolucyjnie znacznie nowszą.

To wyjaśniałoby, dlaczego np. goryle śmieją się, kiedy się je laskocze, ale – przynajmniej z tego, co wiemy – nie opowiadają sobie dowcipów. Powiecie państwo, że to oczywiste, że nie opowiadają żartów, bo przecież nie mówią. Ano właśnie! Śmiech nie-Duchenne’a jest młodszy, narodził się jako efekt uboczny kształtowania się języka i wzrastania złożoności naszych społecznych interakcji.

Czy istnieją inne teorie o pojawianiu się śmiechu? Jednym z tropów są badania Provine’a. Psycholog po przeanalizowaniu prawie 4 tys. ogłoszeń matrymonialnych zauważył, że kobiety znacznie częściej oczekiwały od partnera, że będzie je rozśmieszał, niż mężczyźni od nich. Jednocześnie same w tych ogłoszeniach rzadziej deklarowały, że są zabawne. Co innego mężczyźni – oni dużo częściej podkreślali, że mają poczucie humoru. Z kolei badacze Eric R. Bressler i Sigal Balshine pokazali 200 osobom zdjęcia mężczyzn i kobiet. Każdej fotografii towarzyszył zwyczajny bądź zabawny opis autobiograficzny. Okazało się, że kobiety chętniej wybierały mężczyzn o zabawnych podpisach. U mężczyzn ta zmienna nie miała większego wpływu na ich wybory.

A czy mężczyźni są zabawniejsi? No cóż, tak. Psychologowie Gil Greengross i Paul Silva oraz psycholożka Emily Nusbaum w ramach metaanalizy, czyli badania badań, przyjrzeni się wynikom mnóstwa eksperymentów na temat poczucia humoru w kontekście płci. Zazwyczaj badanie wyglądało w ten sposób, że grupę uczestników proszono o możliwie zabawne podpisanie jakiegos obrazka. Następnie podpisy były anonimizowane, a ich „śmieszność” oceniała komisja, której członkowie nie znali płci uczestników. „Taki rodzaj eksperymentu jest wiarygodny, ponieważ większość zapewne, nie mierzymy prawdziwe poczucie humoru, a nie stereotypy płciowe” – stwierdza w „Psychology Today” Gil Greengross. Okazało się, że 63 proc. mężczyzn było zabawniejszych od przeciętnej kobiety.

Greengross wyjaśnia to ewolucyjnie. Aby dana cecha była funkcjonalna z punktu widzenia naszego optymalnego dostosowania (ewolucyjnego fitness), musi zwiększać szanse albo na przetrwanie, albo na reprodukcję. Wśród ssaków to zazwyczaj samice są gatekeeperkami współżycia, więc samce muszą konkurować o ich względy. Mówiąc prościej: kobiety są bardziej wybredne, jeśli chodzi o dobór partnerów, muszą się więc oni popisywać. Samo to może brzmieć zabawnie, ponieważ związane podsumowuje pewne obiegowe obserwacje, niektórzy powiedzieliby – stereotypy. To jednak, że coś jest stereotypem, nie oznacza, że nie jest prawdziwym, obserwowalnym zjawiskiem. Ba, czasem coś staje się stereotypem właśnie dlatego, że jest powszechnie obserwowalnym zjawiskiem!

Greengross przytacza hipotezę badacza Geoffreya Millera, który uważa, że niektóre aktywności człowieka, takie jak kreatywność, sztuka, muzyka czy właśnie poczucie humoru, ewoluowały częściowo po to, żeby zasygnalizować inteligencję – wysoce pożądaną cechę doboru płciowego. Wszystkie te cechy trudno udawać, jeśli jest się... głupkowatym. A poczucie humoru znajduje się wśród trzech najbardziej pożądanych

przez kobiety męskich cech. Dodatkowo badania pokazują, że kobiety częściej się uśmiechają podczas rozmów, zwłaszcza w odpowiedzi na żarty mężczyzn.

A czy naprawdę poczucie humoru jest skorelowane z inteligencją? Cóż, właściwie tak, i na to również są badania. Związek ten dotyczy nie tylko dorosłych, lecz także dzieci. To oczywiście nie znaczy, że kobiety są mniej inteligentne od mężczyzn – po prostu mężczyźni mają większą motywację, żeby używać inteligencji w celu popisywania się humorem.

Wyjaśnienie Greengrossa wydaje się spójne i eleganckie: humor jest związany z inteligencją, mężczyźni, popisując się przed kobietami, używają m.in. humoru (czasami kluczyków do drogiego samochodu, ale to raczej ci mniej inteligentni), kobiety częściej reagują na męskie poczucie humoru niż mężczyźni na kobiece. Kobiety chcą być rozbawiane, mężczyźni chcą rozbawiać kobiety. Jak stwierdził Julian Tuwim: „Mężczyzna pozostaje długo pod wrażeniem, jakie zrobił na kobiecie”.

To jeszcze jeden, ostateczny test – czy rzeczywiście bardziej zabawni mężczyźni mają więcej partnerek seksualnych? Jedno z badań wskazuje, że kobiety trzykrotnie częściej dawały numer telefonu mężczyźnie, który opowiedział żart w trakcie flirtu. W innym mężczyźni oceniani jako bardziej zabawni twierdzili, że uprawiają więcej seksu, mają więcej partnerek i szybciej rozpoczynali współżycie. „Innymi słowy poczucie humoru jest wskaźnikiem inteligencji, a to przekłada się na sukces godowy” – kwituje psycholog ewolucyjny.

Z takim ujęciem polemizuje Olga Drenda, która w „Słowie humoru” referuje spór sprzed lat, w którym brał udział między innymi Christopher Hitchens. Słynny popularyzator nauki i intelektualista zastanawiał się, dlaczego „kobiety nie są zabawne”. Drenda stwierdza, że wyjaśnienia Hitchensa – opierające się na ewolucyjnych przesłankach – zacierpnięte są z „popkulturowej, rozwodnionej wersji wiedzy o ewolucji, zgodnie z którą każde zachowanie ludzkie należy tłumaczyć jedynie przydatnością w prokreacji”.

Z kolei metaanalizę Greengrossa, Silvy i Nusbaum – tę, która wskazywała, że mężczyźni są nieco zabawniejsi od kobiet – Marina Bye, komiczka z duetu Siblings, skomentowała w BBC następująco: „Nie ma potrzeby przeprowadzania tego typu badań. Badacze mogliby zamiast nich zrobić coś postępowego”. Pytanie, czy mówiła to serio, czy może przygotowuje skecz, w którym to komiccy przydzielają granty naukowcom na zagadnienia ich zdaniem warte zbadania.

„Jest wielu świetnych komików i wiele świetnych komiczek” – dopowiada jej siostra Maddy Bye, druga część duetu Siblings. „Nie wiem, dlaczego chce się udowodnić, że kobiety nie są zabawne” – konkluduje. Oczywiście niczego takiego nikt nie udowodnił, bo badania nie polegają na tym, że „ktoś chce coś udowodnić”, tylko na testowaniu postawionych hipotez. A to, że w jakiejś grupie jakaś cecha występuje częściej, nie oznacza, że w innej grupie ona nie występuje w ogóle. Mylą się więc i siostry z duetu Siblings, i Hitchens – i kobiety, i mężczyźni są zabawni, ale mężczyźni nieco częściej.

Jednak pokpiwając z Siblings, sam wpadam w schemat i mizoginiczny stereotyp. Komiczki chciały zwrócić uwagę na ważką kwestię: że poczucie humoru bądź też wiedza o nim mogą być wykorzystywane do reprodukcji stereotypów. Jak pisze Alie Volpe na portalu Vox: „Udany żart podnosi status osoby żartującej, jednocześnie obniża status każdego, kto jest obiektem żartu”. Żartowanie może więc być przejawem relacji władzy.

Rysownicza Aleksandra Herzyk, autorka chwalonej powieści graficznej o rewolucji francuskiej „Wolność albo śmierć”, jakiś czas temu opubliko-

wała minikomiks, w którym chłopak pyta dziewczynę: „Czyli nie bawią cię rasistowskie żarty?”. Dziewczyna odpowiada, że nie bardzo. „A seksistowskie? Homofobiczne? Może chociaż żarty z ludzi z nadwagą?”. Dziewczyna wciąż pozostaje sceptyczna. Chłopak na to: „Boże, przez ten brak dystansu i poczucia humoru twoje życie musi być takie smutne”. Dziewczyna wyciąga chłopaka na zewnątrz i pokazuje mu nocne niebo, na którym gwiazdy układają się w napis: „Wszechświat pełen jest śmiesznych treści, który nikogo nie obraża”.

Z jednej strony to oczywiście prawda. Istnieje mnóstwo żartów sytuacyjnych – możemy się śmiać z kotów podskakujących na widok ogórka, z przeróbek wycia psów na utwory muzyczne, z nieoczywistych remiksów starych utworów, jak choćby połączenia przeboju „Świat nie wierzy łzom” Janusza Laskowskiego z „Baby Don’t Cry” 2Paca. Możemy wymyślać żarty słowne, gdzie efekt nieciągłości wytworzony jest za pomocą językowej żonglerki. Jeden z moich ulubionych sucharów brzmi: „Orze rolnik pole, a tam w gruncie rzeczy”. Śmieszne? Mnie bawi, jak to się mawia w internecie. Być może część z państwa również, choć prawdopodobnie nie jest to śmiech Duchenne’a.

Tak więc, owszem, Wszechświat pełen jest śmiesznego treści, który nikogo nie obraża, ale jest też pełen treści, który obraża. A przynajmniej dzieli na „swoich” i „obcych”. Kłaniają się cenozpapy – to poczucie humoru, przynajmniej na początku, było zabawne właśnie dlatego, że obrażało, naruszało jakieś tabu, było humorem przeciwko pewnej formacji kulturowej. I wielu przedstawicieli świata poglądu oświeceniowego chwaliło je jako formę walki z ludycznym, bogoojęzycznym i jednocześnie opresyjnym katolicyzmem.

Niektórzy jednak mogli to odczytywać również jako humor skierowany przeciwko nim konkretnie. I nie mówię o kościelnych hierarchach czy politykach i samorządowcach powielających kult papieża Polaka. Mówię o starszych osobach wiejących, które tego rodzaju przekroczenia naprawdę mogły dotykać. Wniosek – humor jest problematyczny tak jak bardzo duża część życia społecznego i społecznych interakcji.

Jako się rzekło, w ramach gier społecznych śmiech służy do zaznaczenia linii demarkacyjnych między grupami. Świetnie to widać w internecie – poszczególne tożsamości mają swoich nieprzyjaciół, z których śmiać się można. Ma ich i sama Herzyk; jej satyra jest często skierowana w stronę młodych mężczyzn, którzy próbują coś wytłumaczyć dziewczynom. Zazwyczaj plotą od rzeczy, są przemądrzałymi troglodytami, którzy nie wiedzą, kiedy skończyć gadać. Czy to zabawne? Oczywiście, zwłaszcza że rzeczywistość istnieje spora grupa chłopaków – że przywołam zbiory nakładające się tylko częściowo, takie jak konfederaci, incele i kuce Korwina – przekonanych o swojej mądrości, choć opowiadają farmazony. A przynajmniej wypowiadają się w sposób zbyt kategoryczny na tematy, o których nie mają większego pojęcia.

Rozumiemy, skąd bierze się ten rodzaj dowcipu – humor nie tylko stereotypy reprodukuje, lecz również z nimi walczy. Feministyczny humor jest więc humorem

politycznym – to oręż w walce o emancypację kobiet. Unikanie ataku lub krytyki kogoś, kto jest w gorszej społecznie pozycji (punching down według Cambridge Dictionary) jest zresztą jedną z niepisanych i powszechnie uznawanych zasad tworzenia komedii. Właśnie dlatego – można argumentować – żarty Aleksandry Herzyk z chłopców są zabawne, a żarty Gervaisa z niepełnosprawnego dziecka już nie.

Tylko że i to można problematyzować. Przecież sama Herzyk jako uznana artystka jest osobą z pozycją społeczną, wielu natomiast owych chłopków-roztrópków, z których się śmieje, może być znacznie niżej umiejscowiona klasowo i prestiżowo (nawet jeśli są informatykami w hierarchii finansowej plasującymi się najpewniej wyżej od rysowniczek).

**Dobra reguła satyry brzmi:
unikaj zaczepiania
kogoś, kto jest w gorszej
społecznej pozycji niż ty.**

**Ale czy to znaczy,
że rozpoznawalni
komiccy, często milionerzy,
powinni śmiać się
wyłącznie z miliarderów?**

Idąc tym tropem – czy rozpoznawani na całym świecie komiccy, miliony fanów w mediach społecznościowych, powinni śmiać się wyłącznie z miliarderów? Albo z podskakujących na widok ogórka kotów?

Wydaje się, że postulat, aby odstereotypować poczucie humoru, choć ma zrozumiałe podstawy, dąży do emancypacji grup marginalizowanych – nie tylko jest ślepą uliczką, lecz również jest nie do zrealizowania. Ludzie śmieją się z innych ludzi, w tym z innych grup, bo poczucie humoru ewoluowało jako pewne instrumentarium wewnątrzgrupowych i międzygrupowych interakcji.

Zastanówmy się nad pokoleniem zoomerów vel zetek, czyli osób urodzonych w latach 1995-2012. Dziesiątki, jeśli nie setki badań dowodzą, że to pokolenie niezwykle tolerancyjne i wrażliwe na problemy grup o innym niż białe kolorze skóry czy nieheteronormatywnych tożsamościach, szanujące ludzkie prawo do słabości, niedoskonałości, omyłek. Jednocześnie ci sami zoomerzy zaśmiewają się z dziadersów, używając do tego pacyfikującego hasła: „OK, boomer”.

Obrońcy tego stanowiska powiedzą, że boomerzy to osoby, które nie dość, że mają niedzisiejsze poglądy i nie nadążają za zmieniającym się światem – bo do tego mają prawo – to jeszcze trzymają władzę oraz zostawiają kolejnym pokoleniom planetę, która zmierza wprost do klimatycznego piekła. A skoro są na uprzywilejowanej pozycji i wpływają na życie innych, to humor w nie wymierzony to nie punching down i śmieszkowanie jest dozwolone.

Ale znów każde z tych twierdzeń można problematyzować – choćby zauważając, że nawet jeśli pokolenie boomerów ma bardziej konserwatywne poglądy niż pokolenia młodsze, to mówimy o mechanizmie dotyczącym każdego konfliktu pokoleniowego. Albo że pokolenie, które dobiega emerytury, ani nie dyktuje trendów popkultury, ani nie ma dochodów tak wysokich, jak mają milenialsi, a za chwilę będą mieć zetki.

Lepszym wyjaśnieniem tego, dlaczego zoomerzy śmieją się bezkarnie z pokole-

nia swoich dziadków, jest koncepcja reflektora empatii spopularyzowana przez psychologa Paula Blooma w książce „Przeciw empatii”. Mówi on, że empatia tak jak poczucie humoru jest wprzęgnięta w międzygrupowe procesy. Wykazujemy znacznie więcej empatii wobec swoich niż wobec obcych. I jesteśmy w stanie tworzyć piętrowe intelektualne konstrukcje, które będą służyły udowodnieniu, dlaczego nasi są sługusami na empatię, a tamci nie, dlatego z naszych śmiać się nie można, ale z takich już tak.

Taki rodzaj postrzegania humoru prowadzi nas do jeszcze jednej istotnej jego funkcji. Otóż może on służyć również konformizacji. Przekonało się o tym sporo osób, które naruszyły jakiś rodzaj środowiskowego tabu w internetywnym świecie. Po wykryciu takiego dywersanta lub dywersantki szybko pojawiają się memiarze, którzy chętnie przywołają go lub ją do porządku za pomocą memo-wo-śmieszkowej amunicji. Mechanizm ten obrazuje historia Kasi Babis, lewicującej rysowniczeki i satyryczki, która miała chęć wystąpić w reklamie sklepu internetowego.

Wkrótce po wrzuceniu reklamy na swoje social media została wykluczona przez własne środowisko za hipokryzję: oto opowiada się przeciwko kapitalizmowi, a przytula niemałe prawdopodobnie pieniądze od dużej firmy! Problem w tym, że rysowniczka nie pozowała na antykapitalistkę anarchistkę czy komunistkę. Jej prace koncentrowały się raczej na zagadnieniach równości płci czy godnego traktowania pracowników. Do jasnej politycznej auto-identyfikacji – „jestem antykapitalistką” lub „jestem marksistką” – daleka droga. To jednak nie miało większego znaczenia, ponieważ dynamika zsufadkowania, oczekiwania pełnej spójności ideowej i grupowego humoru bywa tyleż okrutna co ślepa. Kiedy wpadnie się w tę maszynkę do mięsa, nie ma w zasadzie sposobu, żeby z niej wyskoczyć.

Humor może więc pilnować niepisanych zasad obowiązujących w danej grupie. Grupy społeczne nie mają przecież spisanych kodeksów zachowań i obowiązujących obecnie poglądów, które należy współdzielić pod groźbą wykluczenia. Wszystko lokuje się w domenie domysłów, niedopowiedzeń, przemilczeń oraz – no właśnie – żartów.

Poczucie humoru ma również aspekt klasowy. Nie znalazłem badań odnoszących się do tego, z czego konkretnie śmieją się poszczególne klasy społeczne w Polsce, ale można postawić hipotezę, że ludzie z danej klasy społecznej nie śmieją się z wartości, które są dla tej grupy ważne. Jeżeli założymy, że niższe klasy społeczne są bardziej konserwatywne, a wyższe bardziej liberalne, to możemy się domyślać, jakie obowiązują tabu w tych plemionach i jakie obszary tematyczne stanowią dla nich zbyt poważne naruszenie, żeby się z nich śmiać.

Właśnie na naruszaniu tabu klasy średniej i wyższej Ricky Gervais buduje swoją popularność. Jego poprzedni stand-up „SuperNature” – z gatunku, rzecz jasna, shock humour, w którym dotykał polityki tożsamości, otwarcie występując przeciwko tabu, które nie tylko jego zdaniem się wokół nich rodzi – był podobno najchętniej oglądanym aktem komediowym na Netflixie. Gdyby jednak po raz trzeci próbował grać w tę samą grę (po raz drugi zagrał opowiedzianym na wstępie „Armagedonem”); gdyby znów chciał się ustawiać w roli tego, który występuje przeciwko formacji kulturowej zwanej „woke”, to już nie byłoby takie zabawne. Na tej samej zasadzie moc częściowo utraciły cenozpapy. Niemal wszystkie żarty wydają się mieć jakąś datę przydatności.

No, może poza żartami z gazów. Te śmieszają nas od 4 tys. lat i prawdopodobnie będą śmieszyć kolejne tyle. ●



FOT. ROBERT PAŁKA



MROK RZĄDZI TYM MIASTECZKIEM

PPrzeczytałem statystyki, czego ludzie się najbardziej bali na przełomie wieków. Pandemia była na jakimś 30. miejscu. Wojny też się bali tylko trochę. Duże obawy wiązano z dziurą ozonową i technologiczną katastrofą związaną z pluskwą mile-nijną.

Z JANEM HOŁOUBKIEM*,
REŻYSEREM, ROZMAWIA
AGA KOZAK

Chciałam cię zapytać o nostalgię. Bo jak sobie myślę o twojej twórczości i próbuję ją jakoś sklasyfikować, to wychodzi mi, że to przewrotne kino historyczne skupione na codzienności, a może właśnie po prostu nostalgiczne?

– Nie wiem, co rozumiesz przez nostalgię, bo ją rozumiem jako tęsknotę za czymś, co było. A to, co mnie napędziło do zrobienia np. pierwszego sezonu „Rojsta”, to była raczej melancholia niż nostalgia, potrze-

ba wyrażenia pewnych pokładów smutku, które we mnie tkwią. Być może w pierwszym sezonie „Rojsta” czuć ową nostalgię za latami 80. po prostu dlatego, że był to okres mojego dzieciństwa. I chociaż dzieciństwo miałem szczęśliwe, to – symbolicznie – tkwi we mnie taki mokry, przesiąknięty wilgocią i zgnilizną las. Absolutnie nie mam zielonego pojęcia, skąd się to wzięło, lecz widzę, że to jest motyw, który w mojej twórczości powraca. Las.

Nie chcę nic sugerować, ale wilgoć też. Zrobiliście dla Netflixa „Wielką wodę”, teraz kręcisz „Heweliusza”...

1 RP



– Masz rację, wilgoć też, a przecież jej nie lubię. Ani wody, ani wilgoci, ani pluskania się w akwenach.

Czyli na klasyczne pytanie: „Nad morze czy w góry?”, odpowiesz, że w góry?

– I w góry, i nad morze. Jednak od zawsze podąża za mną obraz jesiennego, mokrego, zamglonego pejzażu. Być może to jest coś, czego się boję. I dlatego właśnie objawia się to w moich filmach czy serialach...

Ja mam jakąś taką intuicję, że sięgasz do czegoś niełatwego, prześladowającego ciebie osobiście, ale też naród. W końcu z mroku, z lasu, z bagna wychodzą w „Rojście” różne nieprzerobione i straszące po nocach historie.

– O tak. W „Rojście” ten las kryje w sobie odpowiedź na wszystkie tajemnice. Mrok rządzi ukazanym tam miasteczkiem. Za tym wszystkim stoją sekrety – utopione w bagnie, w lesie. Tajemnice, które muszą wyjść na światło dzienne.

A to wydobywanie nie tylko osobistych zabagnionych historii, ale też wszystkiego tego, co niewygodne „narodowo”, szczególnie dla tych, którzy przez ostatnie osiem lat nami rządzili, było rzeczą do ukrycia.

– To może nawet nie jest kwestia władzy ani jakaś nasza szczególna, polska cecha. Żaden naród nie lubi się konfrontować z wstydliwymi fragmentami historii, niechlubnymi czynami z przeszłości. A kiedy próbuje to ukryć, to wtedy wkraczają pisarze, malarze, filmowcy, ludzie sztuki i stają się tym niewygodnym

* Jan Holoubek

• rocznik 1978. W 2001 r. ukończył Wydział Operatowski PWSFTviT w Łodzi. W 2007 r. zadebiutował jako reżyser filmem dokumentalnym „Słońce i cień”. W 2014 r. zrealizował mockument „Pocztówki z Republiki Absurdu”. W 2018 r. wyreżyserował głośny serial sensacyjno-kryminalny „Rojst” napisany wspólnie z Kasprem Bajonem. Jego pełnometrażowy film „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy” nagrodzono m.in. za debiut reżyserski na 45. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Głośny serial katastroficzny „Wielka woda”, inspirowany powodzią z 1997 r. (współreżyserowany z Bartłomiejem Ignaciukiem), dostał Orła w kategorii najlepszy filmowy serial fabularny. Ostatni film Holoubka – „Doppelgänger. Sobowtór” – otrzymał aż pięć Złotych Lwów w Gdyni. Aktualnie reżyser pracuje nad serialem „Heweliusz” dla Netflixa, który będzie miał premierę w 2025 r.

elementem, który dobierze się do tego, co chcemy jako społeczeństwo zapomnieć.

Brzmi jak misja.

– Ja nie traktuję swojej pracy jako misji, a już z pewnością nie w znaczeniu archeologicznym – jako od-

Chciałem Magdę Rózczkę
obsadzić w pierwszym
sezonie „Rojsta”
w roli Heleny.

Magda wtedy odmówiła.
Bała się współpracować
przy moim reżyserskim
debiucie

kopowania, odbagniania historii. Przyświeca mi chęć opowiadania ciekawych, fajnych i angażujących historii. Ale tak, przy okazji tego opowiadania chcę coś powiedzieć o nas, o Polsce, o Polakach. Nie robię tego może w takiej skali jak Wojtek Smarzowski, który po prostu wali prawdę prosto między oczy – i super, że to robi. U nas, u mnie i Kaspra Bajona, współscenarzyści „Rojsta” czy „Wielkiej wody”, ta historia przemyka w półcieniu.

Dla mnie to jest skuteczna strategia, bo jak mam oglądać Smarzowskiego, to wiem, że będzie bolało. I zadaję sobie pytanie: „Czy ja to sobie chcę zrobić?”. U was wiem, że dostanę świetną rozrywkę, mam nadzieję, że cię to nie obraża...

– ...to dla mnie komplement...

...która da mi przyjemność, również dlatego, że dobierzecie się do tych trudnych kawałków naszego człowieczeństwa, naszej historii.

– Nie będę ukrywał, że zależy mi przede wszystkim na dostarczaniu ludziom rozrywki – takiej na wyższym poziomie – ale jednak rozrywki. Jako widz zawsze tego oczekiwałem. Gdy jako dzieciak czy młody człowiek chodziłem do kina, chciałem dać się wciągnąć w historię, więc zależy mi, aby moje filmy czy serie sprawiały widzom satysfakcję z oglądania. Choć oczywiście filmu o Tomku Komendzie nie można nazwać rozrywką. Po prostu chciałbym opowiadać ludziom ciekawe historie.

Dlaczego to jest dla ciebie ważne?

– Dlaczego opowiadanie historii jest ważne?

Wiesz co, ja chyba nad tym nie panuję. Są na świecie ludzie, którzy z jakiegoś powodu lubią opowiadać historie. Czasami wyobrażam sobie plemię, które nocą spotyka się wokół ogniska i ktoś wytypowany do tego zajęcia snuje opowieść – tak się przecież kiedyś spędzało wieczory. Wydaje mi się, że niektórzy ludzie rodzą się z takim powołaniem, żeby innym opowiadać historie. Reżyserzy filmowi też. Więc reżyser to ta osoba, która siada przy ognisku i opowiada tę historię w taki sposób, że inni chcą jej wysłuchać do końca: nie nudzą się, nie wychodzą. A mnie daje to po prostu olbrzymią satysfakcję. Myślę, że w robieniu filmów jest również element magiczny: dzięki kamerze i wszystkim wspaniałym współpracownikom stwarzamy świat od zera. Na moment stajemy się – w sensie niemalże filozoficznym – kreatorami. Wiem, że nieskromnie zabrzmieć, lecz to jest ekscytujące – powołać do życia świat równoległy wraz z żyjącymi w nim ludźmi, w który na chwilę, na te parę serialowych czy filmowych godzin, naprawdę wierzymy. Ta iluzja stwarzania i wiedza, że widzowie też wchodzą w te światy, jest prawdziwie fascynującą zabawą. Nie potrafię tego nawet inaczej nazwać, to jest po prostu zabawa. Traktuję robienie filmów czy seriali jako przedłużenie dzieciństwa.

Kiedy patrzę na „Rojsty” i generalnie kino, które ma zrekonstruować jakieś czasy, to myślę sobie o trudzie, ale też zabawie właśnie, którą musicie mieć, kiedy powołujecie do życia budę z zapiekankami z lat 90. I to właśnie ta buda, audycja radiowa z trzeszczącego kasprzaka, przebrzydły szyld kafejki internetowej przypominają mi, kim i skąd jestem, jak trudną i wyboistą drogę przeszedłem od tej brzydoty i błota do miejsca, w którym teraz się znajduję. I jaką drogę przeszliśmy jako naród. Rozumiem więc przewrotną przyjemność w kreowaniu takiego świata.

– Prawdę mówiąc, im jest on dalszy od tego, co nas otacza dzisiaj, tym dla mnie ciekawiej. To nie tak, że fetyszyzuję w szczególności dekadę lat 80. czy 90. Generalnie ekscytują mnie wycieczki w przeszłość. Przy „Rojście Millenium” poza obrazem przełomu wieków mogliśmy także wykreować lata 60. Wcześniej nigdy nie pracowałem z tą epoką, zresztą niewiele było prób jej odtworzenia w naszej kinematografii. To, co widzowie zobaczą na ekranie, to nasza wizja tego, jak mogłyby wyglądać lata 60. albo jak chcielibyśmy, żeby wyglądały w tej konkretnej historii. Natomiast będąc teraz w zdjęciach do „Heweliusza” – gdzie w bardzo realistyczny sposób odtwarzamy rok 1993 – uświadomiłem sobie to, co przed chwilą zauważyłaś: jaką długą i wyboistą drogę my jako Polska przeszliśmy. Szczególnie gdy widzę te wszystkie odtworzone przez nas na planie samochody, ubrania, tę biedę, ten postkomunistyczny syf, czuję inflację i ciężar kryzysu, w jakim wtedy Polska była – bo chyba właśnie wówczas przechodziła transformację najboleśniej. Odtwarzając klimat tamtych lat i nawet wiedząc, że jest to scenografia, widzę, że – pomimo trwających problemów i ze świadomością tego, jak dużo jeszcze przed nami – droga, którą przebyliśmy, jest imponująca.

Gdy oglądałam „Rojsta Millenium”, zdałam sobie sprawę z czegoś jeszcze, co „wyczyściłam”, ale co wraca do mnie co jakiś czas w smutnych albo pełnych ryzykownych przygód i rozrywek wspomnieniach i snach: że naprawdę żyjemy w bezpieczniejszych czasach. Że te lata 90. i początek tego wieku to była straszna, wszechobecna – i przez to niewidzialna – przemoc.

– To były brutalne lata, co? Ten ostatni „Rojst” jest emanacją tej myśli, gdyż to rzeczywiście najbardziej brutalna i brudna część serii. Wątki kryminalne dotyczą handlu kobietami, gwałtów i przemocy na poziomie zarówno fizycznym, jak i mentalnym, a postać grane go przez Wojtkę Kalarusa Hanysa uosabia rodzaj bandyterki tamtego czasu.

Potworna postać, bo to dla tamtych czasów tak naturalna „twarz polskiego biznesu”.

– Staramy się sportretować Polskę, choć oczywiście nie możemy tego zrobić w każdym aspekcie: opowiadamy o pewnym wycinku rzeczywistości, życiu pewnego miasteczka – to zresztą dla mnie ważne, że prowincjonalnego. Nie opowiadamy o życiu warszawki. Życie jest tam brutalne i niebezpieczne. To nienazwane miasto z „Rojsta” miało być soczewką, mikroświatem, który koncentrował w sobie jakąś część problemów ówczesnej Polski, w tym rozwarstwienie społeczne, które w tamtym czasie było olbrzymie i niezwykle jaskrawe. Albo ktoś był bardzo, bardzo zamożny, al-

bo po prostu klepał biedę, „średniaków” było niewielu. Myślę, że to też jest duży sukces Polski, że klasa średnia jednak liczbowo wzrosła w porównaniu z tamtymi czasami.

Oglądając drugi i trzeci sezon „Rojsta” czy „Wielką wodę”, myślę, że ty i Kasper umiecie budować silne bohaterki kobiece. W polskim kinie ciągle oglądam produkcje, które nie ma bata, żeby zdały test Bechdel-Wallace (muszą pojawić się co najmniej dwie posiadające imię postacie kobiece, które prowadzą ze sobą rozmowę dotyczącą czegoś innego niż mężczyźni). Mielicie jakieś założenie scenariuszowe, że kobiety mają być, że będziecie równać?

– Na nic takiego się nie umówiliśmy, żadnej misji w tym wypadku nie było... Zresztą pierwszy „Rojst” – przyznaję – jest bardzo męski. Dopiero w drugim pojawia się Jass, która jest trochę hybrydą, ubermanem – chciałem, żeby ona była ponadplciową postacią, atrakcyjną i dla mężczyzn, i dla kobiet. Jak rozumiem, mówisz również o Tremmer z „Wielkiej wody”. Mnie się wydaje, że Kasprowa Bajona, z którym stworzyliśmy te postacie, też interesują po prostu postacie kobiece. Obaj jesteśmy nieco znudzeni samymi sobą, mężczyznami, bo znamy się na wyrost i dobrze wiemy, jacy jesteśmy. I oczywiście to nie oznacza, że zawsze będziemy robić filmy wyłącznie o kobietach, np. „Heweliusz” ma dwie wspaniałe główne role męskie i jedną kobiecą. Ale rzeczywiście chcieliśmy sportretować z Kasprem ciekawe i silne kobiety, mieliśmy ogromną chęć poznania i tworzenia bohaterek, o których tak naprawdę niewiele wiemy. Pisząc i wymyślając postać, najpierw sami musimy się dowiedzieć, kim jest owa Jass, kim jest ta Tremmer. Drugi sezon „Rojsta” powstał na podstawie scenariusza Marcina Wróny i Pawła Maślony – u nich ten bohater, którym jest Jass, był mężczyzną. Zmiana płci, jej nieheteronormatywność spowodowała, że ta postać, przynajmniej dla nas, stała się dużo, dużo ciekawsza.

Czy gdy pisałeś tę postać, myślałeś o tym, żeby obsadzić w niej Magdalenę Róžczkę, swoją partnerkę?

– Absolutnie nie. Chciałem Magdę obsadzić w pierwszym sezonie „Rojsta” w roli Heleny, którą świetnie zagrała Magdalena Walach. Magda wtedy odmówiła. Wiem, że bała się współpracować przy moim – nazwijmy to – reżyserskim debiucie. Jak przeczytała szczegółowy zarys fabuły „Rojsta ’97”, gdzie pojawiła się Jass, to nieśmiało zapytała, co myślę o tym, żeby ona właśnie tę postać zagrała. Wtedy mnie to zaskoczyło, bo na pierwszy rzut oka Magda nie pasowała do tej roli. Nie mieściło się to w jej emploi. Wydało mi się to jednak niezwykle interesujące – szansa na kompletne przełamanie jej wizerunku. Dla niej i dla mnie też. Wiedziałem, że w Polsce są może trzy czy cztery aktorki, które grają w kółko podobne role, a ja nie chciałem, żeby to był znowu ktoś, kogo już widziałem na ekranie. Magda przebiła 70 razy moje wyobrażenie o tym, kim jest w „Rojście” Jass. Dała tej postaci głęboką tajemnicę, wewnętrzny nieodkryty ocean. Do końca też nie wiem, co się dzieje w Jass i co w niej jest takiego, że się chce na nią patrzeć i za nią podążać. Jass jest super.

Uwielbiam tę postać. Za pomocą Jass wprowadziliście nie tylko homoerotykę, lecz i kontekst romski.

– I żeby niczemu nie uchybić, pracowaliśmy z konsultantem do spraw romskich. Oczywiście nie jesteśmy w stanie w pełni oddać kulturowych zawiłości tej społeczności, ale trzeci sezon już mocno z nich czerpie. Pamiętamy o tym, że Polska lat 90. to był czas dużej biedy, a jednocześnie zaznaczającej się silnej obecności mniejszości narodowych. I w ogólnym dyskursie również pogardy ze strony Polaków wobec tych mniejszości. „Rojst Milenium” jest także opowieścią o tym poczuciu wyższości. O tym, jak serialowy Adam Mika czy komendant mówią o Romach. Przecież tacy byliśmy. I nadal jesteśmy.

FOT. ROBERT PAŁKA



No dobrze, ale jak to jest pracować w takim składzie – partnerka w „Rojście”, na planie „Heweliusza” mama, przyjaciele... Tworzysz trupę aktorów jak niektórzy reżyserowie teatralni? Krążą pogłoski, że aktorzy te twoje plany bardzo lubią i że czują się na nich rodzinnie.

– Bardzo dbam o to, żeby aktorzy u mnie na planie czuli się zaopiekowani i bezpieczni. A w ogóle to lubię pracę z aktorami, wręcz uwielbiam. Więc tak, chodzą słuchy, że jest im dobrze u nas na zdjęciach. A mnie jest dobrze z nimi i nie wyobrażam sobie innego modelu pracy. Wiem, że niektóre z nich są oparte na jakimś rodzaju opresji psychicznej – niby w celu wyciągnięcia czegoś tam z głębi aktorskich trzewi – lecz ja tego nie akceptuję i jako reżyserowi nie jest mi to do niczego potrzebne.

Janku, skoro „Rojst” jest z twojego mroku, ale to nie jest jeden do jednego dzieciństwo, to co ty w ogóle z niego pamiętasz?

– Przede wszystkim podwórkowe życie w Warszawie. Myśmy – jak to dzieci lat 80. – byli cały czas poza domem. Dzięki temu stylaliśmy się z najróżniejszymi aspektami życia. Mieszkaliśmy na starym Mokotowie, w dzielnicy, w której przecinały się wszystkie społeczne płaszczyzny. Mieszkali tu profesory, sporo zwykłych rodzin, trochę lobuzerki, pijaków i złodziei, trochę rodzin milicyjnych. Dzieciaki ze wszystkich tych środowisk spotykały się na jednym podwórku. Wydaje mi się, że stykaliśmy się też z ową brutalnością: jak miałem siedem czy osiem lat, to na tym podwórku na ławce siedziały 15-latkajarające szlugi, pijące wódkę, ktoś komuś dawał w mordę itd. Biegało się po piwnicach czy zapuszczonych dachach mokotowskich kamienic. Rewiry, po których mogliśmy się bezpiecznie poruszać, wyznaczały ulice okalające kwartał. Po drugiej stronie rozkopanej wtedy alei Niepodległości człowiek wkraczał na ziemię nieznana. Więc już jako dzieci stykaliśmy się z taką ekscytującą, a równocześnie dość przerażającą wizją świata. I pamiętam też pewien rodzaj mroku czy atmosfery strachu, którą przesiąknięta była dekada lat 80. Myślę, że ta atmosfera znalazła odbicie w „Rojście”, w mojej wizji tamtej dekady. Bo przecież każdy może mieć inną. To, że z tą moją wizją identyfikuje się tak dużo ludzi, było dla mnie zaskoczeniem. Na tym polega właśnie ten rodzaj przedziwnego medium, który powstaje między reżyserem a widzami. Tworząc swój świat czy go współkreując, reżyser w pewien sposób narzuca widowni swoją wizję i ona zaczyna wierzyć, że tak było, chociaż tak niekoniecznie musiało być.

A co pamiętasz z lat 90.?

– Lata 90. mają w mojej głowie inną dynamikę, bo przypadły na znaczący moment w moim życiu: byłem w liceum, zdawałem maturę i na studia. To nie znaczy, że te czasy by-

„Rojst Milenium”

• trzecia część kultowego, mrocznego serialu kryminalnego autorstwa Jana Holoubka i Kasprowa Bajona pojawi się na Netflixie 28 lutego.

• Ludzie w napięciu oczekują nadejścia nowego milenium. Tymczasem w lesie na Grontach odkopany został szkielet kobiety z naszyjnikiem, a podczas uroczynowego bankietu w hotelu Centrum dochodzi do zabójstwa. Co i kto stoi za tymi wszystkimi zdarzeniami? Historia cofa się aż do lat 60., tam jest klucz do rozwiązania kryminalnej zagadki.

ly jakieś dużo bezpieczniejsze: też były podszte jakimś rodzajem lęku. I właśnie tym, o czym mówimy – dużą ilością niewidzialnej, ale odczuwalnej brutalności. W 1997 r. wyjechałem do Łodzi na cztery lata studiów, więc milenium, które jest motywem trzeciej części „Rojsta”, przeżyłem właśnie tam. To w tamtym czasie było miasto miejscami naprawdę bardzo niebezpieczne. Zapuszczone, szczególnie w okolicach Szkoły Filmowej. Równocześnie lata 90. miały już dynamikę bogacenia się: ludzie uzyskali nową perspektywę, możliwości rozwoju. Bo pierwszą połowę lat 80. czuję jako czas wielkiej stagnacji, końcówka była rozruchem przed przemianą, rozkręcała się prywatna inicjatywa, a w latach 90. nastąpił boom. Ludzie zakładali firmy, każdy próbował zarobić na życie. To miało swoją energię, dlatego myślę, że „Rojst ’97” jest bardziej... witalny? A „Rojst Milenium” z kolei jest dla mnie opowieścią o lęku przed końcem wieku, ale przede wszystkim o lęku przed początkiem czegoś nowego. Chciałem, aby ten lęk przed tym, co przyjdzie, był w serialu obecny. Aby panowała wszechogarniająca niepewność. Przeczytałem statystyki, czego ludzie się wtedy najbardziej bali. Pandemia była na jakimś 30. miejscu. Nikomu to do głowy nie przychodziło. Wojny też się bali, lecz tylko trochę. Natomiast duże obawy wiązano z dziurą ozonową, zanieczyszczeniem środowiska, no i technologiczną katastrofą związaną z pluskwą milenijną.

Jak opowiadasz o tym podwórku, a ja sobie przypominam moje dzieciństwo, to myślę sobie, jak różne jest to dzieciństwo dzieciaków teraz: SMS-y od nauczycielki informujące o postępach w szkole, pełna opieka, rozmaite bliskościowe modele rodzicielstwa. Brak inicjacji, krzaczorów, dzikości...

– Zastanawiam się, która wersja dorastania jest lepsza. Jestem daleki od mitologizowania dzieciństwa lat 80., mówienia, że to by-

ło takie super, że byliśmy puszczeni samopas. Im bardziej o tym myślę, tym bardziej sobie uświadamiam, ile strachu i lęku mnie przez to spotkało. Myślę sobie, że może jednak lepiej, że dzieci są upilnowane, zauważane przez rodziców. Zarówno my, jak i większość moich znajomych pilnie obserwujemy swoje dzieci i staramy się od razu działać, kiedy coś się dzieje nie tak. Trudno powiedzieć, kto na tym lepiej wyjdzie, jak będą się z tym czuły te dzieci, będąc w naszym wieku. Nie wiem.

Czyli jednak nie masz tęsknoty za tymi latami 80. To nie nostalgia.

– Nie, absolutnie. Nie chciałbym się cofnąć teraz w czasie i się tam znaleźć. Mam nadzieję, że moje produkcje tego okresu nie mitologizują tego czasu, nie sugerują, że był super. Traktowałbym ich odzwierciedlenie w naszych produkcjach jako rodzaj upustu moich i Kasprowa stanów wewnętrznych. Może Kasper miałby więcej nostalgii, ale ja zdecydowanie czerpię z melancholii.

Czy melancholia jest nam potrzebna jako rodzaj zabezpieczenia emocjonalnego?

– Myślę, że jesteśmy w ogóle melancholijnym narodem. Taką jest nasza dusza. To całe jarzmo czy piętno romantyzmu jest dla mnie tożsame z melancholią. Na tym wyrosliśmy, to jest nasz kod kulturowy. I dlatego melancholia pojawia się u mnie w twórczości, a ja się jednocześnie z tym stanem ducha utożsamiam. Myślę, że wiele osób odbiera mnie jako bardzo wesołego i radosnego człowieka, raczej otwartego na innych, lecz tak wewnętrznie to myślę, że „Rojst” oddaje moją wizję świata.

Muszę jeszcze wróci do tej nostalgii, bo chyba nie odmawiasz jej swojemu gustowi muzycznemu?

– Rzeczywiście tego się nie wyprę – i tego, że muzycznie szczególnie lubię polskie lata 80. Postawiłem sobie jako punkt honoru, że „Rojsty” będą opatrzone tylko polską muzyką, nie ma tam żadnych zagranicznych hitów. Lata 80. to był fantastyczny okres w polskiej muzyce, osiągnęliśmy megapoziom kreatywności. To wtedy niesamowicie eksperymentowano między muzyką punkrockową, rockową i elektronicznym brzmieniem, co było trudne, bo w Polsce dostęp do nowych technologii był ograniczony, więc jak już ktoś miał dobry syntezator, to robił z nim cuda. Polska muzyka lat 80. była mroczna, kontemplacyjna, oddawała ducha czasu. Potem niestety coś się skończyło, chyba pojawiło się za dużo rocka... Ale muzyka z tamtego okresu ma drugie, trzecie, czwarte dno. Uwielbiam ją. ●

Jagnię na trawiaстым dachu



Drewno dostarczały prądy oceaniczne, które do dzisiaj wyrzucają na północne wybrzeże Islandii duże ilości pochodzących z rzek syberyjskich i amerykańskich bali. Te po długiej podróży w Atlantyku albo w łodach arktycznych nabierają kształtu gotowego do natychmiastowego zastosowania

Islandzki dom z darni może się wydawać dość ekstremalnym rozwiązaniem problemu mieszkaniowego.

TEKST I ZDJĘCIA
PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

Jadąc z Reykiawiku na północny-wschód Islandii, zawsze zatrzymywałem się w Víðimýri, aby nacieszyć się małym kościółkiem gęsto porośniętym trawą. Otwarty w letnie dni pozwala obejrzeć pochodzący z 1616 r. tryptyk ołtarzowy sprowadzony z Danii, do której wówczas należała Islandia. Tam też pewnie odlano w 1630 r. niewielkie dzwony wiszące nad bramą wejściową.

Kiedy miałem więcej czasu, zbaczałem na północ z okracającej wyspę drogi nr 1, aby dojechać do równie niezwykle świątyni Grafarkirkja, która jest najstarszym, bo zbudowanym w końcu XVII w., kościołem na Islandii. Równie zielony trawiaсты, otoczony kolistym murem z darni i kamieni urzeka swoją wybitnie naturalną prostotą i doskonałym wpasowaniem w surowy krajobraz.

Zewnętrzna zieloność tych kościołów bynajmniej nie wynika z zaniedbania i starości, lecz jest zaplanowanym efektem wizualnym, typowym dla tradycyjnej architektury wyspiarskiej, w której podstawowym budulcem była zwyczajna darni. Pomysł techniczny przywieźli już w 871 r. pierwsi koloniści – zapewne z północnej Norwegii, gdzie od stuleci pozwalał realizować potrzeby mieszkalne tamtejszej ludności.

Nam dom darniowy może się wydawać dość ekstremalnym rozwiązaniem problemu mieszkaniowego, ale w środowisku dość zimnym i pozbawionym lasów, a więc i drewna budowlanego, taka architektura doskonale się sprawdzała. Była na Islandii powszechnie stosowana aż do początku XX w., a jej licznie zachowane do dzisiaj przykłady rozsiane po całej wyspie są jedną z większych atrakcji turystycznych.

Wbrew podejrzewaniu ludzi z „południa” solidnie wykonane domy darniowe zapewniały zupełnie dobre warunki mieszkaniowe, bo są przestronne, suche i ciepłe. Były to budynki wygodne, solidne i trwałe, bo przy należytej dbałości o ich stan (szczególnie o szczelność dachu) mogły dobrze służyć swoim właścicielom przez długie dziesięciolecia. Główną wadą był niedobór światła, bo otwory okienne były początkowo bardzo małe. Problemem było też odpro-



wadzenie z otwartego paleniska dymu, który wydostawał się na zewnątrz przez otwór w dachu.

Konstrukcje darniowe minimalizowały, ale nie likwidowały zapotrzebowania na niezbędne do wsparcia dachu drewno. Dostarczały go prądy oceaniczne, które do dzisiaj wyrzucają na północne wybrzeże Islandii duże ilości pochodzących z rzek syberyjskich i amerykańskich bali. Te po długiej podróży w Atlantyku albo w łodach arktycznych nabierają kształtu gotowego do natychmiastowego zastosowania.

Mimo jego pozornego prymitywizmu wykonanie domu darniowego wymaga sporej wiedzy. Po znalezieniu odpowiedniego miejsca i zaznaczeniu zarysu planowanej konstrukcji trzeba w obrysie ścian wykopać płytki rów. Najlepiej wypełnić go kamieniami, które zapewnią izolację poziomą, czyli odcięcie ścian od niszczącego wpływu wód

gruntowych. Następnie układa się warstwy przymysłnie wycinanych kawałków darni, które zależnie od swojego kształtu noszą dźwięczne nazwy: strengur, snidda, kviahnaus czy klømburhnaus.

Ich umiejętne ułożenie daje ściany nie tylko mocne, ale też ozdobne, np. wyjątkowo elegancki wzór jodelkowy. Równocześnie wewnątrz stawiano z drewna dryftowego konstrukcję nośną dachu zwieńczoną gęstym przykryciem z cieńszych belek i gałęzi. Te przykrywano płatami kory brzoźowej pozyskiwanej z lokalnych rachitycznych drzewek. Po podciągnięciu bocznych ścian łączono je z dachem też przykrywanym szerokimi płatami darni.

Na dobrze zbudowanych dachach nawet wypasano owce, co poświadcza drzeworyt ze wspaniałej pracy Olaus Magnusa z 1555 r. pt. „Historia ludów północnych” (księga IX, rozdz. 38). Współcześnie widziałem jagnię na trawiaстым dachu najstarszej na świecie i wciąż zamieszkanego budowli drewnianej, czyli Domu Królewskiego w Kirkjubøur, dawnej siedziby farerskich biskupów Wysp Owczych.

Szerokość i wysokość takich konstrukcji ograniczona była przez rozmiar belek wylawianych z morza, nie jednak nie ograniczało długości domów, bo można je było przedłużać podobnie do tunelu foliowego. Wiele z nich to naprawdę imponujące konstrukcje. Najdłuższy dom darniowy archeolodzy odkryli w Borg na norweskiej wyspie Vestvågøya w arktycznym archipelagu Lofotów. Ta rekordowo długa budowla podzielona była wewnętrznie na pięć pomieszczeń (kuźnia, owczarnia, kuchnia, dwie sypialnie i jadalnia) ustawionych w amfiladzie i liczyła 83 m długości.

O ile kościoły miały przynajmniej przednią fasadę wykonaną z drewna, o tyle w średniowiecznych domach mieszkalnych wszystkie ściany budowano z darni, co sprawiało, że niemal zlewały się z trawiaстым krajobrazem. Badanie śladów tak zabudowanych osad to istny koszmar dla archeologów. Wyróżnienie ściany ziemnej zalegającej w zwykłej ziemi wymaga bowiem ogromnego doświadczenia, wysokich umiejętności praktycznych i wiele cierpliwości, nie mówiąc o znajomości specyfiki takiej architektury.

Łagodnie wpisany w krajobraz kościółek w Víðimýri zbudowano w 1834 r. Jest czwartą ze świątyń, które kolejno stały tam od 1681 r. Miejsowość ma długą historię, bo wymieniona jest już w „Sadze o Sturlungach” jako siedziba wpływowego we wczesnym średniowieczu rodu Ásbirningar, który stracił swój status w 1264 r. po najkrwawszej w historii wyspy bitwie pod Haugsnes. Dzisiaj z dawnej świetności nic już nie pozostało, a turystów przyciąga tylko urzekający zieloną prostotą kościółek. ●



W 1990 roku włoska dziennikarka Claudia Angeletti na łamach magazynu „Tuttogatto” zapytała czytelników, miłośników kotów, jaki dzień wybraliby na święto kota. Padło na 17 lutego, trzy dni po Dniu Świętego Walentego. W lutym Słońce jest w znaku Wodnika, osoby urodzone pod tym znakiem ma cechować niezależność i indywidualizm, czyli zupełnie jak koty.

Ale są nacje, które święto kota celebrują w inne dni. Japończycy 22 lutego (bo ta data, zapisana jako 22.2, przypomina odgłos, jaki wydają koty, czyli miau: nyan-nyan-nyan, „ni” to po japońsku dwa), Brytyjczycy 27 października, Amerykanie 29 października, a Kanadyjczycy 8 sierpnia.

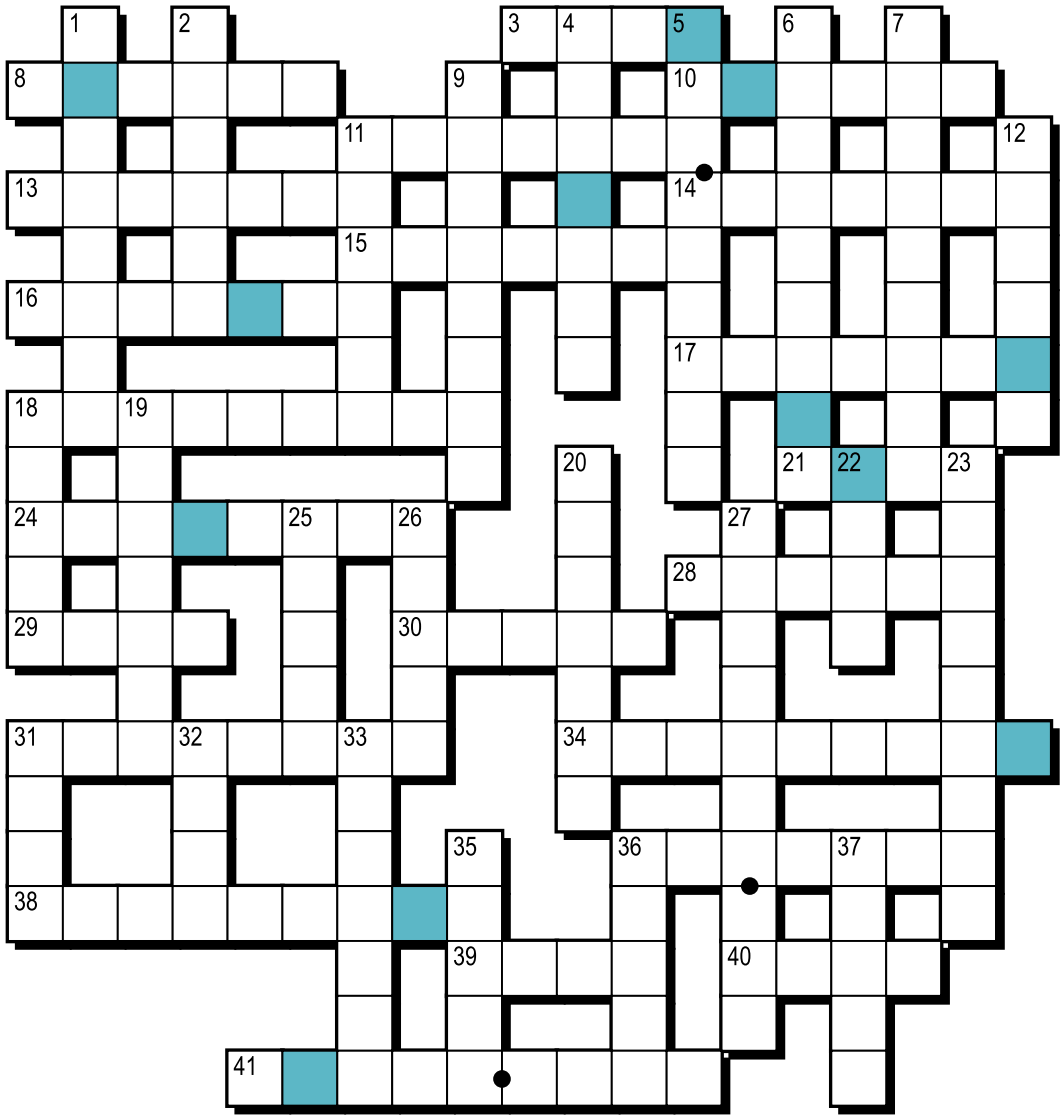
W tym samym dniu co Włosi święto kota obchodzą Brazylijczycy i... Polacy. Choć pierwszy polski Dzień Kota obchodzony był dwa dni później – 19 lutego 2006 roku. Jego inicjatorem był Wojciech Albert Kurkowski, ówczesny redaktor naczelny miesięcznika „Kot”, który prezesał także łódzkiemu Cat Clubowi. Chodziło – jak w każdym kocim święcie – o zwrócenie uwagi na niedolę bezdomnych kotów, zainicjowanie pomocy dla nich, ale także podkreślenie, jak ważną rolę odgrywają te czworonogi w życiu człowieka.

Potem Dzień Kota wzorem włoskim przeniesiono na 17 lutego, a patronat nad świętem objęła fundacja Viva! zajmująca się ochroną praw zwierząt.

Jak uczcić koci dzień? Wiadomo, że świetnie będzie naszych podopiecznych poczęstować jakimś ulubionym smakołykiem lub zafundować im dodatkową porcję pyszności. Wspaniałą sprawą będzie też wsparcie jakiegoś schroniska czy kocięgo azylu, które roztacza opiekę nad bezdomnymi kotami i robi doskonałą robotę.

My, choć oczywiście szczególnie ciepło podrapimy tego najważniejszego (a jakże!) domownika za uchem, Światowy Dzień Kota celebrować będziemy wyjątkową kocią „Weekendówką”. Będzie o kocich rasach, sławnych kotach i o znanych kocich właścicielach. Będzie fajnie, bo koty po prostu są fajne! Miau. ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 89 z 10.02:

Poziomo:
3) Posejdon 5) Moskwa
8) Trafalgar 12) Bounty
13) arka 14) horror 15) Teliga
17) Opty 18) Argo 20) Titanic
21) Jazon 26) Mayflower
28) Itaka 30) Ever Given
32) pan 34) Arizona
36) Magellan 37) prom
39) Rosja 40) John
41) Santa Maria 43) statek
44) Endeavour

Pionowo:
1) Polonez 2) Mary
3) Potiomkin 4) Sparrow
6) Kon-Tiki 7) Fram 9) Aurora
10) Gustloff 11) Dar Pomorza
16) Ahab 18) tratwa 21) Jim
22) Niña 23) kapitanowie
24) Napoleon 25) Stefan
27) Lenin 29) Beatlesi
31) Gump 32) Pułaski
33) nauka 35) Volante
38) Drake 42) Nemo

HASŁO:
KAPITANAT PORTU

JAK SIĘ MASZ, KOTECZKU?

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 3)** Donald, w październiku 2023 r. podczas kampanii wyborczej przysięgał kota – Rudego
8) imię Kota, aktora („Bogowie”)
10) drapieżny ssak z rodziny kotowatych o cętkowanym futrze
11) kot z powieści Bułhakowa, który nalewał Małgorzacie czysty spirytus
13) imię autorki słów: „Umrzeć – tego się nie robi kotu”
14) nie lubią się z hodowcami kotów?

- 15)** wyspiarski kraj na Oceanie Indyjskim (dał nazwę jednej z kocich ras)
16) leopard, pantera
17) kotek z książeczki Roba Scottona
18) kot polujący na kanarka Tweety’ego
21) miauczenie lub mruczenie
24) koci – szorstki
28) pyszczek
29) kot ..., rasa charakteryzująca się brakiem ogona
30) miasto z basztą Koci Łeb
31) Hanka, występowała w krakowskim kabarecie Siedem Kotów
34) czarujący kot z serialu „Siedem życzeń”
36) kot złoczyńca z serialu animowanego o Brygadzie RR

- 38)** piosenki na dobranoc („Aaa, kotki dwa...”)
39) koci ... (miękkki, skradający się)
40) nie mógł się nim pochwalić powieściowy Filonek
41) rasa kotów z Ameryki Północnej
- Pionowo:**
1) Filemon i on
2) kot w tytule powieści S.F. Saidy
4) „... bez kota”, zbiór wierszy Antoniego Marianowicza (skojarz z 9 pionowo)
5) pochodzi z Turcji, ma krótki i puszysty ogon
6) hau, hau – kynolog; miau, miau – ?

- 7)** jego pochwała w tytule albumu Jacka Kaczmarskiego (z piosenką „Zabić kota”)
9) stąd znikający kot w „Alicji w Krainie Czarów”
11) egipska bogini przedstawiana w postaci kota (lub z głową kota)
12) idealne imię dla kota (łacina się kłania)
18) kot kojarzący się z Tajlandią
19) ulubione danie kota Garfielda
20) luksusowe kocury z autosalonu
22) rodzinne miasto kota z filmu „Sami swoi”
23) otwór u dołu drzwi, by kot mógł swobodnie przechodzić z pokoju do pokoju

- 25)** w „Misiu” Barei: plebejski uciekinier w konarach prastawiańskiej gruszy (w jego roli przebrany kot)
26) „... na gorącym, blaszanym dachu”
27) bywa zarówno przeciwniczką, jak i sojuszniczką Batmana
31) kocie łby
32) miesiąc ze Światowym Dniem Kota
33) „... kota podróżnika”, w literackim dorobku Hiro Arikawy
35) pieszczotliwie o Mruczkach
36) nie dla psa kielbasa, nie dla kota ...
37) Andrew ... Webber, twórca musicalu „Koty”
- Leszek Rydz**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34295017

Byłe do **weekendówki**

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z **App Store**
POBIERZ Z **Google Play**